# GŁOS
# SZLACHCICA POLSKIEGO.

(J. I. Kraszewski a zakon szlachecki.)

WE LWOWIE
NAKŁADEM DRUKARNI LUDOWEJ
pod zarządem [illegible]
1880.

# GŁOS SZLACHCICA POLSKIEGO.

# GŁOS SZLACHCICA POLSKIEGO.

(J. I. Kraszewski a zakon szlachecki.)

LWÓW.
DRUKIEM I NAKŁADEM DRUKARNI LUDOWEJ
*pod zarządem Stanisława Baylego*
1880.

Dzieło niniejsze przed dwoma laty do druku podane, w chwili przystąpienia do rozpoczęcia takowego, stanowczem acz nieupowodowanem zażądaniem Autora, termin wydania odraczającem, aż dotąd w rękach nakładcy zatrzymanem zostało.

# Część I.

Rozdział I

# J. I. Kraszewski a zakon szlachecki

## a) Powieść „Morituri“.

„Wyłączą was z Bożnic: Aleć przyjdzie godzina, że wszelki, który was zabije, mniemać będzie, że czyni posługę Bogu“.
„A to wam uczynią, iż nie poznali Ojca ani mnie“.

*Św. Jan. Rozdz. XVI, 2 i 3.*

Trzy lata upłynęło od ukazania się rozgłośnej powieści znakomitego naszego pisarza J. I. Kraszewskiego, zatytułowanej „Morituri“. Tytuł ten, odtwarzający w myśli smutnej pamięci chwile pogańskiego Rzymu Cezarów, gdzie wobec tysiącznego tłumu, wśród areny złotym posypanej piaskiem, tarzali się w śmierci uścisku nędzni zaprzedańce, dla uciechy nikczemnego gminu, czcząc najnikczemniejszego z pomiędzy siebie, owem rozgłośnem hasłem: „morituri te salutant Caesar!“ — Tytuł ten, powtarzam, wzbudził mniemanie, że szanowny Autor roztoczy przed nami epizod w rodzaju ohydnej „Caprea i Roma“.

Ci, którzy „Morituri“ czytali (a któż ich w kraju naszym nie czytał), wiedzą, jak dalece nie odpowie-

2

działy owemu przypuszczeniu, poczerpniętemu z tytułu i to pod wszystkiemi względami: bo i osób, i miejsca, i czasu.

Czytający je z rozbolałem sercem, widzą: że czasem, w którym się ten dramat spełnia, to nasz czas; że miejscem, na jakiem on się w czasie dokonywa, to nieszczęśliwy kraj nasz; że aktorami, a bardziej, wyrażając się słowem szanownego Autora, morituri, to nie nędzni, bałwochwalczy niewolnicy, dla których Boga nie było, bo Cezar był ich Bogiem, ale niestety to my właśnie być mamy — my oświeceni światłem Syna Bożego, światłem dla tamtych biednych nieznanem, my wykarmieni chlebem a bardziej ciałem Jego, i Jego przenajświętszą krwią nasyceni, więc tak hojnie na drogę żywota uposażeni, my, cośmy przez wieki w obronie tego niebieskiego chleba i tej krwi Bożej krew naszą tak hojnie przelewali, myż to być mamy?! — my, co i dziś również, choć na inny sposób pracując, tych naszych świętości bronimy: bo kochamy, bo wierzymy, bo się spodziewamy! — Więc to my jesteśmy?!

Przechodząc od tytułu do samej powieści, której sam tytuł już tak mocno poruszył, gdy jednocześnie transpirowało, że szanowny Autor zamierza pisać „resurecturi“, czekano na nie ze słowem oceny, choć z mniejszym już interesem, bo któż mógł nie pojmować, że dla kreacyi moriturów nie masz zmartwychwstania, czekano w końcu, aż krytyka przez właściwe swe organa zdanie swe wypowie.

Gdy jednak, mimo przejawiającego się w kilku pismach zbyt powierzchownego sądu, rzecz u samego źródła poruszoną nie została, gdy tu i owdzie rzucane słowa tyczyły się jedynie akcesoryów, a sam obraz, a gra świateł i cieni, a bardziej idea przewodnia, myśl zasadowa dotknięte nie były — gdy mówiono o trumnie, a nikt nie wspomniał, jakie to tam skarby, jakie świętości w niej złożono; nie mogąc przystać, aby szanowny Ator tak długie milczenie, wziął za potwierdzenie jego sądu i jego wyroku, przeciw temu to sądowi, przeciw temu to wyrokowi postanowiliśmy zaapelować do ogółu czytających, a bardziej do tych, którzy wraz z nami wierząc, kochając, spodziewając się!... pracują....

Niejeden szczegół z powieści, w mowie będącej, mógł ujść z pamięci wielu Czytelników, pochłanianych pracą i potrzebami dnia każdego, rozumiem tedy potrzebę powtórzyć dla przypomnienia jej treści, aby unaocznić ją na nowo, wraz z osobami w niej działającemi, celem śledzenia za ideą Autora, i za sposobami, za pomocą których pragnie ją przeprowadzić.

Około roku 1850, w dawnem województwie Lubelskiem, w dobrach Brańsk, mieszkała rodzina książąt Brańskich, którą składali: najszanowniejszy wiekiem, głowa rodu, wdowiec książę Norbert, szambelan Kr. Jeg., postać jakby dla malarza stworzona. Jego 30-kilkoletni syn, książę Robert, rotmistrz od huzarów, na którego obecnie zdany był przez 80-letniego

ojca honor rodu i całość mienia, słowem podana do strzeżenia od skazy i uszczerbku cała duchowa i materyalna spuścizna. Przy powierzchowności Antinousa, równie piękna dusza, obok świadomości tego wszystkiego, co go przed Bogiem i sumieniem odpowiedzialnem czyni. Dwudziestokilkoletnia córka księcia Norberta, księżniczka Stella: „gwiazda domu, anioł piękności..... dobroci.... warta tronu“ — Z obu braci starego księcia, zamieszkujący przy nim p. Jenerał Hugon, kawaler Maltański, w połowie mnich, w połowie żołnierz, lat około 70, mocno już siwiejący z poczernionym wąsem, z wstążeczkami honorowemi w eleganckiem ubraniu, wysokie mający wyobrażenie o swem rodowem znaczeniu, który, dla utrzymania go w przyzwoitym blasku i powadze, zrzekł się na korzyść głowy rodu przypadającej mu części z ojczystego majątku; gotów w każdej chwili iść na obronę Grobu św.; zakochany w czasach przeszłych, w dzisiejszych widzący jedynie panowanie antychrysta.

Drugi brat J. Mość ksiądz Sufragan, świątobliwy kapłan, wierzący w moc modlitwy; w możebność cudu, cichy, skromny, słabowity, z zaniedbaniem zdrowia obowiązkom oddany, jako brat i stryj w ciągłem poświęceniu i ofiarach, jako człowiek, dla dobra bliźnich z serdecznością wylany.

Jest jeszcze, nigdy nie ukazująca się na świecie, siostra Brygida, przełożona Norbertanek, — szano-

wnem życiem swojem obudzająca wiarę w skuteczność i cudowność swoich modłów.

Dwór książęcy stanowili: przedewszystkiem jako na pierwszym planie stojący, rządca i plenipotent, średniego wieku, słuszny, pięknej postawy, wyglądający po pańsku, p. Maurycy Gozdawa Gozdowski, z dawnych lat przyjaciel domu książąt Brańskich; ksiądz Serafin, pleban, poczciwy jowialista, baczący pilnie, aby zawsze były ryby w piątek, i msza św. o rannej godzinie. Pan Wincentowicz z kresą na czole i ogromnemi wąsami, koniuszy i leśniczy zarazem, dawny wojskowy, czujący się w obowiązku w ważniejszych chwilach wystąpić ze sztucznemi ogniami; i inni podrzędniejszego znaczenia oficyaliści i gracyaliści.

Jako przyjaciel domu, często dwór nawiedzający, dzierżawca części dóbr książąt Brańskich, otyły, z sumiastemi wąsami, bałwochwalczo do książąt przywiązany, bardzo zasobny p. Grzegorz Żubra. Córka jego, panna Antonina, razem z księżniczką wychowana, prawie nigdy jej nie odstępująca, powabna, uśmiechnięta, z bystremi oczami i uśmiechającemi się ustami, zdawała się pragnąć mówić za siebie i za księżniczkę; oraz chmurnej powierzchowności rodzony brat p. Antoniny, człowiek bardzo uczony, doktor prawa i administracyi, jako sprzeczność z siostrą, mówić nielubiący, p. Zenon Żubra.

Przypomniawszy czytelnikom osoby do dramatu wchodzące, przystępujemy do opisania samego dramatu.

Na lat 30 przed rokiem 1830, w którym żyją i działają opisane figury, za życia jeszcze żony księcia Norberta, był na dworze książąt w charakterze pokojowca niejaki Zembrzyński, syn biednego, nieopodal mieszkającego szlachcica. Zembrzyński ten, jak sam w pamiętniku swoim powiada, posądzony przez nielubiącego go księcia Norberta, o rozmyślne zakradanie się do jego gabinetu, w celu przeczytywania książęcych korrespondencyj, przez tegoż w uniesieniu uderzony w policzek, tak dalece uczuł despekt sobie uczyniony, iż mimo nalegania księcia, który mu jako wynagrodzenie kilkadziesiąt dukatów ofiarował, w najwyższem wzburzeniu natychmiast dwór książęcy opuścił, poprzysięgając jemu i jego rodowi zemstę aż do ostatniego ich zniszczenia.

Oto główna i jedyna sprężyna, około której cały się ów dramat obraca, a bardziej wszystkiemi figurami porusza, aż do ostatecznego, założonego przez Autora zniszczenia rodziny, przez zagarnięcie jej majątku.

Przez lat 30 męczy się ów Zembrzyński o chłodzie i głodzie, nędznej, niechrześcijańskiej namiętności oddawszy swą duszę, tera i kala się błotem najnędziejszego skąpstwa, bezecnej lichwy nie sroma się, słowem drze, wyzyskuje, na wszelki sposób każdego, kto mu się nadarzy, aby tym sposobem uciułać sumkę, którą w ten moment lichwą dalej powiększa, i tak idąc z występku w występek, ze zbrodni w zbrodnię, a głównie przez podstawianych pożyczając na dobra

książąt, też dobra na subhastacyę wystawia. Cóż pospolitszego, jak dosyć się pojawiająca z jednej strony obojętność, obok hojności, niekiedy z rozrzutnością graniczącej, z drugiej zbrodnicze podsycania, dla wyzyskiwania takowych? Jakoż dosyć byłoby pobieżnego o nich wspomnienia, gdyby genialny Autor, czyniąc z niej oś, nie zmusił około niej obracać się całemu kołu wypadków, kołu, które jest jednem z tych niewielu, które zdaniem szanownego Autora, w najbliższej przyszłości, musi być zdruzgotanem, wóz zaś, którego ono właśnie jest jednem z kół, również o niechybną zgubę przyprawić musi.

Jeżeli z jednej strony mało znany, bez żadnych zasad, bez nauki, słowem próżny dodatnich tak moralnych jak materyalnych zasobów, Zambrzyński zadziwia nieproporcyonalnością sił do czynu — jaki mu szan. Autor wykonać każe; jakże z drugiej strony maluczką się wydaje dźwignia m ś c i w o ś c i, jaką mu szan. Autor (za postępek, dający się prawem usprawiedliwić, jako w uniesieniu, doraźnie wykonany) w bezsilne dotąd dłonie, dla dźwigania ciężaru stosunkowo tak olbrzymiego podaje. — I nie to zadziwia, że szanowny Autor ujemną cnotę, a raczéj zbrodnię jako siłę niszczącą stawia, podziw jedynie wywołuje, że to tak — a nie inaczéj postawił, kto? — Kraszewski!...

Niechrześcijańskiemu tytułowi, pod jakim stanął utwor w mowie będący, w zupełności odpowiada pogańska cnota: Zemsta — zemsta uznana, postanowiona i przeprowadzona jako potęga tryumfująca,

zdolna wszystko co piękne, co szlachetne, co zasłużone, słowem wszystko co dodatne; więc prawdziwie, więc po chrześcijańsku cnotliwe zniesławić, obalić, podeptać.... — I to wszystko wypowiedział, a jako nieuniknione, jako konieczne uznał i postawił Kraszewski? Kraszewski krew z krwi, kość z kości naszych, współjedyny z nami wiarą, pochodzeniem, obyczajem: a o tyle przerastający nas nauką i talentem?! Przypuścićby należało chyba, że to w jakiej niedobrej chwili zła siła podsunęła myśl tę, a bardziej tę ideę swojego i naszego upadku panu Kraszewskiemu.

Aleć nie uprzedzajmy wypadków, wiedząc, ile zawinili — co mówię, wiedząc jedynie, ile chwilowem uniesieniem zawinił ich ojciec i brat; chodźmy przypatrzyć się, jak ich p. Kraszewski (postanowiwszy zgóry ich śmierć) morduje, w końcu zamordowywa... za winę ojca karząc dzieci — za winę jednego, i za jakąż jeszcze winę? zabijając wszystkich! . . . . . . . .

Oto szan. Autor, określiwszy charaktery aktorów, w sposób jeżeli nie ostatecznie dodatni, to nigdy ujemny, jak to w początku rozbioru naszego wykazaliśmy, w akcyi czyni ich wszystkich wbrew loice biernemi, posłusznemi narzędziami, nie dziwota, że bezsilnej, bo 80-letniego starca, woli; starca tego nawet uniewinnia, lecz nie sądźcie, że przez poszanowanie dla jego sędziwej starości uniewinnia go, zdejmując zeń niejako ciężar i odpowiedzialność z dźwigania i upadku majątku i imienia, złożeniem

takowych na syna, zobowiązanego jedynie płacić jemu 1000 dukatów rocznej pensyi, utrzymać odpowiednio jego samego i jego służbę wraz z resztą domu, oraz trzymać dla niego 6 koni do karety i 4 do mniejszego powozu.

Pan Kraszewski nie pokazuje nam w ciągu powieści, w jaki sposób ogromny ów majątek przychodzi do ostatecznej ruiny: ogólnikowo jedynie wspomina ustami plenipotenta Gozdowskiego: że wypadki krajowe i ofiary szczególne i publiczne a sam dodaje i nieoględność — były tego przyczynami. Czytelnik zmuszony wierzyć na słowo, nie widząc ani zgrai sług i darmozjadów, ani gry w karty, ani pijatyki, wyjeżdżania do stolicy, lub co gorsza za granicę, słowem żadnej z tych nieprzystojnych namiętności, które z nieoględnem trwonieniem fortuny grożą upadkiem jej, a z nią spokoju i bezpieczeństwa rodu na dziś a narodu na przyszłość! I dlatego czytelnik nie wie kogo tu obwiniać. Nie dziw.... sam Autor szuka tu daremnie kozła ofiarnego, raz wszystkich niby obwinia, to ryczałtem niby uniewinnia znowu.

Zebrawszy w treść wszystkie niejako postawione przez szanownego Autora przyczyny, główną a prawie jedyną przedstawia się w obec wypadków publicznych publiczna i szczegółowa ofiara. Pogląd ów na prawdziwość przyczyny potwierdzać się zdaje sam Autor, gdy wkłada w serca ich wszystkich wiarę, którą w uroczystych chwilach ustami wypowiadają: „że ci, co wierzą i modlą się, że ci, którzy kochają i

ofiary ponoszą, że ci, którzy cnoty, honoru i obyczaju strzegą, są pod strażą Boską, pod Boską opieką — więc nie giną". Skonstatowawszy zasadę ich niewinności, którą w przytoczonym ustępie i w tylu następnych ustępach tak porywająco i sprawiedliwie sam Autor wypowiada, ze zdziwieniem coraz wzrastającem zapytujemy boleśnie dotknięci: za co skazał ich na śmierć? dla czego nazwał ich Moriturami?! Mimo woli nasuwają się tu słowa Mistrza wyrzeczone do piśmiennych żydowskich: „Wiele dobrych uczynków ukazałem wam z Ojca mego, dla któregoż uczynku z tych kamienujecie mnie?!"

Dla ukazania, że osoby te ze wszech miar były godne życia, nigdy śmierci, i że sprawiedliwość zmusza tu wbrew przeciwnie postąpić z niemi, przypatrzmy się, jak ich określa sam Autor szanowny, zapoznawając czytelnika z osobami dramatu i ich interesami, przez usta niejakiego Hartknocha, mecenasa z Warszawy, przybyłego do Brańska z ramienia Zambrzyńskiego, w celu układu o summę 200,000 złp., którą proponuje na tych samych warunkach na hypotece Brańska zostawić, pod zobowiązaniem przedania jej, jako należącej dotąd do rozmaitych wierzycieli, na rzecz jednego, a umyślnie podstawionego, niejakiego Dawida Salomsona z Warszawy (gdyż Zembrzyński chce być do pewnego czasu ukrytym). Oto jak Hartknoch te osoby opisuje i wrażenia tamże doznane określa: „Oprócz tych trzech osób (powyżej wspomnionych trzech braci) znajdował się w salonie

spadkobierca jedyny mienia i imienia książąt Brańskich, były rotmistrz od huzarów, nadzieja Rodziny, książę Robert. Postać ta ze wszech miar zasługiwała na baczne wejrzenie, już pięknością swoją i szlachetnym wyrazem, już powagą niezwykłą i inteligencyą, która z jej oczów błyskała. Typ był to ten sam, co i starsze (to jest stryjowie) przedstawiało pokolenie, lecz ożywiony, oświetlony wyższem wykształceniem i twardszemi zadaniami życia, z któremi łamać się musiał. Pewien rodzaj spadkowej dumy, ale spokojnej i zamkniętej w sobie, otaczał ją (głowę) aureolą, nosił ją raczej książę z obowiązku i jako ciężar włożony na ramiona, niż z własnego poczucia jej potrzeby. Pomimo dobiegających lat czterdziestu, był to jeszcze piękny, młody, pełen ognia człowiek, którego wychowanie uczyniło nie salonową lalką, ale można było rzec, ideałem wyższego świata. W tej postaci całej napróżno szukałbyś nuty fałszywej, dźwięku jakiegoś niesfornego". Dalej, określiwszy jego powierzchowną piękność, dodaje: „Co więcej powierzchowność ta nie kłamała, jak utrzymywali ci, co go znali: książę Robert był w swoim rodzaju, ze swojemi pojęciami, teoryami, przesądami nawet, niepospolitym człowiekiem. Ani porównać go można było do innych typów blisko pokrewnych ślepem naśladownictwem, wyrobionych twardym młotem pracowitego wychowania: książę Robert był sobą, miał coś samoistnego, co go wśród tysiąca odznaczało, lecz razem z tem było widać w nim zupełne życiem złamanie, zobojętnienie;

uśmiechał się bez wesela, mówił nie rozgrzewając się, ubolował bez bolu, zdawał się znudzonym i dźwigał się z obowiązku. Mało go co obchodziło w istocie, choć wszystkiem przez grzeczność zajmował się. Gdzieindziej była dusza jego i myśl". „Nie przesadził również p. Gozdowski (powiada dalej Hartknoch), zowiąc Stellę gwiazdą; była to nawet jedna z gwiazd pierwszej wielkości, jakie się rzadko na horyzoncie chmurnym naszych czasów w całym blasku zdarzają. Jak książę Norbert był znakomitym typem arystokracyi rodu, bez najmniejszej skazy i śmieszności, które często i wybranym towarzyszą, tak księżniczka Stella wydała się mecenasowi czemś nadziemsko pięknem i idealnem. Słusznego wzrostu, kształtna, pełna wdzięku w ruchu każdym twarzą przypominała księżniczka illustracye angielskie do dramatów Szekspira: była nieprawdopodobnie piękną. Ale piękności tej regularnej, klasycznej, nie opisuje się i gdyby nią tylko odznaczała się siostra księcia Roberta, nicby już o niej więcej powiedzieć nie można; piękności rysów towarzyszył tu wszakże wdzięk i urok pełen dobroci i słodyczy. na pierwszy rzut oka poznać było można, iż nie była młodziuchną, ale jeszcze w kwiecie dziewiczej młodości.... Coś smętnego w oczach i ustach bardziej jeszcze pociągało do niej. Cichy, harmonijny głos, którym przywitała mecenasa, do reszty mu głowę zawrócił. Śmiały zwykle i w żadnem towarzystwie obcym się nieczujący Hartknoch, z upokorzeniem własnem, gniewając się na siebie, czuł,

że tu musiał się straszliwie plebejuszowsko i gminnie wydawać. Ruchy jego zwykle swobodne i zuchwałe, stały się sztywne i śmieszne.... sam to rozumiał. Jakkolwiek ciekawy przypatrzeć się temu dworowi zaczarowanemu, jakby z bajki z tysiąca i jednej nocy wydartej karcie, Hartknoch myślał, że im prędzej się ztąd wyrwie, tem będzie lepiej,... jątrzyło, iż się znalazł na świecie kątek, w którym on, co się miał za równego wszystkim, mógł tak się czuć nieswoim. Rad był zaprzeczyć temu, co doznawał, ale rzeczywistość cisnęła go żelazną ręką.... W chwili, gdy najmniej wiedział, co ma zrobić z sobą, z kapeluszem, z nogami, z głową.... nawet z językiem — Gozdowski wziął go pod rękę, począł rozmowę cichą i wyratował z tej toni".

Całem sercem wraz z tobą, zacny czytelniku, czujemy się być pociągnionymi najżywszą sympatyą ku tym prześlicznym, tryskającym urokiem życia młodości i dynstykcyi, a z taką lubością, z taką artystyczną i rzeczywistą prawdą przez genialnego Autora przedstawionym postaciom i wraz z tobą pełni podziwienia, niepokoju, zgrozy.... zapytujemy: więc to są ci winni zbrodni? więc to mają być ci zgóry na śmierć skazani? więc to oni są osądzeni jako morituri?! Nigdy, o nigdy!! Nie piętno zbrodni, a idea męczeństwa przebłyska im z czoła. Jeżeli są warci śmierci, któż się przed sądem twoim wyrokujący Autorze ostoi?! Potomność nie uwierzy, że tak krzycząco niesprawiedliwy wyrok wydano; nie litości więc nad

niewinnymi, ale sprawiedliwości nad zacnymi domagamy się. Tak w głębi dusz naszych przekonani, wołamy: pomyliłeś się szanowny Autorze, sędzio zbłądziłeś, to nie są Morituri, to są Męczennicy!!

Jeżeli śmierć ich potrzebną — umrą.... lecz nigdy dlatego, że są już dziś przez Ciebie i przez rozmaitych Hartknochów, których szanowny Autorze czynisz wymownym rzecznikiem, na śmierć skazani, umrą dla idei, w którą wierzą, którą kochają i przez którą spodziewają się, umrą z weselem na skroni, z uśmiechem na ustach, gdy ich Bóg powoła, „aby dać świadectwo prawdzie“.

Pokazałeś nam ich szanowny Autorze, oto widzimy ich, oglądamy i protestując wołamy: inaczej, o inaczej wyglądają Morituri....

Jeżeli, szanowny czytelniku, pozwolisz dalej przekonania nasze wypowiadać, zatrzymamy się na chwilę nad uroczą postacią Stelli, z której oczu, z której czoła, mimo lat dwudziestu kilku, olśniewająco tryska młodość, piękność, i to „coś smętnego i rzewnego“, co bardziej „jeszcze od młodości i od piękności ku niej pociąga“. Gdyby szanowny Autor do zagranicznego imienia Stella, nie dołożył nawet nazwiska Brańska, jużby każdy z nas, szanowny czytelniku, poznał w niej krew z krwi, kość z kości naszych, jużby każdy z nas, pojęciem, sercem, instynktem zrozumiał, przeczuł, odgadł nieodrodną od naszych prababek, chrześcijańską, polską dziewicę! A chcecie wiedzieć przyczynę, dla której powabna Stella, mimo

lat 2otu kilku, jest tak uroczo piękna, tak dziewiczo młoda, dla czego jej oczy tak pociągają, jej usta tak smętnym, tak rzewnym czarują uśmiechem? O! bo jej usta nie zapomniały pacierza, co uczyła matka, bo jej oczy zwrócone ku stopniom tronu Zbawiciela, dozwalają jej, w szczęśliwszych dla jej dziewiczej duszy momentach, za Bożą łaską przejrzéć to, w co z całym swym rodem uwierzyła, co ukochała, czego się spodziewa. A ktoż z nas, wpatrując się, studyując ten cudny, cudnie ręką Mistrza skreślony obraz, zwątpi choć na chwilę, że taka Stella wierzy, że ufa, że kocha? i oto do Boga rozpiętego na krzyżu modli się, gotując się, tą ciągłą modlitwą w pokorze serca, w skupieniu ducha, wypić kielich, Przedwiecznemu podany!!

Tu również w tych samych duchowych przyczynach tkwi owa tajemnicza siła, dla której taki mecenas Hartknoch, obmyty, ustrojony, ochrzczony nawet; ten, któremu w Warszawie zdawało się, że jest równy wszystkim, potężny w tej chwili, bo mający w swych prawniczych rękach majątkową ich egzystencyę, który przyszedł jak kot myszą pobawić się: znalazłszy się wobec nich, spojrzawszy im w oczy, nie umiał ocenić „co ma zrobić z sobą, z kapeluszem, nogami, głową... nawet z językiem... Radby był zaprzeczyć temu, czego doznawał, jątrzyło go to, ale rzeczywistość cisnęła go żelazną ręką“.... Cha! Cha! Cha! taki Hartknoch warszawski nie wiedział, po co ręce, nogi? co zrobić z kapeluszem, z głową, kapelusz chciał włożyć na

ramiona, a głowę pod pachę; taki mecenas, finesujący w pokątnej robocie Dawida Salomsona w Hartknochowskiej swej a dziś z pod biretu głowie, języka w niej zapomniał!? I nie jest to najwymowniejszy dank oddany cnocie, cześć przynależna, a oddana prawdzie?

Szanowny Autorze! w imieniu cnoty, w imieniu prawdy, w imieniu wszystkich Brańskich, za ten obraz dziękujemy Tobie!

Układ zrobiony z Hartknochem, mocą którego zyskano rok czasu, układ, który gwałtownie prowadził do katastrofy, wskazywał: iż aby tej uniknąć, potrzeba było gwałtownie pomyśleć o jakimś środku radykalnym. Pan Zenon Żubra, jako prawnik pierwszy uderzył na alarm, zaniepokoił sumienie rządcy Gozdowskiego, wtajemniczył przemocą prawie w konieczne poznanie interesu obu stryjów: niepokój ztąd powstały, doszedł nawet księżniczki Stelli; jeden, jedyny książę Norbert, przez rodzaj szczególnie pojętego jakoby dlań szacunku i miłości, wyłączony został chwilowo od troski (powiedziano mu bowiem, że mecenas przybył jedynie, dla dopełnienia pewnych hypotecznych formalności), a tem samem jako nic niewiedzący, pozbawiony możności radzenia, a mimo woli stając się ciężarem i przeszkodą, wobec konieczności postawienia jakiejś wspólnie pomyślanej stanowczej decyzyi.

I myślicie, szanowni czytelnicy, że ci ludzie, którzy w całej swej prawie posągowej piękności stają

przed oczyma wyobraźni, że pełni wiary, szlachetności iście rzymskiej, nie próżni energii, choć może trochę na punkcie materyalnych interesów nie dość, jak wymagała chwila, wyrobieni, zagrożeni wszakże naraz pojawiającą się ruiną, skupią wszystkie swe siły, do ratowania wszystkiego, i.... i wymyślą coś, co ważności chwili, i podniosłości ich charakterów odpowie? — bynajmniej.

Wbrew wszystkiemu, coście sobie, na podstawie ich charakterów, o nich wyrobili, figury te są dziwnie apatyczne, bierne, niezaradne. Możnaż albowiem nazwać jakąkolwiek zaradnością, kilka niejasnych, czy naumyślnie zaciemnionych przez szanownego Autora, a w usta każdej z działających, a raczej poświęconych śmierci ofiar, włożonych wykrzykników? jak ten np. jakby na scenie, przez Jenerała Hugona do młodego Żubry wypowiedziany frazes: „Ale nie, zawołał, nie! to być nie może! my, nasz ród upaść nie możemy, to byłoby okrutnem, to byłoby niesprawiedliwem! Patrz, mój Zenonie, na rodzinę, na to gniazdo nasze, na ducha, co nas ożywia, myśmy też światu na coś potrzebni. Mieliśmy, mamy posłannictwo ofiary, kapłaństwo cnoty i piękna, nie żyliśmy darmo, choć nas zowią próżniakami i darmozjadami. Jeżeliśmy nie pracowali dłonią, pracowaliśmy myślą, sercem przewodniczyliśmy, gdzie było potrzeba. My jeszcze przecie coś do dziś dnia reprezentujemy, czego oprócz nas nikt nie potrafi; w naszych dłoniach arka tradycyi!“

Ale nie, nie! powtarzamy wyrażeniem szanownego Autora, tak nie mógł powtarzać książę jenerał, kawaler maltański; inaczej przemówiłby w takiej chwili szlachcic, rycerz i mnich zarazem, on wiedział, na co i komu miał się przydać, on wiedziałby jako i my, gdzieby szukał rady i pomocy, i gdzieby ją znalazł. A wtedy, włożony w usta jenerała frazes, urósłby z nizin frazy do wysokości słowa.... słowo do potęgi czynu. To nie jenerał, to autor przemawia, to nie szlachcic, nie pan polski się usprawiedliwia, a usprawiedliwia się Kraszewski z wyroku, jakim na śmierć ich skazał......,

Sromotna deska ratunku, jaką im podaje dla zachowania gniazda przez bogate ożenienie księcia Roberta, to jeszcze raz nie jest radą księcia jenerała, to jeszcze raz i znowuż rada szanownego autora. Pan Kraszewski, skazawszy ich na śmierć, u siebie w głębi sumienia swojego niesprawiedliwość wyroku czujący, litośnie niby rozczula się nad nimi, niby ratować się im jeszcze pozwala.

W tem pozornem ratowaniu, w tem pozornem bronieniu leży cała zła wola autora; tu tkwi obwinienie tych niezaradnych, tych niegodnych życia; a zupełne uniewinnienie się Autora-sędziego z wydanego na nich wyroku.

Jestto zręczne, ale, mamy odwagę powiedzieć, nie jest dobre, jak nie jest ani rycerskie, ani chrześcijańskie, bo nieprawdziwe. Nie godzi się w pojęciu naszem zwyciężać, uzbroiwszy przeciwnika w dre-

wniany pałasz; nie godzi się udawać walki, kiedy się nie walczy, ale zabija.

Wracajmy do powieści, podług której książę Robert, bogato ożeniony, ma posagiem przyszłej żony spłacić długi, na Brańsku ciążące. Pojęcie to, uznane za jedne i jedyne, staje się naraz pojęciem ogólnem w Brańsku, choć na różny sposób. Członkowie rodziny wierzą, że Opatrzność ześle na ich wybawienie bogatą dziedziczkę, reszta mieszkańców zaniepokojona niecierpliwi się, usiłując na swój sposób wybawienie przyspieszyć, ruinę oddalić. Jak w bajce zaufaniu jednych, trosce i niepokojowi drugich, staje się zadość. Nie chcąc zgóry wyzyskiwać sądu czytelnika, owszem przypatrzmy się, jak to szanowny Autor przedstawia:

W niedługim czasie po wyjeździe mecenasa Hartknocha, w dniu odpustowym w miasteczku, w którem rezydował J. Mość ksiądz Sufragan, zjawia się kiedyś znajomy, daleki kuzyn książąt Brańskich, niejaki hr. Mościński, który dość forsownemi środkami, dorobiwszy się dwumilionowego majątku, w przejeździe do Warszawy z jedynaczką córką, którą wiezie, aby ją stosownie do jej przyszłej milionowej fortuny wydać za mąż. Zatrzymawszy się na noc, dowiaduje się o rezydencyi w miasteczku J. Mości księdza kuzyna, składa jemu wizytę, a wyrażając się jego własnemi słowy: „nogi księdzu biskupowi całuje".

Sztywna, chuda, niezgrabna, a samolubna, a wszechwładna w panowaniu nad ojcem i domem

jedynaczka Alfonsyna, i nieodstępna jej, w roli mentorki, towarzyszka angielka, miss Burglife, dają się przybyłemu nazajutrz księciu jenerałowi, jak łatwo się domyśleć, namówić na odpoczynek do Brańska. Książę Robert w ciągu kilkodniowego ich pobytu, występuje jako ofiara, zdecydowany poświęcić się...... Pannie Alfonsynie młody książę bardzo się podoba, Miss Burglife, ujęta, wmawia jej, że się w księciu kocha i jest szalenie lecz dystyngowanie kochana; hr. ojciec ręce córki całuje, że się księciu podobała i już ją księżną nazywa; stary książę syna błogosławi i dając mu 1000 dukatów na prezent ślubny, pozwala się jemu w Warszawie, dokąd ma odjeżdżającym hrabiemu i hrabiance towarzyszyć, tejże hrabiance oświadczyć i wraz z jej trochę za chudą i bardzo czarną ręką, wziąć bez żadnych już przywar, dwoma milionami naładowany pugilares. Słowem wszystko zdaje się iść najlepiej, w najlepszym ze światów. Skoro jednak ożenienie to mogłoby im na przyszłość choć zaprzedanym, zachować ich ojcowiznę, a szanownemu autorowi chodziło, nie aby ich na prawdę ratować, choć nie właściwemi środkami, a jedynie chciał wykazać, że ci szlachetni, czyści a nieszczęśliwi, a tonący, chwycą się choćby tak zohydzonej deski ratunku; deskę tę nawet przed nimi zanadto forsownie cofnął i znowu w przepaść ich pogrążył.....

Oto na wieczorze u mecenasa Hartknocha w Warszawie dowiaduje się czytelnik z ust dawniej znajomego księcia Roberta, iż tenże (Robert) przed kilku

nastu laty kochał się w Warszawie, w jakiejś awanturnicy, utytułowanej hrabiną, u której na miłosnej schadzce znalazł szczęśliwszego rywala; wyzwawszy go i zraniwszy w pojedynku, wojsko, Warszawę i niewierną kochankę opuścił, niestety! aby przez lat kilkanaście tęsknić jedynie za nią w Brańsku, gdzie go poznaliśmy.

Dziś, asystując w loży pannie Alfonsynie, zostaje przez dawną kochankę hrabinę, w przeciwległéj loży siedzącą i na widok jego od przytomności odeszłą, poznany, która omdleniem swem całą konkurencyę paraliżuje, kompromitując go w oczach panny i ojca, a głównie roznamiętniając z nową siłą, bezustannie tlejącą, choć ukrywaną miłość dla niejże samej.

I rzeczywiście tego jednego byłoby dosyć, dla ludzi więcej znajomych świat i mniej uprzedzająco dla księcia Roberta uprzedzonych, jak hr. Mościński i jego córka Alfonsyna. Tu występuje czynna rola Zambrzyńskiego; ten uwiadomiony przez niejakiego Jałowczę, od dawna przezeń w roli szpiega w Brańsku nasadzonego, o przyjeździe hr. Mościńskiego do Brańska, o konkurencyi księcia Roberta i wyjeździe tegoż z Mościńskimi do Warszawy, natychmiast wybiera się tamże za nimi, i aby sobie możebnym uczynić wstęp do hrabiego, przystraja się w Warszawie podług najświeższej mody i w najętej karecie, nazajutrz po wypadku w teatrze, jedzie do hrabiego w roli adwokata i współwierzyciela na Brańsku, objaśnia go o miłosnym stosunku księcia z hrabiną, a głównie

o tegoż zrujnowanym stanie majątkowym, przekonywując, że cały posag, jaki dałby za córką, zostałby bezpowrotnie uwięziony w Brańsku, gdyby go chciał przed subhastą ratować, co wykazem hypotecznym Brańska usprawiedliwia.

Gdy i książę Robert przez kilka dni u Mościńskiego się nie pokazuje, który to czas poświęca na leżeniu u nóg hrabiny, niedającym się pojąć sposobem dziś uświątobliwionej, hrabiny przedzierzgniętej z roli grzesznicy do św. Magdaleny, hrabiny zdecydowanej wystąpić względem księcia Roberta w roli ofiary, wspaniałomyślnie przebaczającej mu, że ją zeszedł na miłosnéj schadzce, i zdecydowanej w końcu pomagać mu w ożenieniu z hrabianką Alfonsyną; cóż dziwnego, że przerażony Mościński, że obrażona jego córka, cofają się, a książę Robert, rozmarzony na nowo spotkaniem z hrabiną, powraca do Brańska, utraciwszy jedyną sposobność ratowania zagrożonego majątku posagiem panny Alfonsyny.

Jedynym praktycznym rezultatem konkurencyi księcia Roberta został list hr. Mościńskiego, napisany przez pocztę do starego księcia Norberta, w którym tenże obrzuca ich nieprzyzwoicie wypowiedzianą wymówkę, że został przez nich ze złą myślą i wolą okłamany i o mało nie zatracił córki i majątku.

Szanowny Autor, załatwiwszy się w ten sposób z młodym księciem, grzebiąc go w błocie, zwrócił się do téj idealnej, czystej, świętej prawie, do księżniczki Stelli.

Przypatrzmy się, jak po chrześcijańsku, jak po rycersku, jak po ludzku obchodzi się z nią. Niefortunna wyprawa do Warszawy księcia Roberta, list hr. Mościńskiego do starego księcia, a głównie zbyt krótki termin do subhastacyi, skłoniły w końcu mieszkańców Brańska, iż, złożywszy pewien rodzaj narady, zdecydowali, zwoławszy wiecierzycieli zaproponować im układy. Układy te wymagały przedewszystkiem znacznego kapitału, celem wypłacenia zaległych procentów, oraz opłacenia summy warszawskiego żyda Salamsona.

Wobec tej palącej troski przychodzi na myśl rządcy Gozdowskiemu niejaki Garbowski, mieszkający koło Lublina a daleki jego krewny, który handlem wieprzami i tucznemi wołami, z którymi chadzał do Wiednia, dorobił się ogromnego majątku. Pożyczką więc zaciągniętą u niego postanowił Gozdowski ratować książąt, wbrew radom pana Zenona Zubry, proponującego oszczędności radykalne w domu, oraz sprzedaż tego wszystkiego, co przez lata zbytek w tym starym, pańskim nagromadził domu.

Gozdowski zastaje w brudnej izdebce Garbowskiego w zatłuszczonym szlafroku, otoczonego rojem przetargowującego się z nim żydowstwa; przedstawiwszy cały interes, proponuje w końcu temu panu pożyczkę kilkakroćstotysięcy, czego Garbowski wysłuchawszy, nie odmawiając, nie przyrzeka; obiecuje wprzód być w Lublinie, celem przejrzenia hypoteki i ostatecznego zdecydowania się.

[illegible] w Lublinie: za-[illegible] spotyka [illegible] kió-[illegible] i kie-[illegible] wło-[illegible] zabawą w [illegible] [illegible]. [illegible] przy stole pana Garbowskiego pan Zygmunt. Pan Grabowski zaprezentowawszy się jemu jako kuzyn i dowiedziawszy się od niego, że gospodaruje najwięcej między butelkami i na bilardzie, jak mówił wesoło p. Zygmunt: „na tem gospodarstwie znam się doskonale, czy intensywne na spirytusie, czy extensywne na mleku z wodą, nie ma dla mnie tajemnic. Nie można kuzynkowi grokiem służyć, lub kieliszkiem czego bądź?" „Ci panowie drzemią, nie będę ich budził, gęby ich nektaru nie warte". Grabowski oprzeć się nie mógł czemuś prawdę rzekłszy, chłopak się mu bardzo podobał, czy aby stwierdzić, że: „de gustibus non est disputandum", a kapkę też lubił zwłaszcza starą. Rozstali się najlepszymi przyjaciołmi w świecie"?).

Punkt o godzinie objadowej zjawił się stary Garbowski przy wyszukanym objedzie i kieliszku, zagajono znowu rozmowę o Brańskich. Jednocześnie Gozdowski, mówiąc o wczorajszem poznaniu jego syna, miał sposobność desperującemu o niego ojcu pora-

dzić, aby go wprowadził w lepsze towarzystwa, krótko mówiąc, doradzał mu, aby wszedł z książętami w interes, a przy interesie syn łatwoby się tam mógł wkręcić, kto wie, przy księżniczce jest przyjaciółka panna Antonina Zurbianka, wychowana jak księżniczka i nieuboga, możnaby go z nią wyswatać, a jakby się ożenił, toby się odmienił.

„To go znasz, chmurno rzekł Garbowski, to taki chłopiec, że trzeciego dnia oknem do księżniczki wleść gotów".

I tego to ichmościa, któryby zaledwie „przy interesie mógł się do Brańska wkręcić", tego rozuzdanego wieprzarczuka, który, włażąc przez okna, nawykł objawiać swe sentymenta, swoje zapały realizować, tego wyżytego ekstenzywnem i intensywnem życiem nicponia, szanowny Autor, p. Kraszewski, na kochanka, a choćby na męża i opiekuna księżniczki Stelli wybiera? O zaiste, szkoda, stokroć szkoda nie Brańskich, nie Stelli, boć ich fałsz nie dosięga, ale szkoda poteranej odwagi szanownego Autora, „odwagi godnej lepszej sprawy". Powiedz, opowiedz nam panie Kraszewski, nie zadrzałoż ci serce tym niedającym się przewidzieć ciosem ugodzone? Zaprzyj się, że ojciec, brat lub przyjaciel nie porwał się w tobie, by zatrzasnąć drzwi przed figurą, która niepokalane dotąd progi pokalać miała? Żeś, żeś, nie wiem już nawet, co byś miał uczynić, abyś nie już samego owego Zygmunta z okna, albo choćby rozpustną myśl jego, z cichego dziewiczego, niepokalanego pokoju Twej

córki lub siostry wytrącił? Wybaczy mi czytelnik, wybaczy sam szanowny Autor, jeśli chwilami braknie mi dość spokoju, aby bez uniesienia zdążać za kapryśną, za znarowioną myślą autora, który tak trującą strawę w kryształowej czaszy czytelnikom (zwabionym imieniem jego) podaje.

Nie wszyscy przystajemy na „Machjawelską" zasadę: „że cel uświęca środki", z odrazą odtrącamy ją od siebie tak, jak z oburzeniem nie przystajemy na cel Autora, bezkarnego zohydzenia i zamordowania Brańskich!

Szanowny Autorze! *Quo titulo* rzucasz czystego szlachetnego, młodzieńca „Roberta", w objęcia, co mówię, do stóp rozpustnicy? Czy że czysty? że szlachetny? czy.... tylko, że Brański księciem? czy nie mogąc dosięgnąć hańbą dziewiczego czoła Stelli, chcesz go zohydzić, zniżając ją przez fałszywie pojętą, a w naciągany sposób narzuconą ofiarę?

Szanowny Autorze! Dla najbardziej uprzedzonych nie zdoławszy Brańskich obwinić, nie potrafiłeś tem samem uniewinnić siebie, z wydanego na nich (bez winy) wyroku potępienia.

Napróżno się osłaniasz tem, że niby sami oni na ofiarę się oddają, pożądając śmierci.... O, zaiste, gdyby to, co jako *in potentia* tkwiąc w tej powieści, objawić się *in actu*, przejść w czyn miało, tysiące takich, jak Stella, szukałoby śmierci ofiarnej, by śmierci hańbiącej uniknąć!.... Czyliż przez to staliby się win-

nymi?! Czyliż przez to, szanowny Autorze, przyznanoby ci tytuł sprawiedliwego?

Czas szybko uchodzi.... nadszedł więc i straszny dzień układów z wierzycielami, które do niczego nie doprowadziły, gdyż stary Garbowski (mimo oburzenia Gozdowskiego, któremu otwarcie to wypowiedział) pożyczał jedynie pod warunkiem, że księżniczka Stella wyjdzie za syna jego Zygmunta; prawnicy i wierzyciele rozjechali się, czas oznaczony na subhastę zbliżał się. Pozostawał jedyny środek, podawany przez p. Zenona Zubrę, natychmiastowego sprzedania przedmiotów zbytkowych, dla pokrycia należności, zanim Zambrzyński, położeniem na nich aresztu, ostatecznego, a heroicznego środka tego nie uniemożebni.

Gdy po całonocnej daremnej naradzie, nic stanowczego nie postanowiono, nie mogąc wpaść na myśl: jak zmienioną stopę domu i brak mebli, biblioteki, obrazów, zwierciadeł, sreber i t. d. zakryć przed okiem księcia Norberta i księżniczki Stelli, weszła w biały już dzień do apartamentu brata sama księżniczka, ze spokojem, powagą i słodyczą w głosie, odzywając się: „Bracie drogi! co ci jest? tyś cierpiący, spałeś tę całą noc w krześle, mów, czy czego nie trzeba? co ci jest?!"

„Ale nic, moja droga, odparł Robert, czytałem długo, zasnąłem ze znużenia, rozmawialiśmy ze stryjem, mimowolne westchnienie wydarło się z piersi".

„Mój drogi, odezwała się, przysiadając się na małym stołeczku u nóg jego, lękam się, że wy, mnie za

dziecko mając pieszczone, wszystko przedemną taicie. Ja przeciwnie, jestem tak ślepa. Cóż się stało? drogi Robercie? ja mam odwagę, ja chcę wiedzieć, ja chcę z wami podzielić się troską, wszystkiem, co dotknąć was może — mówcie mi, nie oszczędzajcie mnie".

„Wejrzeniem czułości pełnem, prawie łzawem, wejrzał na nią Robert: była tak piękną, tak dotąd szczęśliwą, tak spokojną! Miałże jednym wyrazem zniszczyć to dzieło rąk Bożych oszczędzane tak długo? Zamilkł. Ona wzięła dłoń jego w drobne rączki i przymilając mu się rzekła: „Na miłość twoją braterską dla mnie Robercie! mów mi prawdę całą!" Dziecko ty moje! zawołał brat, wieszże ty, czego się po mnie domagasz? czy dźwigną ramiona twoje losy, które na nas spaść mają? Do dziś dnia nic się jeszcze nie stało, Stello moja, lecz dłużej taić ci nie chcę. Powoli byt i mienie naszego domu chyliły się ku ruinie. Wyczerpały go ofiary, wojny, wypadki, może zbytnia ufność w Opatrzność i nałóg życia, którem żyliśmy wieki. Jesteśmy zagrożeni ubóstwem!! Bóg dał, Bóg wziął, niech Imię Jego będzie błogosławione. „Ubóstwo, dodała, a! to nie dla nas! myśmy młodzi! — ubóstwo? cóż to — praca? ale nigdy upokorzenie, a! nigdy! Czy ty się lękasz ubóstwa?" Ja, nie! zawołał Robert! zagrzany jej wyrazami, ja nie, ale dla nich!!.... Stella zbladła, pierwsze słowo, które się z ust wyrwało, było: ojciec! biedny ojciec, ojcu nie mówcie. Wszak ludzie pracują, odezwała się, wszak i my możemy pracować, dla siebie, dla nich.

Ja się nie zlęknę ubóstwa, o nie, ale ojciec, ale oni, ale biedni starzy słudzy, przyjaciele, cóż z nimi? Dla nich ubóstwo może być nędzą"... Tu dowiedziawszy się od brata, że stryjowie wiedzą i pomagają, podała Robertowi rękę: „Bracie męztwa, męztwa! my dwoje musimy robić wiosłami na tej tratwie rozbitków, myśmy młodzi i silni. Nasze szczęście w ich szczęściu. Ci starzy, to nasze relikwie przeszłości, to cały ród: dziady, pradziady, uosobione w ich świętych postaciach.... dla nich miejmy siłę. Nam nie wolno rozpaczać i paść, płakać; my musimy dźwigać co najcięższe.... Robercie słyszysz mnie?" Słyszę, Stello kochana, i uczę się od ciebie obowiązku!!

Wszystko powyżej przez nas zacytowane, jest tak po mistrzowsku skreślone, tak porywająco piękne, ta cała Stelli z bratem rozmowa, iż nie można opędzić się pokusie, by tu cośkolwiek pominąć. Tak, jest to porywające, lecz zarazem jakąż napojone trucizną, jak próżne prawdy r z e c z y w i s t e j, choć prawdą a r t y s t y c z n ą zniewala. Jakto, zkąd rozpieszczonej, nieświadomej życia Stelli, prawdy tak wielkie, tak wzniosłe, że nie powiemy o samem ich wypowiedzeniu!? Zkąd panience, rzuconej nagle z wyżyn spokoju, ciszy i szczęścia w odmęt najtrudniejszych życia warunków, życia tego świadomość? Szanowny Autor nie troszczy się tem, lecz my, pełni podziwu i niedowierzania, pytamy: krew to, czy intuicya, czy natchnienie?! Lecz szanowny autor zdaje się krew lekceważyć, o intuicyi nie wspomina, a w natchnie-

nie, przez które spływa widzenie, cud, to chyba sam na innem miejscu, oddzielnie upewnić raczy, że wierzy.

Otóż pełni podziwu, pytamy: jaką siłą, za jaką przyczyną powstaje ta, jakby z głowy Jowisza wyrosła, zbrojna w cały rynsztunek orężny do walki z życiem i z losem, Minerwa? Dlaczego słabej, niedoświadczonej panience, każe Autor kreślić program i dźwigać ciężar, silnemu tylko męskiemu umysłowi i krzepkim męskim ramionom właściwy? jeżeli to ma być nie sztuczny fajerwerk, a piorun — jeżeli z tego barwą i wonią porywającego kwiatu, ma być pożywny owoc. Autor nie ma wiary w potęgę, którą wkłada w usta Stelli, nie wierzy, by słowo, czynem się stało. Gdyby wierzył, nie brat od niej, ale ona od brata dowiedziałaby się wielkiego słowa: obowiązek! Przez całą epokę chrześcijańską: „głową niewiasty (więc głową rodu) mąż!“ Gdzie niema męża, niema głowy, a bez głowy niema rady, a gdzie niema rady — upadek, śmierć... I znów mimo misternych obsłonek widnieje z góry zawyrokowana dla nich przez szanownego autora — śmierć. Winni czy niewinni, mniejsza, ale osądzeni....

Czytelnik czuje nawskróś, że prawda wypowiedziana przez Stellę nie ma życia, bo to nie Stella mówi, bo to nie jest prawdą Stelli. Stella, Polka, Stella chrześcijanka, Stella Brańska, byłaby to poczuła, wypowiedziała i wykonała, lecz nigdy Stella Kraszewskiego z Moriturów. Pan Kraszewski zmusza figury swoje mówić nie to, co mogą, co z określenia

ich charakterów i z tego, co ich właściwie u niego stanowi, mówić i czynić powinny; ale to, co się jemu podoba. Nie są to więc figury żywe.... to nie ludzie.... są to manekiny, za kurtyną dość przezroczystą, ręką Autora poruszane.... Gdzie nie ma ludzi żywych, więc wolnych, tam nie ma życia odpowiedzialnego, więc nie masz prawdy życiowej.... więc i odpowiedzialności za życie być nie może... Lecz zkąd kara, kara śmierci i to haniebnej?!... Tak się szanownemu Autorowi podobało!!.... basta!!....

Idźmy dalej. Otóż Gozdowski nagli, książę Hugon marzy o pomocy Rotszylda et consortes, z którym był w zażyłości. W oficynach i dworkach na różny sposób słudzy i przyjaciele Brańskich radzą o pomocy im — a ks. Serafin woła: „Pan Bóg tego nie dopuści, to rodzina pobożna, to ludzie świątobliwi, Kościołowi wierni, dla sług jego dobroczynni, czekajmy końca". Tego i następnych dni nic się jeszcze w życiu i porządku nie zmieniło; Gozdowski wyjechał był na zwiady, czy już nie poczynają czego wierzyciele, gdy posłaniec pod niebytność jego nadbiegł z kartką od ks. Abłamskiego, oznajmującą, że ks. Sufragan po krótkiej słabości, tegoż dnia, nad ranem, Bogu ducha oddał.

Śmierć jego, na którego pomoc w radzie i w ofierze tyle rachowano, była dla rodziny niewynagrodzoną.

Po ks. Sufraganie, miasto spodziewanych kapitałów, pozostały jedynie dość znaczne długi i zapisy

w testamencie wyrażone, a konieczność przyzwoitego pogrzebu zmusiła księcia Hugona napisać z plebanii do brata Norberta list z zawiadomieniem o nagłej śmierci ks. biskupa i z prośbą: o niezbędne na koszta pogrzebu pieniądze.

Książę Norbert z listem krótkim ale serdecznym posłał też same 1000 dukatów, które były przeznaczone na klejnoty dla hrabianki Alfonsyny: „Nie płaczmy nad nim“, pisał, „ubyła jedna święta dusza, powołana do orszaku wybranych Pańskich.... Nie płaczmy nad nim, szczęśliw jest, my biedni!“

Śmierć ks. Sufragana zagroziła niezmiernie położeniu rodziny. Ks. Sufragan testamentem swym zaklinał brata, aby ubogim, od których się był zapożyczył — aby przyjść w pomoc familii — jak najprędzej należności ich powrócone być mogły; czynił to, zaklinając ich i błagając, aby na sumieniu jego krzywda i łzy nie ciążyły, dodawał: że nie będzie miał w grobie spokoju, dopóki sumy te zapłacone nie zostaną. Postanowiono z księciem Norbertem, że te sto kilkadziesiąt tysięcy znaleść potrzeba i natychmiast wypłacić. W parę dni po naradzie, książę Hugon, wmówiwszy w pana Brata konieczność reperowania zagrożonego nagle ruiną pałacu, usposobił go do zamknięcia się na zimę w kilku tylko mniejszych pokoikach i popakowania obrazów, biblioteki, sreber. Po tej rozmowie, która kawalera Maltańskiego wiele kosztowała, pospieszył on do Gozdowskiego, który nań czekał w pustych już pokojach.

„Widok tych pokoi miał w sobie coś niewymownie smutnego, jakby inwentarz po zmarłym. Znoszono tu, co stanowiło chlubę i bogactwo tego domu, rzeczy zapomniane, niedobywane i niewidziane dawno, które jakąkolwiek wartość mieć mogły. Cała podłoga zastawiona była srebrami z różnych epok i pochodzenia rozmaitego. Staroświeckie misy i roztruchany, półmiski, wazy i stosy talerzy, paki łyżek, tuziny lichtarzy i kandelabrów, pozłociste puhary, nalewki, miednice, wyprawne jeszcze babek i matek, zebrały się razem, powyrzucane w pośpiechu, zwalone jak łom na kupę. Można było przeczuć, że jako srebro, i na wagę kruszcu sprzedawać się będą".

„Pamiątkowa i artystyczna wartość tych cennych wyrobów niknęła. Dwóch służących niosło ze skarbca stary, dawno nieużywany, hetmański stół srebrny i sporą srebrną wannę, którą kochający małżonek, wojewoda podlaski, niegdyś dla żony był sprawił. Na wielkich ucztach rozlewano z niej później czerpakami wino dla szlachty. Miała pozłociste obręcze i lwie złocone głowy przy uszach".

„Przy ścianach szeregiem stawiano cenniejsze obrazy, skupywane niegdyś za granicą przez dziada i ojca księcia Norberta. W drugiej stronie stawiali kredencerze serwisy saskie, drogo opłacane za lepszych czasów. Ogołacano dom ze wszystkiego, byle temi ostatkami dług sumienia spłacić i choć grosz jaki zachować na straszne dni czarne".

„Z nieubłaganą gorączką chodziła Stella, przynosząc sama, co inni zachować chcieli i ocalić. Lica jej pałały, oczy paliły się, choć powieki pełne były łez gorzkich, gorących“.

„Stelko! dziecię moje, wołał jenerał, nie męcz się, niech to inni już wykonają, nadto cię to kosztować będzie“.

„A! nie stryju, ja dopilnuję, aby nic nie zostało, nic, bez czego my się obejść możemy, a co ojcu i wam przedłużyć może zapewnie swobodniejsze życie; odrazu spełniona ofiara lżejszą będzie, nie dzielmy jej“.

„Te pamiątki, te drogie pamiątki, szeptał książę Hugon, a dziś to już tylko kruszec, który pójdzie i stopnieje w ręku żyda. Składały się na to: sztuka, myśl, dzieje, serce zrobiło z tego świętość, lecz wszelka rzecz ziemska umrzeć musi!“

„Odwrócił się biedny stary, patrzeć nie mógł. Stelka wybiegła i po chwili wróciła, niosąc w chustce kilka pudełek z safianu; były to ze szczęśliwszych też czasów spadki po jej matce, podarki ojca: sznury pereł, naszyjniki z ametystów, brylantowe kolce, złoto i kamienie, uśmiechające się weselem, szczęściem, woniejące jeszcze ucztami i muzyką“.

„Bez żalu złożyła je z innemi kosztownemi rzeczami na ziemi. Do czego to mnie? rzekła z cicha, ja tego nie potrzebuję; wzdrygałabym się, patrząc na to, żem śmiała ocalić, gdy wszyscy rzucili na pastwę losu, co kto miał najdroższego. Ten ślubny pierścionek

matki wyproszę, tego dosyć". Odwróciła się, rzucając pudełka.

„Robert się chciał opierać, ale odtrąciła go lekko. Bracie, nie czyń mnie samolubnem dzieckiem, zawołała, niech będę mężną niewiastą; przecież rycerska krew płynie w mych żyłach".

„Takim to głosem wyrzekła, że oczy przytomnych wszystkich podniosły się na nią. I łzy nie miała już w oku; stała promienna cała, jakby zwycięzka, jakby dumna sobą. Książę Hugon przyszedł, całując ją po rękach: „dziecko święte!" zawołał, *ma foi!* dałaś mi naukę wielką, po co ja mam chować dla siebie to, com tak kochał. Niech idą na sprzedaż kosztowne zbroje i puklerze, miecze i wszystko. Pakować moją zbrojownię, książki moje, co tylko się sprzedać może! Robert i Stella z okrzykiem sprzeciwiali się temu, lecz jenerał na prawdę począł się gniewać. Przyszła godzina ofiar, ja się wyłączać nie mogę, nie chcę, byłbym we własnych oczach spodlony! Com rzekł, to uczynię. Panie Gozdowski, proszę o paki, niech idzie wszystko! Życie moje niedługie, a honor milszy nad nie".

„W chwili, gdy słudzy znosili obrazy, służący postrzegł przepyszny portret Rubensa, który do najcenniejszych należał. Jeden z przodków domu, z Władysławem IV znajdując się za granicą, gdy Rubens malował sławny wizerunek królewicza, znany ze sztychu Pontiusa, zażądał zeń posiadać dzieło arcymistrza i wymógł na nim, że mu w dwóch, czy w trzech

dniach to płótno z natchnieniem i werwą sobie właściwą wykończył. Znać było na niem, że artysta-dyplomata robił je dla miłego towarzysza, jakim był książę Brański; znać było, że pewno złotem pokrył mu druh to pochwycone i unieśmiertelnione życie! Nie był to portret zimny i urzędowy, ale fantazya artysty, igrającego sobie z najtrudniejszem zadaniem, wydarciem z głębi człowieka ideału tego typu, którego on jest urzeczywistnieniem; był na nim ów młody książę, w całym blasku swych lat dwudziestu kilku, swej buty książęcej, swojego szczęścia i sławy. Twarz, zbroja, suknie, postawa, wszystko stanowiło całość cudowną, zrosłą w jedno dziejów przeszłości słowo".

„Wizerunek był, jako artystyczne dzieło, przepyszny, lecz zarazem nieoszacowany jako pamiątka. Przekazywały go sobie z poszanowaniem pokolenia, historyę jego zapisywano w inwentarzach, opowiadano, przeszła w tradycyę i z dumą powtarzano ją do dziś dnia. Na widok portretu jenerał i Robert pobledli, spojrzeli na siebie, żaden z nich wyrokować nie śmiał, czy i on miał iść w świat, aby przynieść garstkę złota zubożałej rodzinie. Dawano za niego 3000 talarów, rzekł Gozdowski, to mi sam pan szambelan zaręczał. Trzy tysiące talarów! dziś, gdy one stanowiły o zapłaceniu wdowie jej długu, sierotom ich chleba kawałka, gdy niewiadomo było, czy wszystko to starczy na zmycie grzechów przeszłości! Książę Hugon odwrócił się, żeby nie patrzeć, Robert milczał".

Z całego domu tak znoszono, co miało wartość jakąś, aż do gobelinów, które okrywały ściany jednego gabinetu, aż do drogich cacek, co dwa i trzy wieki spokojnie na stołach drzemały, świecąc misternemi rzeźbami i wysadzaniami swemi. Cały salon zarzucony był, nabity. Pośród tych gruzów przeszłości jenerał, Robert i Stella stali jak ofiarnicy, nie mogąc się od nich oderwać. Słudzy zawijali i pakowali, a z każdym sprzętem ginęła w zapomnieniu pamięć czynu, ofiary, zdarzenia, jedno ogniwo tradycyi łańcucha, który raz zerwany, nigdy się już zrosnąć nie może. Gozdowski był tu katem, co miał zadać śmierć drogim zabytkom!...

Już dosyć, o dosyć!... serce, dusza, na tym smętarzu pamiątek, wobec tych rozbolałych a takich ofiarnych, dłużej wytrzymać nie może.

Ktokolwiek jesteś, szlachetny czytelniku, jeżeli wobec tego, Rubensowemu równego obrazu, nie czujesz się być porwanym majestatem boleści, zachwytu, dumy, jeżeli w twych piersiach nie zapalił się święty ogień ofiary, jeżeli wraz z temi skazanemi, duchem się do niej nie zrywasz, czując się jej godnym i dorosłym do niej: biada, o biada tobie!...

Myśli! rwij się ku obronie!... serce! krzykiem rozpaczy i oburzenia wołaj: tu nie sprawiedliwość a bezprawie, tu nie obywatelskiej odwagi cnota, tu zbrodnia się dokonywa....

Gozdowski był tu katem! woła Autor. A jednak każdy z patrzących wie, w kim kata widzieć należy;

a jednak każdy szlachetny czuje się usposobionym zawołać słowami Pana: „Ojcze przebacz nam! przebacz katowi! on nie wie, co czyni"! A Ojciec ten Przedwieczny, ten Wiekuisty, ten Sprawiedliwy, przebaczywszy katowi, dosięgnie Sędziego! „On rękę pokarze, nie srogi miecz!"....

Szanowny Autorze! oskarżycielu tych zgóry potępionych a skazanych przez Ciebie synu i bracie! boć próżnobyś się chciał zaprzeć: tyś synem, tyś bratem! i to tak hojnie przez tę rodzinę uposażonym, tak sławionym, tak ukochanym przez nią.... próżnobyś się chciał zaprzeć; syn tylko, tylko brat może znać te najsubtelniejsze drgnienia, które robią w duszy ojca lub brata, które dyszą w sercu matki lub siostry, podnosząc całe rody do ducha ofiary, uświątobliwiając je.... Synu i bracie, osądziłeś źle!... Tobież! o tobież przystało stanąć jako pierwszy oskarżyciel na oskarżycieli czele?! tobież to chorążycu przystało przewodzić z chorągwią tym, co przyszli twoją mordować rodzinę, aby się spuścizną krwawo zapracowaną obłowić?

Zamiast nas, braci swoich po krwi, którzy wraz z Brańskimi wierzymy, kochamy, spodziewamy się! zamiast nas jako żołnierzy powołać do wspólnej obrony, do świętej walki pod sztandarem Chrystusa, z pieśnią Bogarodzicy, ty ręce katów przeciw nam uzbrajasz; przeciw nam, boć Brańscy, to wspólna z nami wielka Szlachecka Rodzina, to wspólny Zakon.... Brańscy, to my!

W imię tego wszystkiego, co Brańscy wraz z naszymi, więc twoimi dziadami i ojcami czcili, co kochali, w co wierzyli, czego się krwawym potem oblani przez wieki dorabiali, a ty szanowny Autorze wiesz najlepiej, że pod godłem czczonego krzyża, pod cieniem obyczaju, dążyli przez ukochaną ojczyznę ziemską do najukochańszej niebieskiej, w imię tych wszystkich świętości, świętych dla dobrego wnuka i syna, zaklinamy cię: odwołaj niesprawiedliwy wyrok! nie ten, któryś wydał na Brańskich, ale ten, który wydałeś przez nich na siebie, odwołaj go, aby cię słusznie oburzona rodzina „złym ptakiem“ nie nazwała! Aby dowodząc życia, życiem czynu, życiem miłości, życiem ofiary, nie zadała kłamu twemu sądowi i twojemu proroctwu, dając ci niesprawiedliwego sędziego, fałszywego proroka miano!...

Gdyby ten sąd przypadł na Piłata, Piłat zawołałby: „w tych ludziach nie znajduję wiary!“ a ty, szanowny Autorze! ty, Kraszewski! wołasz jak Żydzi do Piłata: „krzyżuj Syna Maryi! wypuść Barabasza!“ Potrzebaż mi tu jeszcze dodać cokolwiek do odwzorowania tego wielkiego dramatu? Z wydarciem Brańska szlacheckie życie Brańskich skończone. Tak, życie ich skończone... i powieść kończyć się musi. Pozostają tu jedynie dla widoku czytelnika, że się tak wyrażę, konwulsye, śmiertelne kurcze, śmiertelne podrygi ofiary.

Rzymianie, którzy z artyzmem umieli umierać, togą zakrywali sobie twarz, aby ostatnich oko widza

koniecznie rażących, owych kurczów śmiertelnych nie dostrzegło. My, dla tej jedynie, gdyby już żadna inna, więcej duchowa, nie działała w nas pobudka, chętnie rzucamy zasłonę z całunu na bohaterskie twarze, na męczeńskie ciała tych wyznawców prawdy, którzy z krzyżem w jednej, a z palmą męczeńską w drugiej ręce, idą na śmierć, aby tej prawdzie świadczyć.... aby w jej imię Bogu, narodowi i rodowi służyć...

Jako epilog, dla zaspokojenia jedynie podrażnionej ciekawości czytelnika, a głównie: że Autor tak chciał, bo w tem miejscu powieści nie kończy, z niekłamanym wstrętem do dalszego jej ciągu wracamy i aby w jak najkrótszych słowach uczynić tym powodom zadość, przytaczamy: Książę Hugo, widząc, iż nawet mimo doprowadzonej pożyczki od Garbowskiego (pod warunkiem, że Stella Garbowską zostać się ofiaruje), majątku ocalić nie potrafią, rażony apopleksyą, umiera. Zembrzyński albowiem, widząc spłaconą swoją sumę, sumę odpowiednią, od Garbowskiego pożyczoną, nabywa dziwnym, prawie cudownym składem, sąsiedni z Brańskiem majątek — a z nim prawo do wznowienia, od wieku prowadzonego, a porzuconego w końcu procesu, o połowę lasów Brańskich, w dyferencyi będących; rozumie się proces ten wygrywa, powołuje do kalkulacyi i weryfikacyi, i cały Brańsk w posiadanie swoje zagarnia.

W wigilię wyrzucenia Brańskich w imieniu prawa z ojczystego ich majątku, zjawia się w Brańsku Zembrzyński; wypadkiem zastaje księcia Norberta w tejże samej kancelaryi, w której go spotkał ów afront ze strony księcia, temuż się przypomina, powiada że się mścił, i że zemsty dopiął, i że w końcu księcia z rodziną, bez możności opłacenia wszystkich swoich wierzycieli, jutro obdartych i bez grosza z rodzinnego gniazda wyrzuca, a gniazdo to sobie zabiera.

Od ostatecznego poterania cnoty, w imieniu Brańskich, a tryumfu zbrodni w imieniu Zembrzyńskiego upostaciowanych, broni jedynie szlachetne znalezienie się księcia Norberta, który w sposób ludzki, chrześcijański, pański, Zembrzyńskiego gromi, odbierając całą rozkosz zemsty: moralne upokorzenie ofiary. Pokazuje się albowiem, iż książę Norbert z dawniejszych lepszych czasów, miał na czarną godzinę zachowane u siebie w złocie kilkakroć sto tysięcy złotych, któremi wszystkie wierzytelności popłacił, i mógł co kosztowniejsze pamiątki ocalić i, przeniósłszy się na mieszkanie do ocalonego z rozbicia dworku z ogrodem w Lublinie, mógł pamiątki te przewieźć ze sobą, a z procentu od pozostałych mu jeszcze dwóchkroć sto tysięcy złp. zamienionych na listy zastawne, uczciwie choć bardzo skromnie z rodziną się utrzymywać. W tym to dworku, ukazuje nam Szanowny Autor, jak z za mgły modlącego się, osiwiałego starca księcia Norberta, księcia Roberta,

syna, czytającego i marzącego, i w końcu księżniczkę Stellę, za którą tęskni, do której wzdycha ciągle wyszlachetniający się (?!) pan Zygmunt, w żałobie po zmarłym nagle ojcu....

Tu wyraźnie zabrakło idei szanownemu Autorowi, czuje się, iż myśl jego ustrzęgła na jakiejś nieprzepartej zaporze, tworcza siła jego sparaliżowaną została. Szanowny Autor zdaje się nie wiedzieć, że ci, co mają tradycye, i to takie tradycye, że ci co mają ideę, ideę tak wielką, tak nieśmiertelną, jak idea Ojczyzny, jak idea religii... że w końcu ci, którzy w imię tych tradycyj szanownych, w obronie tych nieśmiertelnych idei, zdolni ofiarować wszystko, jak to w utwore jego czynią Brańscy, zdaje się, powtarzamy, nie wiedzieć, że tacy nie są — nie mogą być Moriturami!!

Jak z drugiej strony, szan. Autor, Kraszewski, możeż nie pojmować, że Brański, że szlachcic Polski, któremu potem jego i pokoleń całych zroszoną ojcowiznę z pod stóp wydarto, i którego na bruk rzucono, na bruku tym żyć nie może, umiera na bruku — umiera, bo go pozbawiono właściwego żywiołu do życia, bo mu odjęto możność spożytkowania siebie wedle tradycyi, to jest wedle celów, które mu Opatrzność, umieszczając na ziemi, wskazała. A szanowny Autor, przez cały tom powieści życie ich dalej snuje, niejako po śmierci żyć każe. I Kraszewskiemu to nie wiedzieć, że dla szlachcica polskiego jego wioska rodzinna, ten ojczysty ziemi

kawał, którą ojciec, dziad, pradziad dziedziczył,... gdzie tych ojców, tych dziadów, szanowne, bohaterskie, nierzadko święte, spoczywają kości — że to świętość prawdziwa; że brat szlachcic, z którym wioski tej bronił, że młodszy brat kmieć, z którym wioskę tę orał.... że dwór stary, w którym stała jego kolebka, i ojca jego trumna, gdzie mu Matka ręce składała do pierwszego pacierza, gdzie z balsamicznem ożywczem powietrzem wioski, dolatywały doń najpierwsze urocze nuty, któremi chwalono jego ukrzyżowanego Boga, i sławiono jego ukrzyżowaną Ojczyznę, to skarby najdroższe, i Kraszewskiemu to powtarzamy, nie wiedzieć, że szlachcicowi odebrać tak ohydnie to wszystko, to tyle, co biedne ptaszę wyrzucić z gniazda, to tyle, co skazać go na śmierć... to zamordować go!!

Otóż, jakeśmy to kilka razy w ciągu naszego zastanawiania się nad powieścią wypowiedzieli, ty szanowny Autorze, z myślą zgóry powziętą Brańskich zrobiłeś Moriturami, Brańskich jako szlachtę zamordowałeś; i to nie mając nikogo, kogobyś godnie i zasłużenie, więc właściwie, więc dodatnio, mógł na ich miejsce postawić. Oto, w czem ci grzech twój, jako syna i brata wykazujemy. Oh! więcej wiary! więcej nadziei, więcej miłości! panie Kraszewski, jeżeli chcesz żyć nieśmiertelnie, i nieśmiertelne życie budzić... albo wszystko to, czem ojcowie twoi — więc tacy Brańscy żyli, zostało ci jedynie w pamięci, a nie ożywia już twej osłabłej duszy! Mniemana sła-

bość Brańskich, za którą mianujesz ich Moriturami, to nie ich — a twojej duszy rzetelna słabość Autorze!!.... Brańscy żyją, bo kochają, bo się poświęcają.

Wybacz, szanowny Autorze, ale ty, który w piśmie swojem każesz nam nie wierzyć w to, w co nieśmiertelni nasi i twoi ojcowie wierzyli, który każesz przestać kochać to, co oni ukochali, ku wiecznej przekazując miłości, chyba chcesz: abyśmy, biorąc powieść twoją do serca, na prawdę uwierzyli, żeśmy Morituri....

I dlatego lękam się, aby następne słowa wieszcza nie zwróciły się do Ciebie:

Wieczno-trwały ten na ziemi,
Kto swą śmiercią życie plemi,
Lecz kto życiem swem śmierć daje,
Ten, gdy skonał, nie powstaje...
. . . . . . . . . . . . . .

Ale powstrzymujemy sąd nasz i słowo ostatnie o tej tendencyjnej, a w formie powieści wypowiedzianej, obywatelskiej idei Autora, a przejdziemy za nim do IIgiej części tego poematu, zatytułowanej „Resurrecturi", przejdźmy aby zobaczyć, jaką mocą, jakiem zaklęciem p. Kraszewski, który żywych pogrzebał, umarłych wskrzesza!! Panu Kraszewskiemu, który nie ma łzy Chrystusa nad umarłym przyjacielem „Łazarzem", w którym nie płonie wieszczy ogień natchnionej duszy „Zygmunta", ani zapala wiara Marka Karmelity, nie przystają brzemienne cudem, boskie słowa Chrystusa: „Łazarzu, tobie mówię: wstań" !!

Rozdział II.

# J. I. Kraszewski a zakon szlachecki

## b) Powieść „Resurrecturi".

Resurrecturi!... mający zmartwychwstać! wielkie, cudowne słowo... wielki, porywający, cudowny akt. Czytelnik, z bijącem sercem, oczyma ducha, wyprzedza szanownego Autora; w umyśle stwarza bohaterów, układa sytuacye, postaciuje wywody. Raz, na podstawie sprawiedliwości, w nagrodę wiekowych zasług szlachty! to znowu, nie wdając się w żadne mniej lub więcej właściwe wywody, a wprost na podstawie chrześcijańskiego dogmatu „Łaski", Brańskich (nazwanych poprzednio przez Szan. Autora „Moriturami") wskrzesza! Brańskich już pogrzebanych, wita radosnem hasłem: „Resurrecturi!"

Do duszy, podniesionej samym tytułem powieści, rzucają się pełne miłości słowa Mistrza, wyrzeczone do księcia „Jaira", rozżalonego śmiercią jedynej swej córki, rzucają się boskie słowa Mistrza: „Dzieweczka nie umarła, ale śpi". Jednocześnie czytelnik, ośmielony temi ojcowskiemi słowy Chrystusa, z wiarą księcia Jaira, idzie za Mistrzem, idzie pełen nieznanej grozy,

namaszczenia, ufności, pokory, idzie, aby upaść na twarz przed tym, któremu dość wyrzec wszechmocne, boskie słowo, wyrzeczone do książęcej córy: „Panienko, tobie mówię: wstań! i aby panienka wstała i służyła im“. Nim cud się stał — nim dzieweczka wstała i służyła, czytelnik pełen uszanowania, wraz z ojcem jej Jairem, rodziną i dworem, śmierć jej opłakującym, jak w piśmie, cofa się: aby Mistrz uczynił co mógł, aby co przyobiecał spełnił... My również, pełni uszanowania dla obywatelskich cnót i dla talentu czyli dla duchowej siły cudownie natchnionego Autora, cofamy się z podstawieniem mu (niejako) naszych wyobrażeń, pragnień naszych, aby, idąc śladem boskiego Mistrza, mistrz Autor, uczynił samodzielnie a samowiednie, co mógł, aby spełnić co (w tytule) przyobiecał.

Zanim jednak przejdziemy do samej cudownej akcyi — do powieści, zanim wraz z resztą oczekujących na ustępie (czytających tę powieść), którzy oglądaliśmy dzieweczkę (Brańskich), bez jej winy umarłą, a tak opłakiwaną; zanim przystąpimy, aby cieszyć się i radować, widząc ją (Brańskich) choćby bez żadnej z jej strony zasługi wskrzeszoną, i na nowo służącą, na nowo ofiarną: nie możemy oprzeć się sympatycznemu usposobieniu, z nadającego się podobieństwa między powieścią świętą a powieścią Kraszewskiego. Książę Jair zgrzeszył niewiarą i utracił jedyną córkę; umarła mu nic niewinna panienka; książę Jair uwierzył (w boską moc Chry-

stusa) a wiara Jego, wiara ojca, wskrzesiła umarłą jego jedynaczkę. Tak, wiara jego wskrzesiła ją, bez żadnej z jego strony zasługi. Dzieweczka, która była umarła: dla ojca, dla rodziny i otaczających (którzy wraz z Jairem uwierzyli), dla wiary Jaira, i dla wiary ich wskrzeszoną dla nich została: a dla siebie zaś, wskrzeszoną jest już bez żadnej osobistej zasługi, a wprost z „łaski", aby jak ojciec jej uwierzyła, i aby wdzięczna (za wskrzeszenie) Panu i im służyła!

W podobieństwie i rodzina książąt Brańskich w „Moriturach" umarła (jak to wykazaliśmy) bez żadnej z jej strony winy, a wprost jako zbyt srogo, bo sromotną ukarana śmiercią, ukarana za winę, za grzech głowy jej rodu, za policzek dany Zembrzyńskiemu, ręką jej ojca, księcia Norberta. Rodzina więc książąt Brańskich zmartwychwstanie w „Resurrecturach": Bogu i ojczyznie, dla wiekowej, czynnej wiary jej ojców, choćby bez osobistej z ich strony zasługi; zmartwychwstanie zaś dla siebie, wskrzeszona jedynie cudem „łaski" z tem jedynem wskazaniem: aby wskrzeszona podobnie dzieweczce biblijnej, uwierzyła, ukochała i miała nadzieję w to wszystko, w co ojcowie jej wierzyli, co kochali, czego się spodziewali i aby służyła Panu i im, to jest, aby tę swoją wiarę, tę miłość, tę nadzieję, w czyn przez poświęcenie się wprowadziła. Ale nie uchylajmy przed czasem tajemniczych drzwi, za któremi ma się stać przyobiecany przez szan. Autora cudowny akt wskrzeszenia. Nie uchylajmy, a w skupieniu wierzą-

cej duszy przygotowujmy się do dziękczynienia Panu, że dał w łasce Swej moc jednemu z braci naszej — powołania do dalszego, przerwanego chwilowo życia tych, którzy śladem ojców będą wierzyć, kochać, spodziewać się, którzy będą poświęcać się.

Czytajmyż samą powieść.

Stara kasztelańska rodzina „Horeszków", przykońcu XVIII wieku nabyła od rządu ekonomię królewską „Zawiechow", sąsiadującą z Białowiezką puszczą.

Członkowie tej rodziny, schodząc aż do ostatnich zstępnych, których szan. Autor jako Resurrecturów przedstawić zamierzył, wyrażając się jego słowami: „stracili majętność, częściami ją odsprzedawali; zostali przy jednym folwarku, a gdy i ten przyszło oddać wierzycielom, excypowali ostatni kąt. Wyłączono „Horodyszcze" z zamkiem i parą włokami gruntów otaczających". Do tęgo opuszczonego ongi zamku szan. Autor, wprowadziwszy zainteresowanego czytelnika, w jednym z jego pokojów, położonych na pierwszem piątrze, w tak zwanej salce ukazuje staruszkę, panią starościnę Horeszkową, rozmawiającą z niewiele młodszą klucznicą swoją, a dziś jak się dowiadujemy z rozmowy ich, opiekunką i jakoby dobrodziejką fizycznie i moralnie zniedołężniałej i osłabłej starościny — z Piotruską. W ciągn niniejszej rozmowy pani starościny ze starą a gderliwą Piotruską, szan. Autor szkicuje charaktery ich obu, wraz z fizyonomią domu i charakterami osób, kolejno mających się

ukazać na wielkiej scenie życia, a nateraz w powieści „Resurrecturi" informuje: że p. starościna jest babką trojga, po jej synu ożenionym z Osmulską pozostałego, a żyjącego obecnie rodzeństwa, przedstawiającego się w osobach wnuczki i dwóch wnuków. Korzystając, że w chwili poczynającej się powieści żadne z nich nie znajduje się obok tęskniącej za niemi starościny babki, gdyż najstarsza z rodzeństwa, panna Cecylia, wzięta z domu babki przez daleką jej krewną, hr. Julię, a która, nie chcąc u hrabiny jeść darmo chleba, przyjęła obowiązek guwernantki u pewnych hrabiostwa, z któremi jeździła za granicę, a jako panna z głową i energią bardzo się wykształciła, od której to w chwili obecnej babka niecierpliwa i zaniepokojona listu oczekuje; jak również zaniepokojona zbyt długo przeciągającą się nieobecnością dwóch młodych wnuków, 20-letniego Henryka i 18-letniego Juliana; korzystając, powtarzamy, że w tej chwili w salce nie masz nikogo więcej, prócz starościny i jej klucznicy, przypatrzmy się (idąc za formą przyjętą w powieści) im obu i samemu pałacowi, a w szczególności salce, w której o nieobecnych wnukach rozmawiają obie.

Od pierwszych i początkowych stronnic powieści „Resurrecturi" uderza inny, jak w „Moriturach", nastrój, wieje inny pod względem zapału i artyzmu duch, a bardziej przygniata, tłoczy pierś czytelnika jakiś szczególny brak ducha, brak natchnienia, brak tej siły cudownej, która interesuje, porywa,

zniewala. O ile „Morituri“ mieściły w sobie tak wiele, tak bardzo wiele tego wewnętrznego ognia duszy, co, jak powiedzieliśmy, porywa, unosi, ożywia, choć traktowały o osobach zgóry na śmierć przeznaczonych, o tyle „Resurrecturi“ ubezwładniają, ubezsilają, uśmiercają, choć traktują o zmartwychwstaniu!... o życiu!...

Jeżeli w „Moriturach“, nie mogąc zgodzić się z szan. Autorem na zasadę, pełni jednak zachwytu dla jego talentu, czuliśmy się nieraz podbijanymi mistrzostwem stawianych przezeń sytuacyj kreślonych obrazów, z których wszędy widniało życie, tętniała krew; w „Resurrecturach“ przeciwnie, od pierwszych zaraz stronnic, gdzie szan. Autor, wprowadzając czytelnika do tak zwanej „salki“ w Zawiechowskim pałacu Horyszków, ze szczególniejszą intencyą, w karykaturalnych poniekąd rysach, kreśli obraz powierzchownej i wewnętrznej nędzy pałacu, powierzchownej i wewnętrznej nędzy i grzesznego opuszczenia się starościny i jej klucznicy: od pierwszych, powtarzamy, stronnic zawiewa z powieści tej przygniatająca bezduszność — zawiewa tchnienie mogilne — śmierć!

Zadziwieni, zawiedzeni, jakby zimną wodą oblani, decydujemy się do dalszego czytania powieści.

Otóż w chwili, gdy starościna, siedząc w brudnym pokoju, na brudnem krześle, przed brudnym stolikiem, w zabrukanym szlafroku, z robotą podejrzanej czystości od rąk, jeżeli nie elegancko, to przy-

najmniej z niekoniecznem staraniem o czystość utrzymywanych, bezsilnie zezwala na pociechy, bardziej do gderania i strofowania podobne, swej klucznicy Piotruskiej, która ją uspokaja: że „Julek“ i „Henryś“ z wycieczki w sąsiedztwo wkrótce powrócą, a od „Cesi“ list nadejdzie — otwierają się drzwi, z przedpokoju do salki prowadzące i.... wchodzi żyd!...

Z radosnego powitania go przez obie kobiety dowiadujemy się, że nim jest pan Szmul. Szmul jest to dawny arendarz karczem w całym Zawiechowskim kluczu, a dziś zamożny właściciel kamienicy „pod Żubrem“ w miasteczku „Zawiechowie“. Ze szczególnem zamiłowaniem, jakby rodzajem kokieteryi, narysowywa go nam szan. Autor. Od sympatycznego, poważnego wyrazu twarzy, od mocno już siwiejącej, a starannie utrzymanej brody i rąk schodząc aż do żupana, dobrze rysującego się na okazałej postaci Szmula, szanowny Autor, z troskliwością zchodząc do drobiazgów, zatrzymuje baczność czytelnika, nawet na jego trzcinowej, o srebrnej gałce lasce. Jakby dla kontrastu z opuszczeniem i bezmyślnością starościny, z oczu Szmula widnieją wola i myśl, z postawy energia i siła, z ubioru czystość i wdzięk. Jestże to obraz przypadkowy, czy umyślny? jestże to obraz? czy portret? obraz to żyda w Polsce? czy portret Szmula w powieści? Dość, że w tych ramach, na tem tle, w tem otoczeniu Szmul — żyd — a raczej pan Szmul, występuje: jako siła do-

datnia, jako światło, jako nadzieja, jako skuteczna, a opatrzna pomoc!?

I w rzeczy samej, podług powieści, pan Szmul, uprzejmie a protekcyonalnie pozdrowiwszy starościnę, uspokaja ją doniesieniem: że Henryś i Julek w sąsiedztwie dobrze się bawią, są zdrowi i wkrótce powrócą. Bierze na siebie wywiedzenie się na poczcie o list od panny Cecylii i przysłanie go natychmiast przez listonosza, jeżeliby się na poczcie znajdował. W końcu pan Szmul w sieniach Piotruskiej (która za nim wybiega) skarżącej się, że w domu niema żadnego zapasu, ani żadnego funduszu nie posiadają, rubli 10, wyraźnie rubli dziesięć pożycza.

Przed odejściem ma sposobność, zagadnięty przez starościnę, wypowiedzieć morał, naukę, czy też radę, treści następującej:

„Tylko nie fatyguj się sam na pocztę, powiada do Szmula starościna. Ach! co fatyga!?... zawołał Szmul, u mnie jest kogo posłać, wnuków jak maku... Starościna spojrzała nań ukradkiem.

„Mój Boże, odezwała się, ty o swoich wnuków, choć ich masz więcej, nie troszczysz się jak ja; dla ciebie one bogactwem, błogosławieństwem Boskiem, a dla mnie... taką troską".

„Wsparty na kiju żyd jakiś czas milczał, zdawał się namyślać, aby przykrego czego nie przypomnieć. „Niech to jaśnie pani nie obraża, rzekł zwolna, ostrożnie, zdobywając się na wyraz każdy. U nas obyczaj inny, u nas.... tu się jeszcze zawahał,

byle chłopak dorósł, wie, że sam musi pracować na siebie. Moja rzecz dopilnować, aby się zdrowo wychował, i Pana Boga swego znał; moja rzecz, dać mu pomoc małą, a potem, jak prawo każe, musi sobie iść szukać chleba, i musi znaleźć".

„Starościna zamyślona słuchała, Szmul ciągnął dalej: „U nas obyczaj inny, bo ubogi żydek, byle zarobić kawałek chleba, nie wzdryga się niczego... a u jaśnie państwa paniczowi tego nie wolno robić, bo wstyd — tamtego nie może, bo ciężko — innego znowu, że ani dziad, ani ojciec tego nie praktykowali".... I spostrzegłszy, że twarz staruszki posmutniała, nie dokończył Szmul.

„Prawda, prawda, odezwała się starościna — wam w życiu łatwiej daleko".

Zanim pójdziemy dalej z tokiem powieści, zmuszeniśmy zatrzymać dłużej nad zacytowanym ustępem uwagę czytelnika. W tym to niby mimochodem, tak niby przymusowo, że tak powiemy „na kijku" wypowiedzianym, a niedokończonym, a w usta żyda włożonym ustępie, tkwi jedna z cudownych sił, jakich szan. Autor użył w ciągu powieści jako dźwigni do podniesienia z upadku, do wskrzeszenia „Horyszków" czy Brańskich w szczególe, a szlachty polskiej w ogóle.

Otóż przypatrzmy się, co dalej szanowny Autor pojmuje być życiem, i co jako godziwy i właściwy środek do zdobycia tegoż życia podaje. Na troskę starościny o los i o życie wnuków, wahając się,

przestając, nie domawiając, powiada żyd, na co szanowny Autor zdaje się w zupełności przystawać, bo idee szmulowskie w ciągu powieści, przez usta i działalność różnych, do tejże powieści wprowadzonych osób, rozwija i w stosowaniu apostołuje, powiada, powtarzamy, żyd: „U nas obyczaj inny.... u nas, chłopak, aby dorósł, i Pana Boga swojego znał, aby otrzymał pomoc małą, musi iść chleba szukać i musi go znaleźć“. I u nas, o! i u nas obyczaj inny! my przeciwnie, przed wielu rzeczami wzdrygamy się w pogoni naszej za chlebem pojętym (i potwierdzonym w powieści) jako byt czysto materyalny, jako użycie; my przed samem już użyciem dla użycia wzdrygać się mamy obowiązek. My z calą siłą wierzącej i kochającej duszy, obowiązaniśmy odrzucić osiągnienie choćby najpożądańszego celu, gdyby go nieszlachetnemi zdobywać przyszło środkami!... gdybyśmy byli zniewoleni nie wzdrygać się przed niczem! gdyby nas wszystko (choćby już nie dla samego chleba nawet) przyjąć zmuszano!... Mamyż więc w tem obyczaj nasz zmienić? . . . . . . . .

„U jaśnie państwa, powiada dalej Szmul, paniczowi jednego robić nie wolno, bo wstyd; drugiego, bo ani ojciec, ani dziad tego nie robili“. Tak jest, bo u nas znowuż obyczaj inny. My się wielu rzeczy, robionych przez żyda, wstydzimy, a szan. Autor wie równie jak my, czego to się w podejmywanych przez żyda zajęciach sromamy, i co z rozlicznych robót żydowskich rumieńcem wstydu twarze nam nasze

obleka... To tylko i tylko to, w co dziadowie i ojcowie nasi wierzyli, co kochali, za co się poświęcali, w to tylko wierzyć, to kochać i za to jedynie poświęcać się nam wolno, i za to się, mimo pomyślnością wieńczonych zasad i obyczajów żydowskich, zawsze poświęcimy!...

Stanąwszy oko w oko z jedną z przewodnich, a przez Szmula półgębkiem wypowiedzianą ideą szanównego Autora, zatrwożeni zapytujemy go: więc taż to idea ma być tą siłą cudowną, którą nas wskrzesić usiłujesz? Zapytujemy, czy na prawdę wskrzeszenie nas, których w „Moriturach“ samowolnie pogrzebałeś, jako cel dobrego chrześcijanina i Polaka za święty a obowiązujący nas cel swój, szlachecki synu, postawiłeś?

Jakto, więc pan, panie Kraszewski, postawiwszy jako pożądany a jedyny cel nasz, w przyszłości „chleb!“ nawołujesz nas dla zdobycia go, do odmienienia naszej świętej wiary, do odmienienia z tejże wiary płynącego — naszego wiekowego obyczaju?! I dla jakiej to innej wiary, dla jakiego to innego Boga chcesz, abyśmy naszej św. wiary, naszego Ukrzyżowanego odstąpić się ważyli? Dla jakiego to innego obyczaju moralizujesz, abyśmy obyczaj nasz zmienili?!...

Godłem wiary naszej... krzyż!... godłem obyczaju.... szlachetność! A pan, szanowny p. Autorze, w miejsce naszego ukrzyżowanego Boga! stawiasz nam boga-cielca, w miejsce obowiązującej nas z obyczaju naszego szlachetności, stawiasz, nie sro-

manie się przed najhaniebniejszemi środkami!! I takież to Pańskie osławione wskrzeszenie?! Usiłowałeś nas pogrzebać z Brańskimi w „Moriturach“, ale czułeś, że z tego grobu powstaniemy, i dlatego chybaś napisał „Resurrecturi“. Ucząc nas przez Szmulów zaprzeć się sromotnie naszego Boga i obyczaju naszego, abyśmy z Horyszkami nie powstali już nigdy?....

Zmartwychwstaje się z pod gromu,
Nie zmartwychwstaje z pod sromu!!

Oto życiowa wiara nasza, i tej na wiekuistą przyszłość obowiązaniśmy wiernymi pozostać, i tej przy łasce Bożej wiernymi pozostaniemy!... Tak, pozostaniemy jej wiernymi, chociażby nas na przeciwne tory, najbardziej zręcznemi i pozornie niewinnemi sofizmatami sprowadzić chciano — chociażby głosy te były równe powagą naukową powadze szanownego Autora „Resurrecturów“.

Nie nastraszą nas wyroczne niby słowa nieuniknionej (jakoby) naszej śmierci! ani zwabi ułudny zwodniczy głos syreny, choćby nam o (tak zatytułowanem) „zmartwychwstaniu“ mówiono i śpiewano.

Pozostaje nam przejść do dalszego toku powieści, aby naocznie się przekonać, żeśmy dopatrzyli jednej z istotnych sprężyn, za pomocą których szan. Autor mniema objawić cudowny akt zmartwychwstania, aby naocznie się przekonać: że siłą rabinowskiego zaklęcia, przy współdziałaniu (tak zwanych „utylitarnych“ — „praktycznych“), a w istocie bez-

bożnych czynników, czyli sprężyn przyobiecanego zmartwychwstania Brańskich (czy jak w obecnej powieści Horeszków) nie ujrzymy!

Niedługo po odejściu Szmula, odwiedza starościnę miejscowy proboszcz, ks. Kulebacha. Ks. Kulebacha, jest jednym z dwóch typów księżych, bezustannie powtarzających się w powieściach p. Kraszewskiego: księdza Labusia i księdza prostaka. Ks. Kulebacha należy do typu ostatniego. Myśli, które objawia, zdania, jakie wypowiada, z zupełną stosownością mógłby wypowiedzieć każdy poczciwy gajowy starościny.

Prostactwo ma tu zastąpić ewangeliczną prostotę, która ma tyle zniewalającej siły w duchowym dusz naszych pasterzu, w pasterzu czującym się do odpowiedzialności przed Bogiem, za wiekuiste losy, powierzonej jego pieczy „Chrystusowej owczarni".

Na drugi czy na trzeci dzień przyjeżdżają młodzi Henryś i Julek Horyszkowie, których wizyta sąsiedzka przeciągnęła się tak bardzo, z powodu przeszkód, a bardziej z powodu jawnej niechęci, okazywanej starszemu z nich Henrykowi przez sąsiada Horyszków, p. Sławczyńskiego. Przyczyną niechęci, był gwałtowny romans między młodym Henrykiem, a córką Sławczyńskiego, Hanną. Ojciec panny, nie zważając na sentymenta zakochanych, przeznaczył córkę młodemu swojemu sąsiadowi, niejakiemu Mazurowiczowi, z którym ją nawet zaręczył. Zaręczyny owe odbyły się właśnie w czasie owej wizyty, zapo-

wiedzi ogłoszono, a Sławczyński dom swój młodym Horyszkom wypowiedział. Łatwo pojąć rozdrażnienie, z jakiem obaj młodzi, a szczególniej Henryk do domu powrócił. Henryk, nie mogąc się pogodzić z myślą, że kochana jego Hanna zostanie panią Mazurowiczową, układał z młodszym Julkiem, a może i z rozkochaną podejrzanej moralności panną, plany wykradzenia jej. Sytuacya stawała się tem drażliwszą, że Henryk był bardzo ładnym, choć surowym chłopcem; panna Hanna zaś, jeżeli mniej może ładną była, ale bardzo zepsutą dziewczyną, a do tego bogatą — a raczej rodzice jej bogatymi byli. Majątkiem to otrzymać się mającym w posagu, jaki panna Hanna wnieść miała, umyślił młody Henryk posiąść majątkową niezależność i podupadły stary ród i stary dom Horyszków do dawnej powrócić świetności. O ile młodszy brat utwierdzał w tem i dopomagał bratu Henrykowi, o tyle Sławczyńska, matka, utwierdzała i dopomagała córce swej, Hannie, ułatwiając listowne między zakochanymi wyznania. Tak stały rzeczy, gdy pewnego dnia zjawia się nam znajomy Szmul i oddaje Henrykowi list od siostry jego, panny Cecylii, pisany na ręce tegoż Szmula, przez ostrożność, aby, przychodząc pocztą, nie dostał się do rąk babki starościny. W liście tym prosi ona brata, aby przygotował babkę do jej (Cecylii) przyjazdu do Zawiechowa, który, mimo że w ostatnim liście donosiła babce, iż jeszcze na bardzo długo myśli zostać u hrabiostwa, gdy obecnie wyjazd jej „stał się ko-

niecznością, obowiązkiem", wkrótce nastąpi, prosi o przygotowanie dla niej dawnego pokoju, obok pokoju babki.

Nazajutrz, po otrzymaniu i odpisaniu na ów list panny Cecylii do wspomnionego wyżej zajazdu pana Szmula „pod Żubrem" w Zawiechowie, zajechała elegancka kareta, ciągniona przez 4 pocztowe konie. Elegancki kamerdyner, pomógłszy wysiąść z karety, wytwornie przedstawiającemu się młodemu mężczyźnie, którego natychmiast do najokazalszego w zajeździe pokoju wprowadzono, pozostał do zdjęcia tłomoczków.

W tym zajeździe mieściła się (tak zwana) restauracya i bilard. W chwili właśnie, gdy kareta zatrzymała się przed zajazdem, grający w restauracyi w bilard z kluczem, niejaki Pan Machczeńko, sekretarz biurowy w Zawiechowie, wyprawił swego partnera (kelnera), aby się wywiedział o nazwisku przybywającego. Kelner wrócił, nic się od kamerdynera dowiedzieć nie mogąc, a Machczeńko rozgniewany, przestawszy grać, kazał sobie podać herbaty z rumem. Jednocześnie dał się z drugiego pokoju słyszeć głos p. Drapackiego, wołającego o kotlety. W tem drzwi się otworzyły i wszedł nowo przybyły gość.

Byłto 40-letni, trochę łysy, wykwintnej powierzchowności i stroju, bardzo jeszcze młodo wyglądający i bardzo piękny mężczyzna. Znalazłszy się w jednym pokoju z Drapackim, właścicielem ziem-

skim, posiadłość swą niedaleko Żawiechowa mającym. zawiązał z nim pozornie obojętną rozmowę, zacząwszy od zrujnowanego zamku, czy pałacu Horyszków, jaki z okna, przy którem siedzieli, widać było. W rozmowie tej dowiedział się, że Horyszkowie, niegdyś stara, pańska, zamożna rodzina, dziś ostatecznie zrujnowana, która, „gdyby siostrzeniec starościny, pan marszałek, kiedy niekiedy groszem nie zasilał, byłoby to z głodu poumierało, taka tam bieda". Jest tam, mówił, dwóch młodych wnuków, ale ci, choć złote chłopcy, nic prócz politury nie posiadają i siostra ich p. Cecylia.

„Oj, ta panna Cecylia, mówił dalej (Drapacki), nie było to starsze nad 16 lat, gdyż ztąd wyjeżdżała, a moja żona powiada, że takiej sensatki, jak żyje, nie widziała. Co to, mości dobrodzieju, dodał wzdychając „szlachcic"! mówią: krew nic, a ja mówię: krew szlachecka wszystko!.... Kiedy jeszcze była tutaj, w kościele, w perkalikowej sukience przyjedzie i stanie w kątku, a na królowę wygląda".

„Tak samo i chłopcy, szałaputy i wisusy, a popatrz na nich, choć na królewskie pokoje! Gołe to a wygląda... ustępuj z drogi!... Pany! Pany"...

„Lecz że też znacznej, jak pan powiadasz, rodzinie i zapewne skoligaconej, przyszło tak zejść do nędzy prawie, zapytał gość? Skoligaconej, a pewnie że skoligaconej ogromnie, począł Drapacki, wzdychając i popijając herbatę, ale czyż to dziś jeszcze jest solidarność w rodzinach, albo w naszem szla-

chectwie? Brat bratu nie pomoże... pada kto, to go jeszcze nogą kopną.... dawniej się szlachta trzymała, dziś te węzły popękały w niwecz... Szlachta!... Niema już Mości Dobrodzieju szlachty!!“

A to co?! Co znowu nowego zwiastujesz światu, szanowny Mości Dobrodzieju?!

„Szlachty niema“?! I tobież to p. Kraszewski! tobie, synu szlachecki! uwierzyć w ten pseudo-patetyczny frazes!? I tobież to, tak światłemu, tak wykształconemu, który swojemi pismami karmisz nas przez pół wieku, tobie uwierzyć na słowo i to jakiemuś „Drapackiemu“, mieniącemu się być szlachcicem, uwierzyć na słowo, wypowiedziane, gdzie....? w garkuchni!?

I tobie to, tak wprost z tej garkuchni, tak zaraz na ciepło, roznosić po świecie tę tyle niedorzeczną, ile złośliwą, a fałszywą blagę, roznosić jakby szczęśliwą nowinę!? I uwierzyć, tak błahemu twierdzeniu, tobie, autorowi „Resurrecturów!?“ i to w chwili ich tworzenia!!

Jeżeliś na prawdę sam, szan. Autorze, uwierzył, że szlachty niema, kogoż więc wskrzeszać zamyślasz? chybabyś chciał stworzyć? ale wtedy nie będą to już „Resurrecturi“ ale „Creaturi“, i to kreatury „*sui generis*“...; szlachta „*de re, et nomine*“ pewnie się do nich nie przyzna!....

Szanowny Autorze! nie wierz Drapackiemu, tak jak my ani Drapackiemu ani Szarpackiemu nigdy nie uwierzymy, choćby nam nietylko w środku ale

na początku i na końcu podobnego frazesu postawił „Mości Dobrodzieju!"

Że jednak Kraszewski, że kaniowita nie znalazł na słowo zaprzeczenia właściwego słowa dowodu istnienia szlachty po dawnemu, choć w innych zniewolonej obracać się warunkach, a ztąd inaczej na zewnątrz się wypowiadającej, tu zdziwienie, tu głęboki ból, uczyniony nam braciom szlachcie, nadmiarem cierpienia usta zamyka. Tak, usta nam zamyka: aby krzyk oburzonego serca nie określił się słowem przekleństwa! Przekleństwa dusznie chcemy oszczędzić nie autorowi „Moriturów" i „Resurrecturów", a tyle znakomitemu bratu naszemu, po wspólnych wielkich wspomnieniach, po krwi, a daj Boże, bratu wspólnych nadziei, pożądanej, a przez natchnionych, a przez świętych mężów naszych przepowiedzianej przyszłości!!...

„Szlachty niema już, Mości Dobrodzieju!" Szan. Autor „Resurrecturów", pan Kraszewski, razem z „Mości Dobrodzieju" szlachty dopatrzeć nie może, niestety, szlachty nie znajduje. Laland! uczony Laland! szukał Boga teleskopem po niebie, szukał i... o zgrozo, nie znalazł Go! Kraszewski! uczony Kraszewski! z teleskopem „Mości Dobrodzieju" szuka szlachty Polskiej po ziemi ojczystej i.... i nie znajduje jej. Laland nie znalazł Boga w przestworach niebieskich, bo go w swem zepsutem sercu nie miał!" Kraszewski, autor „Moriturów" i „Resurrecturów", nie znajduje szlachty na całej ziemi Polskiej obszarze,

nie znajduje, bo już jej „Mości Dobrodzieju w sercu swojem niema!!“

A choć Laplace, podobnie Lalandowi, z innej strony robiąc przegląd świata (a podziwiając w nim wieczno-trwałość i harmonię, dochodzi do wniosku, że nie widzi potrzeby Boga, gdyż On (Bóg) psułby jedynie tę cudowną harmonię, tę zgodę, tę trwałość; świat jednak, świat nie dowierza tym uczonym, tym piśmiennym, i z tęsknotą, a niepokojem wzywa uczonych, nowych piśmiennych, i o Boga wciąż pyta, wciąż woła Boga!

Cóż robią mądrzy? cóż wymyślają piśmienni tego czasu? Oto, nie mogąc podołać Wszechmocnemu, nie mogąc ogarnąć Bezmiernego, a Bezgranicznego, zmieniają „lunetę“ na „mikroskop“ i... o cudo! świat cały, świat tak przedtem ogromny, tak niezmierzony, maleje, maleje coraz a coraz, i patrzcie, podziwiajcie, oto świat cały zmieścił się na tych mędrców dłoni. Przeglądają oni go we wszystkich kierunkach, ściskają jeszcze i jeszcze, aż świat cały zamknęli w komórce — w komórce tak małej, że już jej żadną miarą wymierzyć nie można; cóż myślicie łatwiejszego, jak stworzyć taką odrobinę, taką komórkę?... świat cały z zapartym oddechem, z wytężonym wzrokiem, patrzy na mędrców, wyczekuje... Aż znużony daremnem wyczekiwaniem, już śmiać się zaczyna z tych rzekomych Bogów, co Boga zastąpić mu mieli; z tych, co potrafiwszy świat ścisnąć aż do najmniej-

szej odrobiny, do komórki, do molekuli, do atomu, odrobiny tej stworzyć nie są mocni!!

Szanowny Autor „Moriturów“ w „Resurrecturach“ pragnie wskrzesić szlachtę Polską — szuka jej — lecz niestety! już jej nie znajduje! I dlatego Brańskich wskrzesić nie może! Myślał, że mu łatwiej pójdzie z „Horyszkami“, których przedtem ostatecznie poniżył duchowo, doprowadzając do mikroskopowej obywatelskiej wartości, pragnie ich wtłoczyć w komórkę swego rodzaju, jak w „Szkole“ nie udało się ze światem i z Bogiem, tak w podobieństwie i szanownemu Autorowi nie powiodło się z Horyszkami i Brańskimi — ze szlachtą (w „Moriturach“ i „Resurrecturach“).

Podobieństwo to nie tożsamość! boć i Pismo, bez ubliżenia prawdzie, „ziarnko gorczyczne“, przyrównywując do życia, do świata, w niem „życie“, w niem świat figurując, nie twierdzi przecież, aby owo „ziarnko gorczyczne“ było już samo życiem (powszechnem), światem. Użyliśmy więc powyżej przytoczonego porównania, z przyczyny bijącego w oczy podobieństwa; logicznem być osądziliśmy, do pojęć, do prac teraźniejszych uczonych: o świecie, o Bogu, przypodobić pojęcia i prace p. Kraszewskiego o szlachcie polskiej, o Polsce.

Jak Laland, jak Laplace, przeglądając świat Boży, w całym jego ogromie, w jego majestacie, Boga w nim dopatrzeć nie mogli, jak nie mogli, dojrzeć w Bogu świata tego koniecznej przy-

czyny, Boga w świecie niezbędnej obecności, ani w tymże Bogu wiekuistego celu; owszem Boga pojętego, jako przyczynowość za ułudę; Boga pojętego, jako konieczna obecność, jako Opatrzność, za przeszkodę daremną a zgubną; Boga pojętego, jako ostateczny cel, do którego jako nieśmiertelnego ducha, nieśmiertelna dusza nasza wiekuiście się podnosi i garnie, za śmieszność uznali i postanowili: tak w podobieństwie i p. Kraszewski obszedł się ze szlachtą polską w Polsce, w powieści swej „Morituri". On również ani koniecznej racyi bytu szlachty, ani opatrznościowego jej celu, ani dodatniości dla kraju, z przyczyny właśnie jej bytu, nie dostrzegł, owszem szkodliwość ztąd i zawadę widzi, w końcu ostateczne nicestwo szlachty konstatuje.

Skoro jednak ta, tak tendencyjnie napisana powieść, wobec życiowych i żywotnych warunków bytu, wobec historycznej, teraźniejszej i przyszłej działalności szlachty polskiej w Polsce, która po dawnemu żyje i działa, skoro powieść ta zaszkodzić szlachcie w niczem nie mogła, przyczyniając jedynie do tylu jej bólów, któremi ją Bóg nawiedza i doświadcza, (nawiedzaniem, doświadczaniem tem, wyraźnie do przyszłych wielkich przeznaczając ją celów), przyczyniając, powtarzamy, jedynie do tych bolów szlachty, nowy jeszcze, a bardzo dotkliwy dla niej, ból apostazyi jednego z najznakomitszych jej braci; cóż wobec tego robi p. Kraszewski?

Oto przekonany, iż, gnębiąc w „Moriturach“ Brańskich, pełnych zacności, pełnych ofiarności, do jakiej duch jedynie, i to duchem Bożym przepromioniony, wznieść się jest zdolny; grzebiąc Brańskich pod stosami ich rodowych, narodowych i religijnych pamiątek, czyli raczej pomników, uśmiercić ich jednak nie zdołał, cóż robi, powtarzamy? Oto podobnie, jak nowa szkoła, zmienia lunetę na mikroskop i na obrazie ukazuje Horyszków, czyli Brańskich w tak mikroskopijnych rozmiarach, że ich widzowie dopatrzeć prawie nie mogą, a na tej ich małości oparty, jak brzuchomówca na scenie, przez obce niby usta, z za pieca w garkuchni, woła fałszywym głosem: „niema już Mości Dobrodzieju szlachty!“

Czyż przeto, kończymy, wyczerpując porównanie, że Bóg nie pospieszył zaprezentować się Lalandowi, podróżującemu w lunecie po przestworach niebieskich (przez co Laland dopatrzeć Go nie mógł); czyż przeto, że Laplace, podziwiając cudowny ład, porządek i harmonię w wszechświecie, przyszedł do cudackiego wniosku, że Bóg nietylko nie jest potrzebny, ale nawet, gdyby był, byłby szkodliwym; czyż przeto, że nowa szkoła, zamykając się w mikroskopijnej komórce, że zmateryalizowana zaciekaniem się czysto materyalnem, materyalnem swem okiem nie widzi w tej swojej komórce miejsca dla nikogo i dla niczego, nie już dla Wszech-Boga (niby wskazując naocznie, że Bóg być nie może, skoro miejsca dlań niema); czyż przeto, powtarzamy, nie masz ciebie

Boże?!.. czyż na prawdę, pytamy, Ty jesteś nic niedziałającym, a gdybyś działał, Ty, Boże! byłbyś szkodliwym? Wielkim głosem! głosem milionów odpowiadamy: Jesteś Boże! Jesteś potęgo stwórcza! opatrzna, dobrotliwa!!..... widzimy i podziwiamy Cię we wszechświecie, pojmujemy w duszy, nosimy w sercu, ze wszystkich sił kochamy Cię! uwielbiamy Ciebie!!

Z kolei zapytujemy ciebie, szlachto Polska: czyż przeto, że p. Kraszewski w „Moriturach" na śmierć cię skazuje, że w „Resurrecturach" wskrzesić cię nie mogąc, a bytu twojego zaprzeczając, śmierć twoją majaczy, czyż przeto naprawdę niemasz już ciebie?! czyż historya Polska nie jest historyą twoją?! Powszechnym głosem odpowiadamy: Żyjemy!! — Czyż cierpienia Polski, Polski ofiary przestały już być twojemi?! Powszechnym głosem odpowiadamy: Cierpimy i pracujemy!! Czyż w Polsce, rozmyślnie wyduchownianej przez jej wrogi mieczem, piórem i słowem orężne (którzy pragną ojczyznę naszą do komórki skarłowacić), dla ducha twojego, ducha narodowego, dla ciebie szlachto! miejsca już niema?! Powszechnym głosem odpowiadamy: Jesteśmy!!

Brańscy! wy bracia nasi, wy za całą szlachtę umęczeni, i wy Horyszkowie, za całą szlachtę ośmieszeni — bracia! kochamy Was!! I nie ziszczająż się tu wyroczne słowa, słowa nie już żadnego z ludzi, ale samego Boga, do Apostołów wyrzeczone: „Wyłączą Was z bożnic: Ale przyjdzie godzina, że

wszelki, który Was zabije, mniemać będzie, że czyni posługę Bogu. A to wam uczynią, iż nie poznali Ojca, ani Mnie!"...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Schodząc do powieści, po raz już nie pierwszy, wypowiadamy, że dalszy jej ciąg nie ma już dla nas interesu, nie ma ostatecznie po wykrzykniku szan. Autora: „niema już szlachty!" bo on jej już w swoich tak nazwanych „Resurrecturach" nie wskrzesi.

Nie wiemy, jak będzie praktycznie wyglądać to, co p. Kraszewski ze swej komorki do życia powoła? ale rozumiemy, że prawdziwej szlachty Polskiej, z życia, z historyi wziętej nie będzie...

Otóż z dalszego ciągu powieści, czytelnik dowiaduje się, z ust samego Autora (o czem łatwo i tak się domyślił), że owym nieznajomym w zajeździe „pod Żubrem", był nie kto inny, tylko we własnej osobie mąż hr. Julii, hr. „Sulejowski", w którego to domu, w charakterze guwernantki znajdowała się p. Cecylia. Z jej zaś listu, w którym powiada, pisząc do brata: iż „honor i obowiązek zmuszają ją dom ten tak nagle opuścić", czytelnik przeczuwał sprawę sercowej natury ze strony jednej lub drugiej, albo ze stron obu. Domniemanie zaś swoje, z przytoczonych słów listu wywodząc i na tychże się opierając, pojął, że stan obu tych serc, pojedynczo, czy co gorsza wzajemnie, jest na tym stopniu, na którym nadzwyczaj jest trudno, jeżeli nie ostatecznie niemożebnie, ustrzedz granice obowiązku, nie postawiwszy między sobą zapory

przestrzeni, nie rozdzieliwszy się. Ową potrzebę rozdziału, bądź co bądź, zrozumiała i wykonała panna Cecylia, natychmiastowym odjazdem do Warszawy, zkąd ów znajomy czytelnikowi list naglący napisała do brata, a to zaraz po pierwszem oświadczeniu uczuć miłosnych p. hrabiego. W pogoni też za nią spotykamy p. hrabiego w Zawiechowie, dokąd przypędził, nie wiedząc, gdzie się p. Cecylia znajduje, domyślając się jedynie, że pewnie przyjechała do babki; skoro jednak, wiemy, nie było jej tam jeszcze, z Zawiechowa odjechał, umyśliwszy czekać na nią, na przedostatniej przed Zawiechowem stacyi pocztowej. i tam się z nią ostatecznie rozmówić.

Nie wdając się w szczegółowy opis, ani rozbiór właściwości lub niewłaściwości sytuacyi, w jakiej się ów hrabia postawił względem właściciela stacyi, niechętnego dłuższemu jego tam pobytowi, względem sprowadzonego z Zawiechowa doktora, weredyka, który nie chciał (mimo ofiarowanego honoraryum) w ułożoną przez hrabiego słabość uwierzyć, oraz względem dalszej miejscowej gawiedzi, powiemy, że po kilku dniach długich, nieznośnego dla hrabiego a śmiesznego i ckliwego prawie dla czytelnika, źle upozorowanego, w gorzej jeszcze wybranem miejscu, oczekiwania, kiedy nareszcie on i czytelnik, każdy z innej przyczyny, tracili cierpliwość, nagle wpadł do izby, w której hrabia przewracał się na sofie, znajomy czytelnikowi sługa i powiernik hrabiego, z zawiadomieniem, że właśnie tak długo i tak heroi-

cznie, oczekiwana p. Cecylia nadjeżdża. Niczego niedomyślająca się p. Cecylia, zaprowadzona do jedynego, gościnnego na stacyi pokoju, który właśnie od dni kilku zajmował oczekujący jej hrabia, nagle, oko w oko, tam się z nim spotkała. Tu następuje łatwa do przewidzenia scena, w której hrabia, powtórzywszy jej jeszcze raz, na ten raz już przed czytelnikiem wyznanie, w swoim jeszcze domu jej objawione, usiłując wytłómaczyć, że przez rozwód, który już postanowił, a nawet rozpoczął, ani hr. żonie, ani dwóm jego córeczkom, żadnej przykrości, tem mniej krzywdy, nie wyrządzi; gdyż zaślubienie jego z hrabiną było jedynie pewnem uwzględnieniem majątkowych stosunków, z zapoznaniem potrzeby dusz i pragnień serc ich obojga, i wiele jeszcze innych, w podobnych sytuacyach, wygłaszających się zwykle komunałów wypowiedziawszy, powtarzamy, to wszystko, mimo jej oburzenia, proponuje jej, błaga ją o szczęście usłyszenia z jej ust, że żoną jego (gdy do tego będzie miał prawo przed nią samą i przed światem, jak to ma dziś przed sobą i Bogiem) zostanie.

Po różnych, długich, może za długich za i przeciw, ze stron obu, hrabia z wyznaniem, że kochać jej, że starać się o jej wzajemność, przez całe życie nie przestanie; ona, że nigdy nie chcąc być wobec hrabiny za okazywaną sobie przez nią przyjaźń niewdzięczną — względem zaś córek jego, wobec ich dla siebie miłości, niesprawiedliwą, żoną jego nie zostanie. Każde z nich w inną stronę rozjechało się,

wzajemnem, choć na różny sposób wypowiadającem się dla siebie uczuciem miotani. Wygłoszone przez nich postanowienia jako nieodwołalne, jako nieubłanie na życie obowiązujące, przez obie strony postawione i postanowione zostały. Przy której ze stron miało pozostać zwycięztwo, ocenić nie trudno. Ale trzymajmy się toku powieści. Po rozstaniu się, a bardziej po ucieczce swojej, przed ścigającym a tak kochającym, a w skrytości tyle ukochanym hrabią — p. Cecylia przyjeżdża do babki, do Zawiechowa, przyjeżdża z mocnem, jak powiedzieliśmy, postanowieniem zerwania dawniejszych, a zawiązania jednocześnie innych, ułożonych i po części już wprowadzonych, jak się dowiemy, w wykonanie warunków życia.

Otóż po rozpatrzeniu się w przerażającem opuszczeniu, nieomal ruinie Zawiechowskiego pałacu i jego mieszkańców, nietylko, że się dotykalnemu nieszczęściu, a grożącej a nieuniknionej nędzy pokonać nie daje — owszem, postanawia heroicznie nędzy stawić czoło, ruinie zapobiedz, a na ich miejscu postawić niezależny byt, a rodzinie, a imieniowi dawniejszą należną im świetność przywrócić.

Drugą to już z kolei rozbieramy powieść p. Kraszewskiego, i w obu z nich, jako siła działająca dodatnio, męzko, występuje kobieta, co mówię, tu i tam występuje młode, niedoświadczone dziewczę. Nie chcemy się w uwagach naszych, pod tym względem wypowiedzianych już o Stelli w „Moriturach“ powtarzać, zaznaczamy tylko, że to się dzieje raz po raz.

Nie jest to więc przypadek, owszem przedstawia wypowiedziane w ten sposób pojęcie szanownego Autora o rodzaju niezaradności szlachty, w mężkim jej personażu. Jeżeli raziło nas to w „Moriturach" niewłaściwością, w „Resurrecturach" razi tendencyjnością, jest już grzeszne. W „Moriturach" widzimy kobietę, występującą jako siła bierna, tam jeszcze kobieta jest kobietą, jako broniącą rodzinnej zagrody, gniazda, jako strzegącą wiary i obyczaju — jest lwicą, ale zawsze tylko lwicą; w „Resurrecturach" występuje już ona jako (kobieta) siła dodatnia, czynna, mężka, więc tworząca,.... to już nie kobieta, to jakiś *hic mulier*, to nie lwica, to już bezgrzywny lew!...

Mężczyzna, zrzucający z siebie małodusznie ciężar i odpowiedzialność życia, aby niem obarczyć słabszą, jego opiece oddaną niewiastę, wyraża jawnie a haniebnie akt swej niemocy, abdykuje! Autor, postawiwszy w przedstawionej przez siebie historyi, i to historyi pod poważnym, namaszczonym tytułem „Resurrecturi", postawiwszy, powtarzamy, jako głównie działającą panienkę, a bardziej oddawszy jej niewieścim rękom ciężar jej żeńskości właśnie niewłaściwy, obarczywszy ją brzemieniem, z pod którego uchyla mężczyznę, jakkolwiekby urabiał z niej amazonkę duchową, nigdy bez zaprzeczenia prawdziwie artystycznej, życiowej, przyrodzonej, więc prawdziwie bożej, nigdy postawionej w ten sposób niewiasty, na koniecznej wyżynie utrzymać, więc mającego być dźwignionym ciężaru dźwignąć nie zdoła.

Jak wobec tego przedstawia się Autor sam, a szczególniej, jak tu wobec (w mowie będącej) powieści, pod wzniosłem hasłem „Resurrecturi", przedstawia się p. Kraszewski? Oto zdaniem naszem, jako niemający wiary we własną siłę wskrzeszenia tych, których wskrzesić usiłuje; jako nieznajdujący niby dostatecznego w nich przygotowania, więc siłę tę przelewający na niewiastę. Szan. Autor zapomina, że niewiasta, nawet w najwyższym swym majestacie, nawet w majestacie macierzyństwa, nigdy, przez żaden zakon, do podobnej, czynnej, twórczej akcyi powołaną nie była; siłę tę więc na niewiastę przelewając, konstatuje nietylko ostateczną bezsilność męzkiego rodzaju szlachty (aby wskrzeszoną być mogła), ale i swoją własną niemoc, a bardziej, a głównie swoją własną wyraża niewiarę! Ponieważ bez wiary nie masz zmartwychwstania, więc, z Bożej siły budzącego do życia, z Bożej siły zmartwych wskrzeszającego, abdykuje! Abdykacya i akcya wzajem się znoszą; a tak, znów wykazuje się niemożebność zmartwychwstania osób niniejszej powieści, postawionych w warunkach, przez szanownego Autora nakreślonych.

Idźmy dalej. Nie rozbierając szczegółowo wrażenia, w miasteczku i okolicy za ukazaniem się panny Cecylii wywołanego, wrażenia za ukazaniem się panny tak pięknej i wykształconej, wspomniawszy jedynie o sympatycznem zrazu dlań usposobieniu młodzieży męzkiej, zanim się przekonano, że panna do miłostek

zupełnie skłonną nie jest; pominąwszy zawiść matek, mających córki na wydaniu, i taką, przez posłuszeństwo matkom, zawiść panien wydać się pragnących, oraz inne podobnej wartości objawy — przychodzimy wprost do samej przyczyny, a mianowicie: do owej tajemniczej dotąd siły, za pomocą której szan. Autor obiecuje Brańskich czy Horyszków, a w rzeczy samej szlachtę wskrzesić, to jest wrócić jej zasłużone, przynależne, a słusznie czy niesłusznie (w pojęciu jego) utracone (?) stanowisko w narodzie. Otóż środkiem ku temu, ową siłą potencyonalną, potężną, sądzi być heroina Kraszewskiego kilkomorgowy ogród, pałac Horyszków okalający. Czy skarb w nim wykopała? Nie! jako żywo! Cóż więc?! Oto sprowadza z Warszawy uzdolnionego ogrodnika, niejakiego p. Prackiego, niemłodego już człowieka, który do nabytych za granicą, potrzebnych w tym przedmiocie wiadomości p. Cecylii, przydaje swoje, zdobyte nauką i doświadczeniem. Usilna praca i parotysiączny kapitalik panny Cecylii, właściwie zaaplikowany, sprawiają, że ogród do coraz lepszego doprowadzany stanu, postawiony w końcu zostaje na możliwym stopniu doskonałości.

Brat jej młodszy, Julek, aby „daremnie", jak to mówią, „bąków" nie zbijał, jest nawrócony przez siostrę do pracy i zostaje przy niej, pod kierunkiem Prackiego, najpierwszym czeladnikiem i robotnikiem w ogrodzie. Owoce, warzywa, kwiaty z oranżeryi, delikatesy z trephauzów, wszystko jest sprzedawane

przez starą „Piotruską", w oddzielnym, przy aprobacie i pomocy p. Szmula — w miasteczku Zawiechowie na ten cel wystawionym sklepiku.

Oto i całe słowo zagadki... i oto cała tajemnica!!.... I potrzeba było tyle o byt i stanowisko szlachty rozpaczać? potrzebaż, skoro niema ani jednej pańskiej rezydencyi, ani jednej szlacheckiej zagrody w kraju, któraby nie posiadała odpowiedniego ogrodu, lub w końcu założyć go u siebie nie mogła? W każdym prawie domu szlacheckim znajdzie się Józia, albo Marynia, znajdzie się Julek i Szmulek, a nawet kubek w kubek takusieńka Piotruska; a i Praccy w końcu, w kraju lub za granicą napewne się znajdą. Cóż wtedy szlachta?.... Szlachta, „na upadek której (jak to przyznaje sam szanowny Autor w „Moriturach") składały się nieszczęścia kraju, publiczne i szczegółowe ofiary", potrzebuje tylko wyprodukować w swoim ogrodzie lub ogródku dobrą cebulę, kapustę, pietruszkę, a choćby nawet i szparagi, potrzebuje takowe korzystnie sprzedać w najbliższem miasteczku, aby tym wszystkim wielkim przyczynom i wynikłym z nich skutkom wyrównać i.... tryumfalnie na marchwi z pęczkiem szparagów pod pachą wjechać i zająć pozycyę, z której ją publiczne i osobiste a tak przemożne zsunęły warunki!!

„*Fiat lux*!.... i stało się światło!"

Po tem zastanowieniu się nad owym, cudowną siłę mieścić w sobie mającym sposobie, zwracamy uwagę szanownych czytelników, że jakoś sam sza-

nowny Autor, nie wiele zdawał się dawać wiary, cudowny a wskrzeszającej mocy tego specyfiku, skoro, dla praktycznego a rzeczywistego podźwignięcia Horyszków, postarał się o inny, chociaż, mówiąc nawiasem, bardzo zużyty, lecz za to, samą już praktycznością będący środek.

Jakoż młodszego Horyszkę, Julka, który za namową siostry udał się na uniwersytet, po ukończeniu przez tegoż studyów akademickich i otrzymaniu patentu na doktora medycyny, żeni z bogatą jedynaczką, córką bliskiego sąsiada, szlachcica starej daty, niejakiego „Ryngolta", właściciela dóbr „Zytkowce"; samą zaś heroinę, na prośby byłej a rozwiedzionej żony hrabiego, na błagania dorastających jego córek, w końcu na zaklęcia samegoż hrabiego, za tegoż hrabiego, właściciela „Bobruniec" wydaje. O! teraz i my rozumiemy, że podupadli Horyszkowie majątkowo do dawnej przywróceni świetności . . . . .

Jakto? zapytuje zdziwiony czytelnik, jakto? więc p. Cecylia, owa autorka i apostołka tak wielkiej, w skutkach twórczości tak brzemiennej idei? jakto? więc nawrócony do tejże idei, przez siostrę Julek, doktor medycyny, ów niezmordowany pracownik w ogrodzie, Julek, który osobistej pracy, osobistej zasłudze jedynie przyszłość swoją i stanowisko rodu chciał i postanowił zawdzięczać? jakto? powtarzamy, Cecylia wychodzi za mąż bogato?! on zaś, on, równie bogatą poślubia jedynaczkę?

Więc chyba przechwalony, praktyczny świat dzisiejszy, nie zmądrzał znowu tak dalece, skoro drogami, od bardzo i bardzo dawna wydeptanemi, skoro z dawien dawna praktykowanemi — jak widzimy — nie gardzi.

Skoro tak jest, cóż znowu tak występnie grzesznego przedsięwzięli: „Księżniczka Stella“ i książę „Robert“ w „Moriturach“, zamyślając posagami spłacić długi, ojczysty ich „Brańsk“ obciążające, że aż ich godnemi śmierci uznano?! Cóż znowu innego, zapytujemy: uczyniła p. Cecylia, cóż innego wymyślił i wykonał brat jej „Julek“ (a bardziej szanowny Autor), pierwsza za bogatego wychodząc hrabiego; drugi z bogatą żeniąc się dziedziczką? i dla czegoż? i za cóż? wołamy zdziwieni, że gdy tamtych godnymi śmierci — tych godnymi wskrzeszenia uznano?!....

I to wszystko postawił i wypowiedział jeden i tenże sam Autor, w dwóch po sobie następujących, a łącznych z sobą powieściach? i wobec przyczyn tych samych, wobec postępków niczem i w niczem się nie różniących (wyjąwszy duchowej podniosłości skazanych, których wskrzeszonym nie dostaje) wypowiedział jeden i tenże sam sędzia? Jakto! jeden i tenże sam sędzia, w jednej i tejże samej sprawie, dwa wręcz przeciwne wydał wyroki?!...

Więc? więc cóż? obecni obu wydanym wyrokom, oburzeni wołają słuchacze! Więc p. Kraszewski! więc szlachcic (własną pojedynczą wolą obierając się sędzią)! mógł wydać wyroki tak niesprawiedliwe? więc, po-

wtarzamy, p. Kraszewski, utalentowany Autor „Morriturów“ i „Resurrecturów“, tak ceniony pisarz, tak bezspornie znakomity myśliciel, mógł (bez myśli ukrytej) popełnić tak elementarny błąd przeciwko loice? mógł tak zgrzeszyć przeciwko prawdzie i sprawiedliwości? Niech daje temu wiarę, kto chce, jeżeli ktokolwiek naprawdę wierzyć zechce; my nigdy!

My zmuszeniśmy powtórzyć toż samo, cośmy już na parę kart wstecz wypowiedzieli, że p. Kraszewski czując, że szlachta, mimo skazania jej na śmierć, w osobach Brańskich w „Moriturach“, nie umrze, a po staremu żyć będzie, umyślił zabić ją śmiesznością w „Resurrecturach“, żeby rzeczywiście żyć już przestała, żyć po staremu nie mogąc! Szanowny Autor, p. Kraszewski, równie jak i my, pojmuje i wie, za co to i kiedy się umiera! za co to i kiedy się zmartwychwstaje! A mówiąc o zmartwychwstaniu, o wskrzeszeniu, w głębi swej wierzącej a nieśmiertelnej duszy, czuje: że bez woli, bez łaski Bożej nie masz zmartwychwstania! Czyżby uroczysta powaga, świętość, a przedewszystkiem miłość, promieniejące przy wskrzeszeniu Łazarza, stała się dla szanownego Autora, jak dla piśmiennych, nie cudem! a sztuczką? nieprawdą! a omamieniem? Także to wskrzeszał Bóg gdy chodził po ziemi? Także to wypowiadało się „Słowo“, gdy mieszkało „między nami“?!

Ugodzony przez sługę Bożego nagłą a zasłużoną śmiercią, czarnoksiężnik „Szymon“, jest wymownym a uczącym przykładem, że ani z mieszka

wyprowadzić, ani za mieszek nie zakupić cudu! A wskrzeszenie to cud! A cud to najświętszy owoc wiary!!! „Dwa wróbliki sprzedają za grosz! a ja powiadam wam, żaden z nich nie zginie bez woli Ojca!"

Otóż i my, szlachta, głęboko wierzymy, że „bez woli Ojca" nikt nas „za grosz nie sprzeda", czy to wydając na śmierć w osobach Brańskich w „Moriturach", czy zabijając śmiesznością w osobach Horyszków, w „Resurrecturach"!

Jeżeli na chwilę bierzemy na seryo wskrzeszenie szlachty w „Resurrecturach", jako potrzebne i jako przez szanownego Autora możebne, raz jeszcze odzywamy się doń, wołając: więc p. Kraszewskiemu to, który pisząc obecnie w szeregu historycznych powieści historyę narodu Polskiego, wie, że pisze historyę szlachty; więc p. Kraszewskiemu, który duchem przenosząc się w czasy prastare, i w czasy za jego pamięci ubiegłe, czuje zapewne, jak mu, wobec czynów i prac jego ojców i braci, wzbiera dumą i butnieje serce syna i brata? i jemuż to w ogródku zacieśniać tę (bądź co bądź) nieodrodną szlachtę, przez cebulę i sklepik umyślić ją wskrzesić?! Jemuż to ją żyjącą, ją brzemienną wielkiemi wspomnieniami, ciągłego poświęcenia się i ofiary jej ojców; a tak niedawno ją samą, na korzyść młodszej swej braci, włościan, zrzekającą się dobrowolnie i samorzutnie połowy swych włości?

Jemuż to, wobec tak dokładnie znajomego w szczegółach aktu, dowodzącego jej ofiarności, ją wskrze-

szać? Ją, dziś jeszcze dziedziczkę połowy całego obszaru polskiej, ojczystej ziemi? ją, dziedziczkę dotąd niepodzielną całej historycznej narodowej przeszłości? Ją, która dziś, na własnym ojczystym zagonie znalazła i poczuła się jakby na „kresach". Ją, która pod przewodnią wskazówką św. wiary, świetnej historyi i prastarego obyczaju, jak Mohort na kresach, dniem i nocą, ustawiczną pracą, ustawiczną krwawicą — matki ziemi broni, strzegąc, by jej obcy, spuścizną przekazanego ojczystego zagonu nie wydarł, ojczystej nie szkoszlawił idei? Ją to, kończymy, tak bezprzestannie ofiarną, tak bezmiernie spracowaną a pracującą; ją bez wytchnienia rozpacznie stojącą, (stosownie do czasu) bądź w obronie wiary! bądź Ojczyzny! bądź ojcowizny! Ją, która pomimo wołającego o pomstę ucisku, prześladowania i niesprawiedliwości (obcych i wewnętrznych wrogów) głęboko czującą się w swem życiu, bo pracującą, bo ofiarną; ją? tem wszystkiem, jawnie i dowodnie życie objawiającą? ją żywą wskrzeszać? do życia powracać? Zaprawdę, dziwny objaw psychiczny, bawienia się we wskrzeszanie... żyjących! zaprawdę prawdziwy, a osobliwie łatwy sposób zostania cudotwórcą!.... Pismo powiada: *nil novi sub sole*, a jednak podobny wybryk umysłu, słońce pierwszy raz ogląda, — a my, ludzie pod tem słońcem żyjący, pierwszy raz zadziwiać się nad nim mamy sposobność.

Szanowny Autor, nie postawiwszy i nie uświęciwszy przez powszechne uznanie dogmatu swej nieomylności, ogłosił „*urbi et orbi*“ na raz aż dwa dogmata:

Pierwszy dogmat: „Jakkolwiek widzicie przed sobą tę oto szlachtę, tak oczywiście żyjącą.... ja Kraszewski powiadam wam, co widzicie, jest fałsz, jest złudzenie. Szlachta umarła! szlachty niema“!....

Drugi dogmat: Uwierzyliście, że szlachta umarła, że szlachty niema, a oto za dni waszych, w oczach waszych, ja, Kraszewski, przyłożywszy do tej szlachty która umarła, której niema (?), przyłożywszy w pewnym, mnie wiadomym stosunku, marchwi, cebuli, i innych ogrodowin, ożywię ją, wskrzeszę!

A obecni, śmiejąc się, wołają: Jakto, chcesz ożywić tę, o której sam w garkuchni powiedziałeś: „że jej już niema, Mości Dobrodzieju“! więc kogo chcesz wskrzesić? chcesz wskrzesić tę, o której my znów wiemy, że po staremu żyje i pracuje w Imię Boże — więc po co masz żyjącą wskrzeszać?.... Szanowny Autorze, przepraszamy Cię, nie pójdziemy na twoje osobliwsze przedstawienie!

Z naszej zaś strony, zawdzięczając ci twoje patryotyczne usiłowania, żeby cię nie narażać na dalsze podobne eksperymenta, dla pamięci twej jedynie powtarzamy: że dopokąd, wierząc, kochając i spodziewając się, pracujemy, dopokąd nie uśmiercą nas „Morituri“, a „Resurrecturi“ (gdyby nawet posiadały odpowiednie temu cudownemu aktowi, namaszczenie,

[illegible] miłości. Życzeniem dla nas pozostaną [illegible] na ego [illegible] stanowieniem [illegible] [illegible] dla ego [illegible] [illegible] [illegible].

Dla postawienia istotnego wyniku obecnej [illegible] [illegible] tam [illegible] dla nich [illegible] samo formalne wspomnienie tak i głównych [illegible] jak niemniej i tych, którzy [illegible] ukazywały się na scenie mniej lub więcej [illegible], lub niemniej na los bohaterów wpłynęli.

[illegible] w [illegible] Henryk [illegible] wyjeżdża [illegible] i [illegible] z panną [illegible] panny i narzeczonym Mazurowiczem, [illegible] na [illegible] i ks. [illegible]. Jednakże Henryk [illegible] i [illegible] im [illegible]. W czasie [illegible] sceny Mazurowicz [illegible] Henryka [illegible] i panna [illegible] i na [illegible] Mazurowicza [illegible]. [illegible] między [illegible] z nią panny [illegible] we [illegible] Mazurowicza, tak że obaj [illegible] Borysińskich. Jakoż [illegible] w końcu podpalają ich. Za wstawieniem się p. [illegible], która przy[illegible] i mężem [illegible] i mąż zobowiązują się nie prześladować dalej Borysińskich. I wzajemnie [illegible] sobie słowa.

W trakcie tego umiera babka staruszka, wypraszawszy jedynie wnukom swym wolę, aby ją najskromniej pochowano. Życzenie jej stało się radością.

Niedługo po pierwszych próbach heroiny około utrzymania ogrodu, zjawia się pomagający im, corocznie nadsyłaną sumką, siostrzeniec pani starościny, p. „marszałek Bolesław". Marszałek ów, postać do przesytu nadużyta w powieściach, oprócz innych wad, wspólnych wszystkim powieściowym marszałkom, jest nie tyle starym, ile wyżytym duchowo i fizycznie nikczemnikiem, który uderzony niezwykłą pięknością i świeżością siostrzenicy swej, Cecylii, wszelkiemi niegodziwemi środkami stara się ją odurzyć i nakłonić, aby zamieszkawszy w jego domu jako kuzynka, została jego kochanicą... nie żądając odeń tytułu ani praw żony. Rozumie się: kuszący marszałek jest przez pannę ze wstrętem i pogardą odsunięty, i dla tego stara się wszelkiemi sposoby psuć jej i rodzeństwu opinię w sąsiedztwie, i przeszkadzać im dobić się niezależności, wszystko, aby p. Cecylia, jako zrujnowana, zmuszoną była jemu się oddać.

Doprawdy, nie umiemy zrozumieć, po co ten obraz ohydny?! Czyż uwydatnienie czystości duszy i serca panny potrzebowało tła, podobnie czarnego, podobnie brudnego?! Smutna to w naszem pojęciu prawda, którą dopiero fałszem uwydatnić potrzeba, i nie uważamy być bezwzględną białością albo czystością tego, co dopiero, w porównaniu z czarnotą, z brudem, takiem się przedstawia. Czyż dodatniość prawdy i czystości zyskuje na zestawieniu ich z fałszem i z brudem? Miarą siły, nie jest przecież porównanie jej z niedostatkiem takowej,

ze słabością, a przeciwnie, miarą siły jest podźwignienie ciężaru, podołanie zadaniu, spełnienie obowiązku. Czyż w tej n. p. powieści uczciwy a pomocny wuj marszałek ująłby cokolwiek z siły, z zacności przedsięwzięcia p. Cecylii, jeżeli rzetelna siła, rzetelna zacność tkwiły w jej postanowieniu?! Czyżbyś i ty, marszałku Bolesławie, spłacił wobec Autora dług marszałka i pierworodny grzech szlachcica? Szan. Autor nie ma siły czy dobrej woli, oprzeć się prądowi chwili, lecz nam nie wolno, aby zabraknąć miało czy siły! czy woli! — nam nie wolno dać się unieść potokowi. Były czasy, gdy krzyż, godło wiary, był wywyższeniem, godnością; godło zaś szlachectwa klejnotem! Dziś czcicielowi krzyża prześladowanie, szyderstwo, ukrzyżowanie!.... kawalerowi klejnotu: odrzucenie! zniewaga!

Czyż przeto mamy zaprzeć boskości Ukrzyżowanemu, a szlachetności pradziadów ojcom i braciom naszym?!.... czyż przeto mamy się my zaprzeć ukrzyżowanego Boga! i napastowanego szlachectwa?! — Mamyż, zaparciem się Boga, krzyżować go na nowo?... mamyż, napastowaniem „szlachectwa“, prześladować szlachtę?!...

„Ksiądz Kulebacha, po śmierci starościny, rażony innowacyami, za śmiałem postępowaniem panny przychodził, ale coraz rzadziej, i jakoś nie było mu już tak raźnie i swobodnie jak dawniej“; podzielał przekonanie z Piotruską.

Henryk, po niefortunnym postrzale wyleczony, udał się na uniwersytet — na wydział inżynierski — który ukończywszy, wyjechał za granicę dla dalszych studyów. Julek, a bardziej młodzi państwo Horyszkowie, zanim osiedli w oddanych im przez starych Ryngoldów Zytkowcach, udali się jednocześnie (z nowożeńcami również) hr. Sulejowskimi do Włoch; gdyż u p. Cecylii, skutkiem wysileń pracy i ukrywanej miłości dla hrabiego, objawiły się suchoty.

Mimo rad Julka i innych na miejscu wezwanych doktorów, mimo cudownego włoskiego nieba, mimo opieki otaczających, pani Cecylia nie powróciła już z Włoch do kraju... umarła!...

Krótszy lub dłuższy żal po stracie p. Cecylii ze strony męża, braci, i niewielkiej może liczby znajomych, oto i wszystko, co pozostało jako wspomnienie po osobie, którą Autor chciał mieć twórczynią w wielkiem dziele odbudowania rodu przez ogród, a domniemanie narodu przez niewiastę!...

Ta niewiasta, ta panna Cecylia... to wcielenie, to upostaciowanie rozsławionej dziś, przez pewną pewnych liczbę, tak zwanej idei „samo-pomocy"...., a bardziej ostatecznego, a zuchwałego lekceważenia pomocą Bożą... Bogiem!...

Hasłem wyznawców tej szkoły: „człowiecze, pomóż sobie, a Bóg ci dopomoże"..., to jest „niepotrzebnyś mi Boże, ja sobie sam poradzę"...

I takąż to ideę? i takież to bluźniercze hasło, u nas? przez naszą polską, chrześcijańską niewiastę,

nasz polski, mieniący się być chrześcijańskim, Autor, apostołuje?! Taką ideę?... takie hasło!? I czemże jest ona idea? oto upostaciowane najwyższe zuchwalstwo, pozujące w kostiumie odwagi, w kostiumie siły... Mamyż więc służyć do pozowania?!

Oh! my po staremu nie przestaniemy wołać: „pomagaj nam Boże!“ pomocy Bożej w pracach naszych, wciąż z wiarą wołać będziemy....!

Oto, pokazano nam, oto ujrzeliśmy tę — tak wiele obiecującą, tę tak szumnie, a tak bluźnierczo „zmartwychwstaniem“ naszem przezwaną ideę „samopomocy“, ujrzeliśmy i najboleśniej zawiedzeni, z prawdziwym bólem, ze wszystkich sił wołamy: pomocy! A wołając o nią, z pewnością, już nie Ciebie, szanowny Autorze, nie „Pana Szmula“.... i nie pannę Cecylię mamy na myśli.... myśl nasza, nasza dusza, naprawdę o pomoc stroskana, duszną tę troskę naszą w odwiecznie znanem, w staropolskiem wypowiada ją haśle: „Pomagaj nam Boże!“

Nowatorom zaś, mniemanym wskrzesicielom naszym, Chrystusowemi odpowiadamy słowy: „Przepuść im Panie!“ Panie, może i oni nie wiedzą, co czynią!....

Zaniedbany i opuszczony ze śmiercią p. Cecylii ogród stoi dziś pustkami, nie uwierzono jakoś w cudowną, we wskrzeszającą moc jego; działalność panny Cecylii nie znalazła naśladowców.

O ojczyźnie nie dostawało jej czasu, czy pojęcia, czy poczucia potrzeby, wspomnienia kiedykolwiek,

równie, jak nie udało się nam pochwycić aby jedno gorące jej westchnienie do Tego, w którego winnicy wszyscy jesteśmy pracownikami, zkąd jedynie zapłaty spodziewać się mamy. Sąż więc pannie Cecylii szczególnie obowiązani: Ród! czy Naród! czy Kościół!?

Należyż się jej zapłata od wielkiego właściciela winnicy? Nie sądzimy; co do Rodu, postawił dlań sam szanowny Autor dewizę: „niema już szlachty, mości dobrodzieju!" a więc i Horyszków, więc i rodu niema; co do Narodu, naród leżał po za obrębem jej ogrodniczej działalności; na Kościół nie miała jakoś wolnego czasu; a co do owego „właściciela winnicy?" pracowała we własnej! w „innej"!

Widzieliśmy ją sztucznie wypędzoną, jakby szparag jaki i podobnież jak szparag łechcącą przez chwilę podniebienie, ale nakarmić niezdolną.

Oblizaliśmy tę dość skąpo omaszczoną ogrodowinę... i głodni.,. wołamy: pokarmu!!

Jakiż z całej tej trzytomowej powieści moralny sens wyprowadzamy, zapyta czytelnik? Sens moralny? Sens, prawdziwie jak w bajce:

„Po brodzie kapało,
W gębie nie postało!"

# CZĘŚĆ II.

# Zakon szlachcica polskiego.

Tyle o powieściach, które bądź co bądź tak ze względu doniosłości zadania, jakie poruszono, jak i z uwagi na osobistość szanownego Autora, są najważniejszemi, jakie w ostatnich czasach w kraju naszym polskim dla nas Polaków napisano.

Żywy, niepraktykowany za dni naszych interes, jaki po ukazaniu się swojem obudziły; żywość, namiętność prawie rozpraw, jakie wywołały, a przedewszystkiem powszechna zgodność sądu o nich, sądu z oburzeniem graniczącego przeciw wyrokowi, jaki podobało się szanownemu Autorowi wydać o szlachcie polskiej, zniewoliły nas do streszczenia a bardziej do skonstatowania tego ogólnego oburzenia, nie przeto, iż nam rzekomo odebrano prawo do życia, ile, że się poważono świetokradzko targnąć na naszą najukochańszą świętą wiarę! na naszą ukochaną Ojczyznę! oraz na nasz spuścizną przekazany obyczaj!

Czyśmy pojęcia wasze, bracia szlachta, wiernie wypowiedzieć potrafili, czyśmy w traktowaniu naszem zachowali konieczną bezstronność, czyśmy

podołali doniosłości podjętego zadania, waszemu to bratniemu pozostawiamy ocenieniu. Do was należy usprawiedliwić piszącego z opóźnienia, wywołanego jedynie znaną wam wszystkim Syzyfowską pracą, wobec wspólnie poczutej konieczności obronienia bądź co bądź ojcowizny, przed obcą inwazyą, a to w wielkim celu: Religii! Narodowości! Ojczyzny! Do was należy rozgrzeszyć, żem się poważył mierzyć siłę na zamiary, nie zamiar wedle sił.

Zanim jednak, wobec kończącej się obecnie pracy naszej, rozstaniemy się, pozwólcie mi, abym razem z wami, którzy znamy wspólną przeszłość, wspólne prace i wspólne nadzieje, tak jak wspólne nasze miłości, pozwólcie, abym na chwilkę zatrzymawszy was, jeszcze raz z punktu naszego rodzinnego spojrzał na wielkie zagadnienia: Religii! Ojczyzny! obyczaju! abym ukazawszy na obraz historycznego szlachcica wobec owych trzech zagadnień, wypowiedział przed wami nasze pojęcia, jak owe trzy zagadnienia stawiają się dziś przed nami i jak dziś wobec nich my, szlachta, stoimy a bardziej jak stawiać się powinniśmy.

## Rozdział I.

I. Religia, a zakon szlachecki polski. — II. Ojczyzna a zakon szlachecki. — III. Rody i obyczaje jako przyczyny bytu, jako fundamenta trwałości narodowej. — IV. Rycerskość szlachecka, urobiona na obyczaj narodowy. — V. Szlachcic polski wobec zmateryalizowanych wyobrażeń dzisiejszych. — VI. Pojęcia i obowiązki szlachcica polskiego, jako ojczyca (patryoty). — VII. Wpływy Emigracyi.

I. Duch i materya, dusza i ciało wiekuiście ze sobą ścierają się, bojują, walczą. Ten duch i ta materya, dusza ta i ciało, w człowieku, jako najbliżej ze sobą połączone, najbardziej się ścierają, najpotężniej bojują, a przez duszę jego, duszę ludzką, duszę mówiącą, ten odwiecznie i wiekuiście uwidoczniający się bój, tę walkę wypowiadają. Duch i materya, dusza i ciało, wyszły z jednej pierwotnej przyczyny — z Boga. Walka więc ta, bój ten, muszą być jedynie pozornemi, muszą być czasowemi. Duch i materya, dusza i ciało, muszą się we wspólnym skutku, to jest w świecie, a bardziej w wyrazie jego, człowieku, połączyć, dla wspólnego a ostatecznego celu — powrócenia do Boga. Muszą przyjść w człowieku do harmonii, zgody, pokoju, jak były w Bogu przed stworzeniem przezeń świata i człowieka, zgodą, harmonią, pokojem. Bo i czemże jest

ów bój, owa walka? Oto bezustanne w czasie wzajemne łączenie się i rozdział, ciągłe przyciąganie i odpychanie. Otóż to wzajemne a bezustanne łączenie się, aby się odepchnąć, skupienie aby się rozdzielić, powierzchownie tylko przedstawiają się walką, bojem, a w istocie są: akcyą, ruchem, życiem. Jeszcze raz powtarzam, duch i materya, napełniwszy sobą przepaści, jak powiada Pismo, spotęgowane w człowieku, jako na czele świata postawionym, przez duszę jego, przez tę duszę myślącą, kochającą i mówiącą, opowiadają prawdę pojętą, ukochaną, prawdę ostatecznej harmonii, zgody i pokoju. Opowiadają o niebie, czyli o tem szczęśliwem miejscu w przestrzeni, o tej błogosławionej godzinie w czasie, o tym ostatecznym celu w życiu, gdzie ustać musi ów bój, aby się stał nie-bój, niebo! W niebie tem króluje pierwotna przyczyna i ostateczny skutek, wiekuisty spokój — Bóg!

Tem wielkiem, największem kołem przez człowieka, a bardziej przez duszę ludzką, przez tę posłankę ducha Bożego, której celem uduchowienia materyi w ciele ludzkiem, aby ją pod postacią tegoż ciała, zanieloną doprowadzić do Boga; aby duch i materya w Bogu jednością były, aby w Bogu całością były, tem największem, powtarzam, kołem — nawraca skutek, czyli czyn-świat do swojej przed czynem tym, to jest przed stworzeniem świata-przyczyny, do Stwórcy tegoż świata — do Boga!

„Dusza i ciało, to tylko dwa skrzydła“, powiada poeta. Tak, dusza obleczona w ciało i ciało uduchowione duszą, to owe dwa skrzydła, któremi świat przeznaczony wrócić do Boga, do Niego wzlecieć zdolny!

Duch i materya, chwilowo walczące ze sobą w świecie, w wyrazie świata tego, w człowieku, a ostatecznie w kochającej duszy jego, przyjść mają do koniecznej zgody, harmonii, pokoju, aby w świecie stworzonym przez Boga, stało się przez człowieka za łaską Bożą — królestwo Jego — królestwo Boże!

Łączenie więc, pojednanie dwóch jednego i tegoż samego Boga potęg rozdzielonych w przestrzeni, potęg wrogo stawiających się w czasie, jest przeznaczeniem, jest obowiązkiem człowieka. I gdzież więc człowiek, znalazłszy się na ziemi, ma szukać tej potęgi, gdzie ma znaleść tę moc, możność jego przechodzącą, tę moc nadludzką... Boską?

Otóż tą potęgą jednoczącą, tą siłą, która łączy, jest: dana człowiekowi od Boga — religia! Źródłosłów religii wywodzi się od słowa *religare*, a dosłownie oznacza łączyć, jednoczyć. Ztąd niesłychanie wzniośle, głęboko pojęto sens życia, dając duszy ludzkiej atrybut — religijna, to jest łącząca.

Ostatecznym więc wynikiem powyższego rezonowania mojego jest: iż człowiek, jako wyraz świata, obowiązany pracować dla sprowadzenia Królestwa Bożego na ziemi, a przez spełnienie woli Bożej, to jest przez doprowadzenie do zgody, harmonii i spo-

koju wszystkiego, co jest w rozstroju, w walce, w niepokoju. „Błogosławieni pokój czyniący".

Skoro jednak człowiek w ludzkości przyrodzoną ideę tę utracił, dając się opanować materyi, Bóg, dla ratowania świata w człowieku, zesłał pierworodnego Syna swojego, aby tę zatraconą ludzkiem życiem tutaj dla ludzi prawdę odnalazł i aby na świecie było „Królestwo Boże", a człowiek mógł zasłużenie się zwać i godnie zostać synem Bożym.

Obie te prawdy synowstwa naszego w Bogu przez miłość i konieczności królestwa Bożego na ziemi przez pokój, wypowiedział nam Syn Boży, Bóg, w pozostawionej modlitwie Pańskiej, a wypowiedział z treściwością, Boskość Jego uwydatniającą, polecając nam, modląc się, prosić Boga słowami: „Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech, przyjdź królestwo Twoje", to jest: przyjdź królestwo zgody, harmonii, pokoju! A to szukanie królestwa tak wysoko postawił, tak ostatecznie zalecił, iż troskę o wszystko inne jako niższe, mniej godne synów Bożych uznał, ucząc: „Szukajcie przedewszystkiem królestwa Bożego, a reszta przydaną wam będzie". A iż to królestwo Boże jest nie czem innem, jak panowaniem zgody, harmonii, pokoju, oświecił nas czasu ostatniej wieczerzy, gdy w nagrodę wskazanego przezeń życia, za przyczyną ciała i krwi Jego, obiecał niebo czyli ustanie walki, mówiąc: „pokój mój daję wam; pokój, jakiego świat nie dawa, Ja wam daję".

„Pokój mój“ to jest pokój Boski, „pokój, jakiego świat“, to jest upostaciowanie walki materyi z duchem, „nie dawa“, „Ja, Bóg, daję wam“! Tych zaś, którzy pracę tę sprowadzania na ziemię królestwa Bożego przez pokój, jako obowiązującą i poświęcającą uznając, tą drogą kroczyć będą, pobłogosławił, mówiąc: „Błogosławieni pokój czyniący, albowiem oni nazwani będą synami Bożymi“. Możeż być coś więcej pocieszającego? Jestże jakakolwiek prawda jaśniej postawiona, dowodząca się prościej a silniej? Bóg przez usta Syna swego o niczem wyraźniej nie oznajmił.

Ci, którzy uwierzyli w boskość Pana naszego, Jezusa Chrystusa; ci, którzy uwierzyli w tajemniczą odradzającą siłę przenajświętszej Krwi Jego i Jego boskiego Ciała; ci, którzy niosąc pokój światu, pracują dla królestwa Bożego na ziemi; ci, którzy siebie, jak przykazał Mistrz, społecznie miłują, a Boga, objawiającego się w świecie a objawionego w Kościele, czczą; ci jedni są, ci tylko stanowią Kościół Jego, Kościół Chrystusowy, Chrystusową owczarnię. Nad tym Kościołem, nad tą owczarnią w zastępstwie swojem pozostawił Namiestnika swojego z zaleceniem, aby: „żadnej z owiec pieczy jego powierzonych nie utracił“, mówiąc: „żadnegom z was nie stracił, oprócz syna zatracenia“. Wobec zgromadzonych wszystkich uczniów swoich, Zbawiciel rzekł do jednego z nich, Szymona: „Szymonie, odtąd ty się będziesz zwał Cefas, czyli Petrus, co się wy-

kłada opoka, skała; na tej opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie poruszą go". Na innem zaś miejscu, a mianowicie, ukazawszy się uczniom po swem cudownem zmartwychwstaniu, zapytał trzy razy tegoż Piotra: „Piotrze czy kochasz ty mnie?" Otrzymawszy trzykrotnie potwierdzającą odpowiedź: „kocham Panie", po trzykroć rozkazał: „paś więc owce moje, paś baranki moje". Jako zaś dowód opatrznościowej opieki swojej nad Kościołem obiecał, „że przyszle im Ducha świętego, który oświeci i nauczy wszelkiej prawdy", i zesłał. Jako jawny dowód przelania władzy swej boskiej nad Kościołem na Piotra i następców Jego, wyrzekł te upewniające słowa: „będę z wami", to jest z tobą i następcami twoimi, do skończenia świata", dając im najwyższą moc nad duszami, wyrzekłszy „co rozwiążecie na ziemi", rozumie się ty i następcy twoi, „będzie rozwiązane i w niebie. a co zawiążecie na ziemi, będzie zawiązane i w niebie". A wszystko to zalecił Piotrowi i następcom Jego, a wszystko to Piotrowemu przyobiecał Kościołowi. Od dawna, sprawiedliwie przyrównano świat do wzburzonego oceanu, to jest do owej wiekuistej walki między materyą a duchem, między duszą a ciałem; oddawna równie właściwie duszę ludzką w ciele przyrównano do człowieka umieszczonego w łodzi, a obowiązanego ten wzburzony ocean przepłynąć.

Do czasów Chrystusa Pana, wzburzona otchłań morska pochłaniała rozbitków, pozbawionych prze-

wodniego światła, pozbawionych ostoi. Chrystus dopiero, jako zwycięźca śmierci, bezkarnie wstąpiwszy do tej otchłani, zaprzepaszczonych w niej rozbitków wyprowadził na jaśnię, mieszcząc ich w porcie zbawienia. I dziś jak dawniej, dusza ludzka w ciele swem, w łodzi, płynie przez wzburzony ocean, przez świat; i dziś jak dawniej, głębie co chwila pochłonąć je gotowe, i obecnie załoga ze zmysłów złożona, grozi co chwila buntem, gotowa pozbawić steru i wiosła, usiłuje przeszkodzić jej w dążeniu za przewodniem światłem krzyża, do jedynego portu zbawienia, do Boga! I dziś jak dawniej dusza ludzka nietylko zagrożona niebezpieczeństwem, iż łodzi swej, to jest ciała, zbawić nie zdoła, ale owszem, człowieka wraz z duszą i ciałem w otchłań pogrąży!....

Biada jej, biada duszy ludzkiej, jeżeli z przed oczu swych utraci krzyż, na skale Piotrowej stojący, ten krzyż, z którego promienieje jedynie prawdziwe światło, jedyna rzetelna moc! „*In hoc signo vinces*“. Na krzyżu tym rozpięty Bóg nie przestaje wołać głosem Namiestnika Swojego w Kościele, zbudowanym na opoce, w Kościele, którego moce piekielne poruszyć nie zdolne, nie przestaje wołać na tych, co utracili drogę, do tych, którym z przed oczu zginął cel czyli prawda, do tych, którzy, utraciwszy ten cel i tę drogę, życie wieczne utracić mogą, nie przestaje, powtarzam, wołać rozpięty Bóg: „Ja jestem

droga i prawda i żywot", „kto za mną idzie, nie zginie!"

Naród polski historyą swych bojów, przez wieki z bisurmaństwem staczanych, strumieniami krwi i kurhanami, pokrywającemi ciała synów jego, w obronie świętej wiary poległych, w końcu ową sławną na świat cały, do epopei podnoszącą się, obroną zagrożonego krzyża pod Wiedniem, mianem: obrońcy chrześcijaństwa w osobie króla swojego, mianem zaś: prawowiernego, we własnej, uczczony, dowodnie przekonał, co jako najprzedniejszy cel narodowego swojego życia osądził.

Idąc w ślad za historyą naszą, widzieliśmy, że ojcowie nasi, jako kryteryum konkretnych pojęć religijnych, przekazali nam prawowierność z religijnemi pojęciami Kościoła, przekazali nieustanną walkę z wszelakimi nieprzyjaciołmi krzyża, walkę rycerską a ofiarną w obronie chrześcijaństwa.

Pod zagrożeniem więc utraty ciągłości historycznej, pod grozą zatracenia ducha narodowego, pod infamią wyrodności, nam Polakom, jeżeli tych trzech zbrodni uniknąć mamy, nam, wołam z Polską „nam Polakom, więcej jak kiedykolwiek krzyża trzymać się przystało". Musimy śladem ojców pozostać prawowiernymi, być obrońcami chrześcijaństwa!

I nie podźwigniemy się inaczej! Inaczej — zginęliśmy!!...

Tyle co do pierwszego zagadnienia, a mianowicie, co do religijnych pojęć szlachcica historycznego i jednocześnie co do takichże pojęć szlachcica dziś żyjącego, jak niemniej co do płynących ztąd szlacheckich obowiązków.

II. Przechodzę do następnych zagadnień, a mianowicie: Ojczyzny i obyczaju, aby ukazać jak my, szlachta, pojmowaliśmy to oboje dawniej, oraz jak te obowiązki nasze względem nich dziś pojmować i wypełniać mamy.

Dom i rodzina to najżywotniejszy nerw polskiego narodu! Tym aksyomatem rozpoczyna Kamil Mochnacki znaną a znakomitą swoją *Historyę Powstania 1831 roku.*

„Dom i rodzina to najżywotniejszy nerw Polskiego narodu"!

Na tem oparci, z tego aksyomatu wychodząc, i my starać się będziemy rozwiązać problemat niepożytej żywotności Polski, starać się będziemy dowieść, że dom, że rodzina, z tem wszystkiem, co dom polski posiada, co polską rodzinę stanowi, jest gruntem, na którym się poczyna i wyrasta czynny żywot pojedynczego rodu, a zbiorowo narodu.

Widownią życia rodu, to dom, to jego zagroda, ojcowizna!

Domem i widownią życia narodu, to kraj, który zamieszkuje, to pole, które wydzieliła mu Opatrzność w ziemskim i duchowym zakresie, to — Ojczyzna!

Ojczyzna! Cudowne i porywające słowo! Wielka i największa idea, byt, wielka a najświętsza rzeczywistość!

Szlachcicu! obywatelu Polski! Jakimkolwiek jesteś, czemkolwiek się zatrudniasz, widzę, jak ledwom wymówił to na wskróś żywotności pełne a przenikające życiem słowo; widzę, jak ci zadumą pokrywa się czoło, jak silniej uderza serce, łzami nabrzmiewa oko, a ręka instynktowo szuka u boku oręża, jakbyś się miał ku obronie tej, która jest tobie i ojcem i matką, która jest dla ciebie ukochaną twoją Ojczyzną!

Człowieku, wszystko, cokolwiek jest ci pamiętnem, cokolwiek drogiem jest tobie, zacząwszy od domu ojca, w którym twe młode przeskakałeś lata, przechodząc do całego domowego obejścia, do ojcowego zagonu, do pierwszej pieszczoty matki, do pocałunku ojca, jeśli pamięć tych wrażeń drogą tobie, synowi, jeśli pamiętasz pierwszą bezkrwawą ofiarę, którą widziałeś spełnioną w domowej kaplicy lub w parafialnym kościele, jeśli ci pamiętny sługa staruszek, który ci naprzemian krzyż lub szabelkę strugał, jeśli ci radośniej a silniej uderza serce na wspomnienie tej, której dozgonną obronę i miłość przysiągłeś, jeśli pamiętasz, jak twój pierworodny po raz pierwszy odezwał się — matko, jeśli rękoma przyciskasz bolejące serce na wspomnienie w chwili, kiedyś szedł za trumną matki, kiedyś do grobu odnosił drogie szczątki twojego rodzica, człowieku,

pamiętaj, to wszystko jest twoją ojczyzną! Oh! powtórzmy z poetą „ojczyzna to dym twojej chaty! to twego ojca siwiejąca broda!“

Ojczyzną twoją jest kraj, w którym żyjesz i zagon uprawiasz, a którego całości i niepodległości bezustannym znojem i krwią swoją bronisz! Ojczyzną są prawa, które w kraju swoim pospołu z współobywatelami stanowisz! Ojczyzna jest zarówno wiarą w której się urodziłeś i którą w sercu swojem nosisz.

Ojcze! matko! jeżeliście z młodu nie wszczepili w duszę waszego dziecka czci i miłości dla tej wspólnej matki-Ojczyzny, jeżeliście nie przelali w niego obowiązku święcenia Ojczyźnie w każdym momencie, w każdej chwili całego mienia, w najobszerniejszem słowa tego znaczeniu, jeżeliście nie nauczyli chętnego oddania dla niej wszystkiej krwi, ojcze! matko! daremnie żądać będziecie od waszego syna — jego dla was samych należnej, a przekazanej przez Boga — czci i miłości!

Synu! jeżeliś się nie nauczył czcić twoich rodziców, a braci jak siebie samego miłować, odstąp od ołtarza narodowego! Ojczyzny twojej czcić, współobywateli twoich kochać nie potrafisz, tyś służyć ojczyznie twojej niegodzien! „Cnotliwi tylko świętości się dotykać, cnotliwi tylko a kochający świętości obsługiwać mogą“.

III R o d a m i a o b y c z a j a m i stoją N a r o d y.

Kędy r o d ó w nie stało, narody się walą. Gdzie obyczaju niema — niemasz obywateli!

Ani na chwilę nie można pojąć rodziny czyli rodu, bez rodziców czyli bez ojców, to jest bez rodzących, jak również nie możemy oglądać ojczyzny (patryi) bez ojczyców i oj-czyń-ców (patryotów) t. j. bez ojców, ojczyste czyny czyniących, ojczystemi ideami przepromienione.

Rodami więc i tylko rodami dźwigają się i stoją narody, to jest ród na ród plastycznie stawiając, staje się na-ród. Ojczycami (patryotami) zaś dźwigają, stoją ojczyzny (patrye). Ograniczają się przestrzenie czyli powstają kraje, w których spełniają się właściwe im czyny ojczyste, czyny przez ojczyców ideą Bożą natchnionych poczęte, a któremi ciż ojczyce ziemie swe, czyli wspólne ojcowizny napełniają. Staje się więc oj-czyn-zna, jako ta, która ojczyste czyny na sobie zna, ojczystych czynów na sobie doświadcza — Ojczyzna.

Tak! pozbawione rodów walą się narody; niema bowiem komu owej cudownej duchowej spójni, owego duchowego cementu, ducha narodowego zachować i przekazać, aby ciągle tak pielęgnowany przechodził z pokolenia w pokolenie, z wieku w wiek.

Rody więc, pozbawione idei narodowej, nie ukształtują się, nie rozwielmożą w naród.

Kraj, będący już nawet narodem, gdy utraci wraz z rodami, których mu zabrakło, swą naro-dową a w rodach jedynie przechowywaną ideę narodową, wali się i rozprzęga, a powalony jest

przez inny na-ród, inną zmuszony już wcielać ideę, innej, o hańbo! płużyć ojczyźnie!

Dopóki więc naród posiada swe ojcowizny, to jest właściwą dla idei ojczystej podstawę, dopóki przechowuje a nie zatraca swej od Najwyższego danej idei narodowej, dopokąd w łonie własnem posiada obywateli chętnych w obronie tej Bożej ojczystej idei oddać w ofierze krew i mienie swoje, tak długo, mimo wszelką brutalną przemoc, choć chwilowo nie byłby państwem, to jest rządem, idei tej strzegącym, tak długo, powtarzam, jest on Narodem! I mimo wszystko posiada Ojczyznę!

Im ściślej w składowych swych częściach spojony jest naród, czyli im bardziej jest jednolitym, to jest jednej krwi, jednej wiary, jednego obyczaju, tem skuteczniej zdolnym jest opierać się obcym siłom, obcym wpływom, tem bardziej, tem potężniej jest niepożytym.

„Jednej krwi z tym swoim Panem, jednej wiary z swym Hetmanem".

Pod groźbą więc zatracenia swego narodowego bytu, pod zagrożeniem zostania pochłoniętym przez inny naród, pod przekleństwem wyparcia się synowstwa Bożego, jako bezsilny wcielenia wyznaczonej jemu idei Bożej, obowiązany bronić się na śmierć przed każdym obcym pierwiastkiem, we wnętrze jego wciskającym się, a który naturą swej obcości, więcej lub mniej wrogo stawiać się musi i stawia!

Wyobraźmy sobie naród jako twierdzę. Jeżeli do twierdzy tej wpuściliśmy niebacznie obcego, obcego krwią, obyczajem, baczność! Obcy ten słabe strony twierdzy przepatrzy, zewnętrznemu wrogowi je wskaże, a twierdzę wraz z załogą na zniszczenie wyda!

Baczność więc i jeszcze raz, powtarzam, baczność!....

IV. Jak bez rodów niema narodu, bo z kogożbyśmy naród złożyli, jak bez ojcowizny nie może być ojczyzny, bo i gdzieżbyśmy idee ojczyste wcielali, tak i ojczyzna ziemska jest jedynem polem, na którem człowiek zdolny jest swe boże synowstwo ujawnić, dla dobra całej ludzkości w imię Boże pracować, sobie miejsce w ojczyźnie niebieskiej zdobyć, do sprowadzenia „królestwa“ bożego na ziemię przyczynić się.

Takiemi pojęciami rządzono się u nas w Polsce od najdawniejszych do ostatnich czasów. W owem poczuciu się do „synowstwa bożego“, w owym trudzie „o Królestwo Niebieskie“, zacni ojcowie nasi przekazali nam do praktykowania trzy górujące cnoty, trzy miłości: jako najprzedniejszą z nich, powiadając, miłość religii; jako drugą po niej, miłość wolności; trzecią zaś stawiano: miłość niepodległości!

Tym trzem cnotom, tym trzem miłościom, uznanym przed innemi przeważnie za narodowe, mienie

swe, prace, zdolności i trudy święcili, a przez cały ciąg swego tysiąc-letniego narodowego istnienia, hojnie za nie krew swoją przelewali.

Pamiętne na wszystkie czasy słowa Władysława Łokietka: „Polacy wolność nad życie i fortuny poważają, wiarę świętą nad wolność!"

„W przyjemnościach życia i rozkoszach ducha swego zasilać nie podobna" powiada Heleniusz, autor dzieła pod skromnym tytułem „Kilka rysów i pamiątek", które to dzieło właściwiej Skarbnicą narodowych pamiątek nazwać się godzi. Tenże Heleniusz powiada w dalszym ciągu zacytowanego ustępu: „Cechą życia i tłem głównem u nas były znój w boleściach i twarda praca. Dawne w gruzach miasta, tego życia i znoju duchowego cechy noszą, tym znakiem się pieczętują; zastępy rycerskie nie dbały o wygody życia, w nichby się nie dorobiono królestwa niebieskiego".

„Ostatnimi przedstawicielami u nas rycerzy *in actu*, dorabiających się królestwa Bożego przez ojczyznę ziemską, byli konfederaci Barscy, owi szlachcice nie nominalni lecz realni. Oni i ich wodzowie byli prawdziwymi rzeczypospolitej rycerzami. Wiara święta i Matka Boska błyszczały na ich wojennych znamionach". U nich „jeszcze wedle starego obyczaju wiara naprzód".

„Być rycerzem, jest nie oddzielać miłości ojczyzny ziemskiej od miłości ojczyzny niebieskiej; patryotyzmu od religijności, owszem królestwo niebieskie

więcej ważyć, wyżej stawiać od królestwa ziemskiego. Przez ziemskie dobijać się niebieskiego."

„Rycerz Polski ze świętą wiarą w sercu, z ostatecznym celem królestwa bożego w duszy, święcąc swe mienie, trud i krew, nie spodziewał się i nie żądał żadnej ziemskiej zapłaty. Służąc przedewszystkiem Bogu, od Boga jedynie dla siebie i swej Ojczyzny, przez którą spodziewał się wysłużyć sobie ojczyznę niebieską, Bożej tylko oczekiwał nagrody. Nie był rycerz ów na niczyim żołdzie, owszem mienił się sługą bożym, pracującym dla jego królestwa, czuł się i był „robotnikiem, pracującym w Jego winnicy."

Szlachcic polski, wojownik, przedstawiał się — jak rycerz.

Szlachcic polski — mąż stanu — przedstawiał się — jak senator.

„Sołtyk, Wacław Rzewuski, Szczęsny Czacki, Józef Załuski, łączyli powagę rzymskiego senatu, siłę i męztwo jego obywateli, z żarliwością i poświęceniem się apostołów. Wyżsi od poprzedników swoich tamci żyli w czasach zwycięztw, oni w czasach upadku; do ich sławy dołączyli cierpień zasługę".

Takim był szlachcic polski, dopóki cudzoziemcy, za ostatnich panowań do Polski napływający, a z nimi obcy, nienarodowy a zepsuty obyczaj, obce, a przez encyklopedystów ówczesnych po całym świecie rozsiewane a chciwie przyjmowane modne pojęcia swem zgubnem tchnieniem nie spaczyły

podstaw wypróbowanej trwałości naszego narodu. Stanisław August, ów kochanek, sługa i jurgieltnik moskiewskiej carycy, przesiąknięty nawskróś zgniłą atmosferą moskiewskiego dworu, zapatrzony na obce nienarodowe wzory, myślący więcej o uciechach i użyciu, niż o istotnych potrzebach kraju, pozujący na reformatora i oświeciciela swego narodu, przez swój i swego dworu demoralizujący obcy charakter, wywarł najzgubniejszy wpływ na kraj cały. Oh, ten król, to wieczna hańba narodu naszego! Ojczyzno moja, że dotąd dźwigasz kajdany, że cnota została wyszydzona, że wiara święta z serc wyrwana, żywą wiarą być przestała, że dawny upadł obyczaj, jemu to, jemu grabarzowi narodu, przedewszystkiem przypisać należy — i jego ze szlacheckiego zakonu wywleczonym wspólnikom. Miłość, cześć, jaką mieliśmy dla naszych królów, one to dały mu tę moc zadziwiającą, że był w stanie tak wiele, tak bardzo wiele powalić i zniszczyć!

Nasuwają się tutaj gwałtownie słowa znakomitego poety naszego „Syrokomli:“ „Drugi... zamilczmy o nim — to ślad jego ręki,

„Ten przepych w murach zamku, te strojne Łazienki,
Te cudne malowania — i ta ustaw karta,
Najprzód sponiewierana — a potem rozdarta;
Wiara wyrwana z serca, znieważone prawa,
Oto wszystkie pomniki króla Stanisława“.

Od tej pory za jego przykładem, stało się modą u nas wyszukiwanie wad i przywar narodowych,

a przedewszystkiem godzenie na szlachtę; godzenie, jakby nie było tyle jej cnót, tyle rzetelnych a uwielbienia godnych zasług w narodzie! Gdybyśmy o jej zasługach milczeli, to krew szlachty wołać będzie! Nie może być poczytanem za zuchwalstwo porównanie do szlachty polskiej słów Chrystusa Pana, jakie wyrzekł o sobie: „Jeżeliby oni milczeli, kamienie te mówić będą". Przesiąknięta znojem i krwią szlachty, ziemio polska, ty mów! Ty świadcz o niej przed narodem! Zarzucą mi może, że mówię *pro domo sua*, nie, i jeszcze raz nie! Ja nic nie mówię za sobą, nie mówię za szlachtą. Z ręką na sercu mówię za cnotą, za zasługą, za prawdą! Ja mówię za ojczyzną moją, w której zmartwychwstanie tak wierzę, jak uwierzyłem w zmartwychwstanie mojego Boga!

W imię jej cnót, jej zasług, w imię prawdy jako prawdy i w imię prawdy historycznej, szlachta była u nas w Polsce przewodnią, a i dziś i jutro nie masz przez kogo, by zasłużenie, skutecznie i odpowiednio w przodownictwie zastąpioną być miała. Ona, jak dawniej, wierzy, kocha, spodziewa się, obecnie tem mocniej, bo dla prawdy prześladowanie znosi: „Błogosławieni prześladowanie dla sprawiedliwości cierpiący, albowiem ich jest królestwo Niebieskie".

Nie chodzi nam bynajmniej o krzyki tych, którzy nie mogąc nigdy sprostać tysiącletnim zasługom szlachty, niezdolni nawet zasług tych ocenić, zapaleni jedynie zawiścią, a ośmieleni niewolą do współki i na wyścigi z wrogiem oczerniając, krzywdząc

szlachtę, odrwić i poniżyć ją pragną, sądząc, że poniżywszy, a zagarnąwszy jej mienie, miejsce jej w narodzie zająć potrafią. Tym ciskam w twarz pełne pogardy słowa ukochanego w narodzie wieszcza, słowa na wieki w sercach naszych wyryte:

W kim duch dość podły, dusza dość bezbożna,
Iż nie wie, co to rycersko lub rolno,
Temu szlachcica nawet zabić można,
Ale drwić sobie z szlachcica nie wolno!

Nie o nich, ani też o ich krzyki i bezsilne szyderstwa nam idzie; nie im odpowiadamy, albo też kiedykolwiek odpowiadać będziemy. My bolejemy, oburzamy się na własnych zaprzańców, na tych z pomiędzy nas, którzy, wywlókłszy się ze „szlacheckiego zakonu", lekceważyć sobie wyznawców tegoż zakonu pozwalają.

Przypomniawszy Wam, bracia szlachta, o ile ramy artykułu obecnego pozwoliły, jak ojcowie nasi pojmowali najważniejsze zagadnienie człowieka i obywatela (religię i ojczyznę) i jak płynące ztąd obowiązki wypełniali, pozoztaje jeszcze porozumieć się nam, jak my, synowie ich, pojmować i spełniać takowe mamy dziś obowiązek.

V. Pozytywizm, naturalizm dzisiejszy, w swem jednostronnem zapatrywaniu się na naturę, a zarazem życie, które bogactwem, rozmaitością i wiecznotrwałością z niej prześwieca, naturę tę nazwawszy materyą, życie zaś siłą, wszystko przez swoje

obserwacye doświadczalne nad niemi zwrócił ku zbadaniu, czy siła, jako przyczyna obleczona materyą, przez tę materyę się wypowiada, powodując życie; czy na odwrót, *materya* uznana jako *przyczynowa*, siłami manifestująca się, sama z siebie i dla siebie żyje?

Pozytywizm, wywód ostatni, jako ostatecznie dowiedziony i niewątpliwy, uznając materyę jako jedną i jedyną wszechwstwórczą przyczynę w miejsce Boga, jako nieśmiertelny płynący z niej *skutek* — świat uznał i postawił.

Jeżeli niektórzy z wyznawców pozytywizmu, nie godząc się na ostateczne *ubóstwienie materyi*, mienią się być *deistami*, przyrodzoną wyznając religię, to u żadnego z pozytywistów o Bogu objawionym, o objawionej religii — mowy już nawet nie ma.

Pozytywiści czystej wody, konstatując prostotę w układzie świata, wykazują pochodność tworów i rzeczy na świecie (co dawno już naukowemu światu znanem było) od materyi. Świat w najostateczniej pierwiastkowych składnikach jego sprowadzając do *komórki*, potrzebują (w ich pojęciach) wykazać jedynie *samorodztwo* tej komórki, aby *materyę* już bezspornie ogłosić Bogiem.

Że ta samodzielnie tworząca się komórka (jak się spodziewają wykryć i okazać, gdyby nawet to im się powiodło; czemu jednak dowodnie badania uczonego Quatrfages'a i innych przeczą) musi osta-

tecznie w czemś i z czegoś się tworzyć, czyli, że musi być jakieś coś, większą lub mniejszą przestrzeń zajmujące, które zawsze w czemś dopiero komórką stać się może; że w końcu musiał być ktoś, co tę przestrzeń i to coś w niej stworzył, o to pozytywistom zdaje się zupełnie nie chodzi.

Jakkolwiek jako najbliższy, najdotykalniejszy na dziś owoc prac tych ludzi uczonych, a bardziej owoc moralnych skutków z zaciekań się tych wyprowadzonych, ludzkość otrzymała wiadomość o uzacniającem pochodzeniu jej w prostej linii od małpy, nie będziemy przeczyć ogromnych, z badań tych płynących skutków bezpośrednio dla nauki, pośrednio dla ludzkości, dla prawdy zaś w przyszłości. My po staremu wierzymy, że prawda, że Bóg w końcu zwycięży. „Dziwnemi drogami, świat i ludzi na nim, prowadzi Opatrzność!"

Nie pierwszy to raz ograniczony człowiek, chcąc danym mu rozumem zbadać Nieograniczonego, to ubóstwiając własną wiedzę, to znowuż materyę, grzesznie a zuchwale podnosił zaciśnione pięści przeciwko Bogu! Niejeden już raz tenże sam rozum ludzki, obezsilony bezowocnem dochodzeniem, jedynie siłą własną, ostatecznej tajemnicy, tajemnic Boga, nie pierwszy raz, powtarzam, rozum ludzki (w ludzkości) upadł na kolana przed krzyżem. Upadł, a ludzkości pozostała w spuściźnie odkryta i dowiedziona naukowo większej lub mniejszej doniosłości naukowej prawda, która prawdy objawione wy-

jaśniła i poparła Nie wyliczając początkujących i wyznawców niedawno przebrzmiałej sławą szkoły spekulacyjnej, uosobionej w mistrzu swym Heglu, pozytywista Darwin i jego szkoła występując jako antyteza pierwszego, i jak tamten, myślą szukając Boga w abstrakcyi, utworzył zadziwiająco misterny świat loiczny, w nim myśl swoją jako Boga stawiając, ubóstwiając ją, nie był w stanie tą drogą ani rzeczywistego świata, ani prawdziwego Boga w nim okazać. Tak i Darwin szukając przyczyny świata w materyi, myśl swoją w materyi ubóstwiwszy, ani rzeczywistego świata, ani przyczyny jego nie znalazł.

Wszystkie poszczególne, względne prawdy na świecie, jako rzeki (że użyję porównania) dążące do wspólnego oceanu, zlewają się, spływają do ogólnej prawdy prawd, — prawdy bezwzględnej — do Boga, jako z tego oceanu, z tej ogólnej prawdy — z Boga powstałe i wyszłe! Im dalej rzeka jaka poczyna się, im większą przebiega drogę, tem więcej, tem czystszej wody przyniesie oceanowi, zawsze doń zdążając, jako część do swojej całości, jako stworzone do swojego stwórcy. Każda taka rzeka w czasie zwie się duchem wieku, lub duchem czasu.

My szlachta, my Polacy, od wieku w niewoli, od wieku pozbawieni własnego rządu i siły z niego płynącej, która wszelki naród i wszelki zakon skupia, w obowiązującej solidarności i spojności dzierży, nic dziwnego, że w wielkiej liczbie swych członków porwani ową siłą ducha, czy czasu swo-

jego, jako składający ogólną a bardzo dawniej wpływową, bardzo czynną jednostkę w rodzinie narodów, w ludzkości; nic dziwnego, iż wielu z nas burzami zewnętrznemi, lub wewnętrznemi przewrotami, oderwanych od pnia macierzystego, za daleko a może i niepowrotnie dało się unieść wspomnionemu ogólnemu prądowi — ogólno-ludzkich wyobrażeń.

Bóg w swej bezmiernej głębokości, która dla płytkości ograniczonego ludzkiego pojęcia, tajemniczością w tutejszem życiu naszem być musi; Bóg w swej głębokości, powtarzam, Bóg dla swych Boskich, Jemu tylko wiadomych celów, samym jeograficznym ustrojem ziemi, a może w myśl ogólnej wszechświatowej swojej rozmaitości, podzielił ludzkość na osobne grupy czyli narodowości, każdej z nich oddzielną wyznaczając drogę.

Narody zaś, stosownie do ich indywidualności, do drogi, jaką kroczyć obowiązane ku ogólnej prawdzie, ku Niemu, właściwemi uposażył przymiotami. Ta różność i oddzielność właściwości, czyli przymiotów każdego narodu, zowie się duchem narodowym. Ten duch narodowy jest tą siłą uzdalniającą go do rozrostu w drzewo narodowe, obowiązane narodowe wydawać owoce. „Drzewo, które nie wydaje owoców dobrych, będzie ścięte i w ogień wrzucone“.

Z głębokich, Opatrzności jedynie znanych, a dziś przez nagłębszych myślicieli, przez najbieglejszych historyków nie zbadanych przyczyn, naród nasz,

w sile wieku, w chwili prawdziwej dojrzałości, bo w momencie zwrócenia myśli na siebie, ocenienia się (mówię tutaj o konstytucyi 3 maja) w działalności swojej był powstrzymany, przez co i my w życiu naszem narodowem zostaliśmy ubezwładnieni.

Czyż przeto świadomi przeznaczeń, celów i dróg do nich prowadzących, u siebie w duchu naszym narodowym, wyrzec się ich mamy? Ośmielimyż się bezowocni stanąć przed Bogiem? Dozwolimyż, aby nam wydarto skutki tysiącletniego przygotowania naszego do życia i życia samego? Oziębłością a bezpragnieniem naszem zaprzeczymyż Bogu możności, gdy wypełnią się czasy niewoli naszej, zbawic nas? A wiemy dobrze, że Bóg, który nas samych i wolę naszą w nas, wolą swą Boską stworzył, zbawić nas bez przyczynienia się naszego, a tembardziej, gdybyśmy się mu opierać mieli, nie zdoła! Nawet nie może, bo tak już Bóg, stwarzając człowieka i określając jego ludzką naturę, postanowił! A jako w mądrości swej nieomylny — omylić się też nie mógł.

Skoro więc jest nam wiadomy narodowy duch nasz, duch przez ojców naszych tak wzniośle pojęty, z takiem poświęceniem wykonywany, a tak widocznie sprowadzający błogosławieństwa, dopókiśmy do ostatka wiernymi mu byli, skoro więc jest nam wiadomy, obowiązkiem nas Polaków, a w szczególności braci szlachty, po staremu zakon chować, strzedz go, trwać w nim, a we wszystkich kierun-

kach i na każdem miejscu z poświęceniem się zakonnem, śmiało a otwarcie w obronie tego ducha narodowego przeciw każdemu wystąpić, ktokolwiekby on był, wielki czy mały, pojedynczy czy zbiorowy.

Tym, którzy nie strzegą ducha narodowego, nie bronią, hańba! Tym, którzy przeciwko niemu poważają się wystąpić, biada! „Wszystkie grzechy", powiada Pan, „odpuszczone wam będą, jedynie grzech przeciwko Duchowi św., ani w tem ani w przyszłem życiu odpuszczonym nie będzie".

Szlachto polska, ty zbiorowy Ojczycu, tobie to pod zagrożeniem śmierci wiecznej, jak rycerzowi na kresach, w obronie jego stać, tobie pod obietnicą wskrzeszenia twej ukochanej ojczyzny, w obronie jego walczyć! A czyż pojęcia religijne, wiara święta, w której naród wszelki, a w szczególności nasz polski — narodem jest, nie są zarazem największą siłą narodową? A bez ożywiającej wszystko wiary, bez siły z niej płynącej, możesz się ostać, a tem bardziej, czy może z upadku powstać naród?!

Nie trwożąc się więc, ani tembardziej nie potępiając prac dzisiejszych uczonych, zaciekających się w badaniu przyczyny odwiecznej, w dochodzeniu odwiecznej prawdy — Boga, bezdennie, w głębi wierzącej duszy naszej przeświadczeni, że prawda, Bóg, nic na tem nie straci, a człowiek ostatecznie obok wiary przekonanie w Bogu zyska, nie dając się z drugiej strony pociągnąć pseudofilozoficznym, na morał niby zamienionym a wyprowadzonym

ztąd wnioskom, po staremu trzymajmy się wiary Ojców naszych, świętej naszej katolickiej wiary!

Za wiele krzyżów zewsząd dotyka nas obecnie, abyśmy z niemi przed krzyż Chrystusa, abyśmy u stóp krzyża od rozpiętego na nim Boga, nie uczyli się, nie mogli wymodlić dla siebie wytrwałości i przebaczenia....

Wierzmy więc, trwajmy ufni, kochajmy!

A którzy między nami w narodzie przodujecie, „ducha nie gaście".

Oto w pojęciu naszem, pod względem religii, pod względem morału życia i wiary: obowiązek szlachcica na dziś.

. . . . . . . . . . . . . . .

VI. Przechodzę z kolei do pojęć, do obowiązków szlachcica polskiego na dziś, do obowiązków jako obywatela, jako ojczyca, patryoty, odnośnie do jego ukochanej Ojczyzny!

Wszelka prawda, wszelka umiejętność, jeżeli pierwsza głęboki, właściwy cechować ją winny sens posiada, druga zaś, jeżeli właściwie miano to, miano umiejętności nosi: koniecznie — pierwsza z nich — prawda — w swych wywodach wychodzić musi z prawdy ogólnej — z Boga — za cel swój ostateczny tegoż Boga mając; druga zaś, umiejętność obowiązana; ukazawszy genezę, pochód i czynność tej prawdy, zbadać i wykazać prawa, któremi się ona w pochodzie swym do prawdy ogólnej — do

Boga kieruje, wykazać musi drogi, któremi jako prawda względna do prawdy bezwzględnej do Boga podąża. I oto prawdziwa głębokość a istotność pierwszej, głębokość a prawdziwość drugiej.

Tak pojmując istotę wszelkiej prawdy i wszelkiej umiejętności, pozwoliliśmy sobie w poprzedzających ustępach dłużej nieco zatrzymać uwagę czytelnika, abyśmy w rzetelnem zrozumieniu jej oparci, z dobrą wiarą i właściwem ocenieniem wykazać potrafili obowiązującą obywateli kraju, ich narodową działalność na dziś.

„Zrzec się praw, rządu, wiary, obyczaju i swych nawet przesądów, bez oznaki oburzenia i żalu, byłoby w obliczu potomności nikczemnością i upodleniem. Naród taki ściągnąłby wzgardę, gdyby nie okazał dzielnych obywateli, krew swą lejących w obronie tego, co najdroższe na ziemi“. Temi słowy Alfons de Beauchamp zaczyna historyę wandejskiego powstania.

. . . . . . . . . . . . . . .

Rozdarci przez trzy wrogie a zmownie działające potencye, w każdej z oddzielnych części na inny sposób męczeni, prześladowani, obdzierani, pozbawieni na raz swych praw, obyczajów, narodowego bytu, strąceni z wyżyn obywatelskiej wolności na poniżające jarzmo niewoli, zaprzeczeni w wyznawaniu swobodnem świętej ojców naszych wiary, nic dziwnego, że po przejściu pierwszych wrażeń odurzenia, boleści i zgrozy jęliśmy się przemyślać i pra-

cować nad powrotem tego utraconego a najdroższego człowiekowi na ziemi dobra, nad wskrzeszeniem Ojczyzny!

Bylibyśmy niegodni imienia Polaków, jakie nosimy, niegodni wskrzeszenia naszej Ojczyzny, gdybyśmy z każdem dorastającem pokoleniem, tak chętnie jak to czynimy, krwią naszą, krwią kochających dzieci życia tej ukochanej matki ojczyzny tak hojnie nie okupywali. Dopóki po staremu strzeżemy świętej wiary naszej, pozostajemy wierni obyczajowi i cnocie, dopóki na hasło: Ojczyzna! krew nasza się leje, dopóty z wiarą a przekonaniem wołać możemy: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy“, to jest póki żyją w Polsce po staremu dawni jej obywatele. Dla tych tradycyjnych cnót naszych, poświecenia się i ofiary — wierzymy, że Bóg da Ojczyźnie naszej zmartwychwstanie.

Wykołysani przy dźwiękach wspomnionej pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła“, wykarmieni wiarą w Polski zmartwychwstanie, w kraju, w emigracyi czy na wygnaniu, jedynem marzeniem, jedynem pragnieniem naszem, niepodległość! Jedynym celem, jedynym czynem każdego dorastającego pokolenia, powstanie!

Aż dotąd prawym synom narodu cześć! każdemu ich pokoleniu chwała!

VII. Lecz niestety, kraj rozdarty i uciśniony, pozbawieni życia publicznego jego obywatele, po-

zbawieni jawności słowa i wszelkiej łączności, bez jawnych a powszechnie uznanych przywódzców czy to w każdej części rozdartego kraju, w emigracyi, czy na zesłaniu, gdzie każdy pojedynczy czuł się powołanym i przodownictwa godnym; niestety, wobec nielicznych prawdziwie zdrowych pojęć i prawdziwie obywatelskich myśli, wytworzyło się mnóstwo sofizmatów, powstał prawdziwy zamęt nawoływań i głosów. A każdy z nich, wobec swojego hasła, na żadne inne nie zważał, a każdy z takich swój tylko głos jedynie narodowym być obwoływał. Wobec takiego stanu nic dziwnego, że naród w znacznej części zatracił zdrowe pojęcia narodowe, że utracił wiarę w rzekomych wybawców; cóż dziwnego, że zamiast przyspieszyć, opóźniono, cofniono powstanie Ojczyzny?

Emigracya z 1831 r., wynosząc z sobą na obczyznę zasługi krwi przelanej w obronie niepodległości Ojczyzny, wynosząc z sobą rząd tymczasowy, narodowy, posiadając w swem łonie najzdolniejszych i najpatryotyczniejszych synów narodu, prawdziwych ojczyców, a zapoznawszy, że odłączenie od całości narodu, że znalezienie się wobec narodu innego i to jeszcze francuzkiego, który tylko co przeszedł u siebie drugą z kolei rewolucyę, emigracya zapoznawszy, powtarzam, że wszystko to koniecznie wpływać musi na zamącenie pojęcia o duchu i potrzebach własnego narodu — a przeciwnie, usprawiedliwiając się miłością i poświęceniem, emigracya — kończę —

osądziła się być w prawie przepisywać narodowi środki i drogi wydobycia się na niepodległość.

Emigracya tym sposobem znajdując się w normalnem położeniu, pod wpływem tego co widziała i słyszała w obczyznie, jęła przepisywać narodowi i aplikować doń takie środki i drogi, jakie w łonie swem za stosowne i właściwe osądziła, a które, nie będąc ściśle narodowemi, musiały być tylko szkodliwe.

W narodzie znów, gorętsi a mniej zastanawiający się, pod wpływem zgubnych a odurzających wrażeń, powodowanych brutalnemi prześladowaniami, udręczeniami, proskrypcyą, a pałający chęcią co najrychlejszego wyzwolenia się, zachowując w żywej pamięci stosunek narodu do dawniejszych legionów, wszystko — cokolwiek jako głos od emigracyi dochodziło, uważając jedynie właściwem hasłem, choć nie było, nie mogło być już ściśle narodowem — przyjmowali za takie, i apostołowali je w narodzie.

Aureola męczeństwa, otaczając emigracyę 1831 r., czyniąc ją rozbolałemu narodowi drogą, jako przypominająca mu jego ofiary i nadzieje, spowodowała, że naród cały dobrowolnie i bez wahania przeszedł pod przewodnictwo tejże emigracyi. Od niej jedynie oczekiwano wskazówki i hasła.

Przypomniawszy w ten sposób wzajemny stosunek emigracyi z narodem, łatwo pojmiemy głęboki wpływ i potężne jej oddziaływanie. Dodajmy tutaj prąd wieku i czasu, przeciw któremu naród, pozba-

wiony możności rozwijania się w duchu narodowym, siłą tegoż ducha właściwie oddziaływać nie mógł, a ostatecznie poznamy, dlaczegośmy tak dużo z czystości pojęć naszych narodowych utracili, dlaczegośmy poniekąd milcząco na tyle nowacyj u nas pozwolili.

Najpierwszem zmąconem pojęciem, najpierwszym sofizmatem było: zamięszanie pojęć obywatela kraju, z każdym kraju mieszkańcem, z każdym posiadaczem w kraju.

Aż do r. 1831 być obywatelem, znaczyło tyle, co być szlachcicem. Tak pod tym względem wypowiadał się duch narodowy, i taką jest w tym przedmiocie tradycya narodowa. A że szlachcicowi w Polsce służyło jedynie prawo dziedziczenia ziemi, być więc u nas obywatelem, znaczyło tyle co być szlachcicem.

Aż do r. 1831 nie dosyć było z jakiegokolwiek procederu większy lub mniejszy podatek skarbowi opłacać; aż do tamtego czasu tylko dziedziczenie, to jest posiadanie od dziadów większego lub mniejszego kawałka ziemi ojczystej, jedynie znój i praca na tej ojcowiznie niesione, jedynie podatek krwi z miłością i chętnem poświęceniem się całej ojczyźnie płacony, zaszczytne miano obywatela dawały. Przedewszystkiem żądano od obywatela w miłości ofiarowanego podatku własnej krwi.

Otóż emigracya, pod wpływem pojętych we Francyi i tamże stosowanych tak zwanych praw człowieka, wobec których każdy Francuz, opłaca-

jący pewne oznaczone census, uważa się prawnie za obywatela, otóż emigracya, nie zdając sobie dostatecznie sprawy, ile takowe pojęcie obywatelstwa u nas może być właściwem, nie będąc narodowem, ideę ową w miejsce naszej, narodowej, polskiej, postawiła, i tę naprzód w łonie własnem, a następnie w narodzie na różny sposób propagować i przedstawiać zaczęła. Niestety, nie można zaprzeczyć, że się jej to z niezmierną szkodą ducha narodowego, z niebezpieczeństwem zagrażającem dziś samej już narodowości, po większej części udało.

Emigracya polska zdawała się nie oceniać należycie całej bezdennej różnicy, zachodzącej między tak pojętem obywatelstwem we Francyi a u nas. Zdawała się nie pojmować, że obywatel we Francyi przedewszystkiem był i jest Francuzem. Nasz zaś, ten tak dziś zwany obywatel miejski w Polsce jest nierzadko bądź z krwi, bądź z wiary, a więc z ducha obcym.

„Obywatel francuzki we Francyi“, jak sprawiedliwie powiada w swych listach Zygmunt Krasiński, „może ci okazać przynajmniej szereg zwycięztw i strumienie krwi w obronie niepodległości ojczyzny swej wylanej; a pytam, jakie czyny nieprzejęty duchem narodowym naszym, a do obywatelstwa naszego przyjęty prusak, austryak, moskal, a nawet żyd w Polsce okazać ci zdoła?“

Tak, Emigracya owładnięta pojęciami wieku, przeważnie pod wpływem pojęć francuzkich, do roz-

darcia nieszczęśliwego kraju między trzy potencye dodała jeszcze nowe, a straszne nieszczęście, rozkładając jego ducha narodowego przez rozsadzające a trujące wprowadzenie do narodu nowego, a obcego mu krwią, wiarą i obyczajami pierwiastku, który zaszczytnie i korzystnie dla siebie, a ze szkodą i hańbą dla nas, wyszedł na tak zwanego dziś obywatela miejskiego w Polsce.

Żydzi, zamieszkujący Polskę, już jako mieszkańcy jedynie, od dawna stanowili niełatwe do rozwiązania problema, jak o tem przekonywa rozprawa Staszyca, czytana w byłem Towarzystwie przyjaciół nauk, i głosy jeszcze na sejmach w materyi tej zabierane.

Żyd dzisiejszy, jako tak zwany obywatel miejski w Polsce, żyd, przez wrogie nam rządy równouprawniony, a tak przerażająco rozrodzony i rozradzający się u nas (jak to statystyka wykazuje), żyd, któremu na mocy uprawnienia nie wzbronione nabywanie ojcowizn naszych, a przez to wciskanie się w łono samej ojczyzny — żyd — kończę — z hasłem rzekomej cywilizacyi i postępu na ustach, a w gruncie niepojednany talmudzista, ślepo związanym z sobą kahałom oddany, a strupieszałą od wieków kulturą swoją tak obcy, tak wrogi kulturze chrześcijańskiej, a przedewszystkiem katolickiej, jak o tem dzieło „Brafmana Rohlinga, a nad to wszystko codzienna z nader nielicznemi wyjątkami praktyka i inne dowodnie przekonywają — dzisiejszy w Polsce

żyd — obywatel — przedewszystkiem miano to i stanowisko swe nietyle rządom, jak usilnym staraniom demokracyi emigracyjnej zawdzięcza.

Cośmy powiedzieli o żydzie, stosuje się chociaż w części zaledwie do nienawistnego narodowości polskiej — niemca, a cóż rzec o moskalu, który na tej zasadzie w te same prawa obywatelskie wchodzi. Tak, jej to, demokracyi emigracyjnej, zawdzięczać mają: żyd, niemiec i moskal rzekome swoje obywatelstwo. Demokracyi, która wyrodziła się z łona emigracyi z 1831 r. przez rozdział tej ostatniej na arystokratyczną i demokratyczną.

Wewnętrzny ów a straszny dziś rozdział kraju na obywateli wiejskich i miejskich, czyli nieco dawniej na obywateli arystokratów i demokratów, nie narodowym zawdzięczając ideom. Imieniem pokalanego ducha narodowego potępiając te doktryny, przypisujemy im również wiele innych rozdziałów powalonego narodu naszego, rozdziałów, które nas coraz słabszymi wobec zewnętrznych wrogów naszych czynią, ciągle odsuwając wywalczenie naszej niepodległości.

Demokracya powszechna istnienie swe jak i swoje miano od demos (lud) niby z sił ludowych wywodząc, w przeciwieństwie z arystokracyą od greckiego wyrazu aristos (najlepszy) stawiając między innemi sofistyczne lub ponętne teorye równości absolutnej a wszelakiej i wspólności w posiadaniu obcej własności, to jest istotnie zaprzecza-

jąc prawa własności i wolności, gdyż „równość wolność znosi“ [1]), a wszystko pokrywając płaszczem miłości bliźniego, najwięcej łudząco na masy oddziałać i też masy pociągnąć potrafiła.

Przypatrzmy się, jak ogólna ta demokracya, a w szczególności demokracya polska, u nas ducha narodowego w rozmaity sposób psuła, paczyła, naród do ostatniego spaczenia, rozpasania, do rozpaczy przywodząc,

Demokracya odrazu zrywa z tradycyą; Kościół, szlachectwo, były dla niej największem obrzydzeniem, jako z wbrew przeciwnych sił powstałe, jako uszlachetniające człowieka, rozwijając w nim bezinteresowność, poświęcenie, tem samem ustalenie w duszy jego praw przeciw ludzkiej złej naturze na celu mające. Lud przez lud, i dla ludu, wypisywała na sztandarach swoich.

Pojęcie ludu u nas demokracya oznaczyła przez sofizmat słowiańszczyzny. „Pod tem imieniem różni różnie rzeczy pojmują i widzą, szczególniej gdy nie chcą wymienić, jak myślą. Wyraz słowiańszczyzna jest tylko złudzeniem i pokrywką“. U demokratów naszych wyraz ten oznacza niby lud w najrozleglejszem znaczeniu, a głównie jest upostaciowaną nienawiścią wszelkiej tradycyi. wszelkiej wyższości; zniszczenie szlachty, odstąpienie cd Kościoła, oto są rzeczywiste a niewypowiedziane głośno jej cele.

---

[1]) Gołuchowski. — *Dumania.*

„Przez słowiańszczyznę pojmują oni wylew ludu żyjącego z nami; ten, wystąpiwszy z granic, ma zniszczyć Polskę, a utworzyć słowiańszczyznę. Ten ruch demokratyczny był nieskończenie gwałtownym i wielkim prądem zalał całą literaturę i dzieje, przeszłość całą zupełnie zasłonił".

„Demokracya zmięszana z jednej strony z filozofią germańską, zimną, suchą, bezbożną, na gruncie katolickim koniecznie ginącą; z drugiej zaś strony splątała się ona z kozaczyzną ukraińską, kozaczyznę wskrzesiła, dawne budząc zawiści".

„Jak z jednej strony demokracya przez ideę słowiańską usiłowała szlachtę w imię miłości dla ludu powalić, tak z drugiej, splotłszy się w Poznańskiem z filozofią niemiecką, filozofowaniem swojem prawdziwie dusze zarażała, zabijała. Któż z żyjących wówczas nie pamięta owego piorunującego wrażenia, jakie dziełami swojemi, porywającemi niezwykłością, potęgą wysłowienia, przywiązaniem do ojczyzny, strasznej pamięci Trentowski wywierał?" „Młodzież akademicka obierała go swoim mistrzem, jak w Kijowie, a nie było Hozyusza ani Skargi, którzyby zachowali kraj od tego ognia, którym nieprzyjaciel dusz ludzkich kraj nasz podpalał [1]). Zdawało się, burza ta germańska powali Kościół katolicki w Polsce, że nawałnica ta demokratyczno-słowiańsko-ludowa szlachtę zniszczy, Polskę zaleje. Ale „Kościół zbudo-

---

[1]) Helleniusz.

wany na opoce". Polska namaszczona duchem Bożym, szlachta krwią, życiem i zasługami w naród wkorzeniona, a duchem narodowym promienna.

Jakoż ztąd wiał ów duch czasu, zarażający nas, tam też objawiło się i najpierwsze tchnienie powracającego do zdrowia ducha narodowego, które przywróciło nam zatracone pojęcie o Bogu i Kościele.

Rok 1843 był tym rokiem zwrotnym. W roku tym, jak cytuje Helleniusz, wychodzić zaczęło pismo peryodyczne „*Młoda Polska*", którego artykuły o „formach łaski" i o „zakonach", uważać należy jako wzory przewybornej katolickiej myśli i ducha. Pisał je autor krytyki „Pamiątek Soplicy" Stanisław Falkowski. Zaczęły się ukazywać „Wieczory Pielgrzyma", „Wianek duchowy", „Ołtarzyk Polski" i inne.

„Wielu znakomitych ludzi, pełnych talentów i cnót, zostało kapłanami: Jełowicki, Terlecki, Semeneńko, Hube, Kajsiewicz etc... Zwolna zaczęły się pojawiać pisma, pełne ducha Bożego. Pisarze polscy pozbyli się sympatyi dla niemieckiej metafizyki. Naród poczuł, że duszę ma w sobie, wyjawiło się światło i spłynął najdroższy dar łaski. Wyszedł wówczas trzeci tom dzieł Bogdana Zalewskiego z pieśnią: „Duch od stepu", z hymnem na cześć Przenajświętszej Rodziny i wielkie zbawienne uczynił wrażenie. Demokracya za granicą w korzeniu podciętą została".[1])

---

[1]) Helleniusz.

Po tak zwycięzko stoczonej walce z emigracyą demokratyczną, a bardziej ducha narodowego z duchem czasu, wyzwano znów Polskę do nowej walki, w której miała zwyciężyć lub zginąć. Ogrom materyalnej Moskwy, przestrzenie jej posiadłości, miliony jej poddanych, zdementowane ideą absolutyzmu, upersonifikowane w osobie „samodzierzcy" jej Cara, uosabiającego dla niej Boga na ziemi, pochłaniająco oddziałały na potężne zkądinąd w kraju umysły. Waleryan Krasiński, Maciejowski, Wiszniewski, straciwszy wiarę w nieśmiertelność idei polskiej, w niepożytość jej ducha narodowego, w jej ludzkościowe posłannictwo, nie widząc konieczności dalszego narodowego jej bytu, a ztąd i racyi jej wskrzeszenia, umyślili zlać ją z Moskwą, wcielić do niej inne ludy słowiańskiego szczepu, rozrzucone pod panowaniem tureckiem lub germańskiem. Zlewając tym sposobem ducha narodowego polskiego z duchem moskiewskim, starali się wyprowadzić już nie Polskę, nie Moskwę, ale Słowiańszczyznę.

Potworny ten zlepek, ta karykatura, z oburzeniem i bolem odrzuconą została przez Polskę; Moskwa a bardziej jej car głuchymi pozostali na te wezwania. Ideę tę słowiańską, a raczej moskiewską, wypowiedział do ostatnich kończyn znakomity zkądinąd myśliciel i pisarz Henryk Rzewuski, w swoich *Mięszaninach* Jarosza Bejły, ostatecznie w nich ową ideę Słowiańszczyzny i siebie w narodzie kompromitując.

Nie uważamy za potrzebne dodać cośkolwiek do słów Helleniusza, gdy mówi w tym przedmiocie: „Gdyby kto największy miał geniusz, Bóg wie jak był uczonym i rozumnym, a jest za Moskwą i jej sprzyja, Polski i Ojczyzny jest zdrajcą i wrogiem. W porządku bowiem moralnym Polskę od Moskwy ocean dzieli; kto myśli, że ocean osuszy lub przestąpi, sam w nim tylko utonie, a tego, co rozdzielone, nie zbliży. A kto krzewi partye dla Moskwy, jest albo podchlebcą albo obłąkany".

Oto, co wyrzeczonem zostało z nadzwyczajną odwagą w *Mięszaninach* Bejły: „Naród nasz jest umarłym i trupem, do innego należeć musimy. Zgnilizną jego i robactwem jest ta młodzież, która od lat kilkudziesięciu zwija się i rusza i w towarzystwa rozmaite się skupia. Społeczność nasza doszła ostatecznego kresu, po którym nie barbarzyństwo, bo to jest początkiem społeczeństw ludzkich, ale zdziczenie nastąpićby musiało. Zdziczenie, jako ostateczny koniec społeczeństwa, najlichsze jego poniżenie. Od tego uchronić może zagarnienie w inne towarzyskie żywioły. To zagarnienie i zajęcie, w historyi rozbiorem nazwane, jest czynem logicznym, zbawczym i dobroczynnym. Po tym kresie społeczność odśpiewuje pieśń pogrzebową, co jest jego niby literaturą. Tę dla urozmaicenia, dla wielkiej niby całości, społeczność zdobywcza przyłączyć i zachować powinna".

Otóż pokazuje się, że demokratyczni twórcy i wyznawcy sofizmatu, ochrzczonego mianem Słowiańszczyzny, wydobyci z pozłacanych obsłonek — lud, ludu uszczęśliwienie, pozbawieni innych formułek z dewizą lud, pokazuje się, że twórcy jego o ludzie tym naprawdę myśleli o tyle tylko, o ile potrzebowali rąk jego dla pozbycia się szlachty, obalenia Kościoła, podkopania Ojczyzny, ażeby w postawionej na miejscu Polski Słowiańszczyznie, sami mogli nad ludem i tą Słowiańszczyzną niepodzielnie zapanować.

Oto, jak wygląda wcielona idea słowiańska, a bardziej sofizmat, Słowiańszczyzna w duchu demokratycznym.

Jak się sofizmat ów słowiański przedstawia, pojęty w duchu panslawistycznym, zacytowany powyżej ustęp z „*Mięszanin*“ Rzewuskiego, komentarzy ani wyjaśnień nie potrzebuje. Moskwicizm jemu na imię i.... basta!....

Twórcy sofizmatu słowiańskiego, alias moskiewskiego, mają już swoją utartą nazwę: Targowicy pisarskiej albo konfederacyi niemej! I my też zamilczymy o nich.

Duch narodowy znów zwyciężył. Ojczyzna znowu ocaloną została!

## Rozdział II.

I. Wypadki z 1846 i 1848 r. i ich oddziaływanie na zakon szlachecki. — II. Wypadki z 1861 r. „Czerwoni i biali". — III. Szlachta a Komitet Czerwony. — IV. Postawa Margrabiego wobec kraju, Moskwy i zagranicy. — V. Polityka Moskwy. Gabinety europejskie. — VI. Szlachta wobec wypadków. — VII. Dyrekcya organizacyę rozwiązuje. VIII. Skutki dla kraju organizacyi Białych.

Zwyciężona demokracya rzuciła się wówczas w otchłań massoneryi, która dzisiejszą bezwyznaniowość, beznarodowość, internacyonał wyrodziła.

Nie piszę tutaj historyi, więc nie trzymam się ściśle dat, ani systematycznie a kolejno nie wymieniam tych wszystkich sił, które przez czterdziestoletni okres uderzały na ducha narodowego i na ducha chrześcijańskiego, który to ostatni ducha naszego narodu sobą przenika, przepromienia i uświęca. Konstatuję jedynie siłę i doniosłość gromów, które nań uderzały i uderzają, konstatuję jedynie, jak tenże duch narodowy oświecony i wsparty łaską ducha chrześcijańskiego, ducha Bożego, gromom tym zwycięzko się opierał i opiera. Konstatuję, że ani duch wieku i czasu, ochrzczony mianem rzekomej cywilizacyi i mniemanego postępu, a uosabiający się u nas w dawniejszych demokratach, dziś znanych pod nazwą czerwonych; ani duch germański, zbrojny w swą

złudną filozofię; ani duch moskwicizmu, uosobiony w rządzie knutowładnym, a u wolnodumców tego państwa wyrażający się panslawizmem i nihilizmem, narodowego ducha Polski pokonać nie mogły i nie pokonają, dopóki duch ten po staremu czerpać będzie siły swe z ducha chrześcijańskiego.

„Widno i jasno, czem był duch narodowy polski, jakie tego ducha, iż tak rzekę, principium i cel. Ten cel i to pryncipium ukochać i dalej rozwijać jest powinnością żyjących pokoleń, jest miłością ojczyzny. Albowiem miłość ojczyzny nietylko jest miłością rodzinnej ziemi i braci swojej, ale i ducha swojej społeczności, rozeznaniem, rozmiłowaniem, rozwinięciem".

„Oddajmy następcom, cośmy od przodków wzięli". (Helleniusz).

Otóż demokracya, złączywszy się z massoneryą, która, jak dziś wiadomo, duchem i ideami żydowskiemi się podtrzymuje, ducha i idee żydowskie, więc anti-chrześcijańskie, anti-polskie, reprezentuje, a co sam jej kierunek bezwyznaniowo-beznarodowo-materyalistyczny dostatecznie objaśnia, otóż ta część demokracyi polskiej, wcieliwszy się w massoneryę, a tem samem przyjąwszy jej idee, tak wbrew przeciwne, tak wrogie chrześcijańskiemu i polskiemu narodowemu duchowi, ona, kończę, chrześcijańską, polską być przestała.

I odtąd demokracya, jako ohydny płód ożenku swojego z massoneryą i z jej poplecznikami, prze-

szedłszy na ich żołd i wiarę, a zapoznawszy wiarę chrześcijańską, w miejsce jej przyjąwszy rozumowe, wykrętne a strupieszałe sofizmy, wrzekomo liberalnemi hasłami zbrojne, stawszy się z demokracyi demonokracyą, ukryła się w lochy przed światem słonecznem, sama nazwawszy się konspiracyą nieustającą, nocą, pod obłudną maską od czasu do czasu występuje jako wichrzyciel ducha narodowego, a pojawia się z nożem, z trucizną i stryczkiem!

Ona to szatańskiemi podszeptami swojemi obałamuciła niewinny, czysty dotąd, chrześcijański lud polski w Galicyi. Ona to właściwemi sposobami podszepnęła rządowi austryackiemu przeklętą ideę rzucenia między zdurzony wprzód przez jej wysłańców lud, szatańskiego słowa — mord!

Aktem tym oddano dank chrześcijańskiemu, polskiemu duchowi szlachty, uznano ją najpierwszym, najniebezpieczniejszym i najwstrętniejszym dla konspiracyi i przewrotu ustalonych zasad rycerzem, a obrońcą Krzyża i Narodu!

Krótką była uciecha konspiratorów. Bóg ukrzyżowany, zesłał szlachcie z jej własnego łona wybawcę, a był nim mąż natchniony, apostolski, szlachcic, Antoniewicz. Antoniewicz, drugi Skarga, mąż Boży!

Jednocześnie Bóg w łasce swej jako w żywy dowód opieki swej nad szlachtą polską, nad Polską, natchnął innego szlachcica, innego męża, a był nim orlego polotu dncha a niebotycznej miłości Boga i

[illegible], był nim autor *Psalmów*, autor *Komedyi Nieboskiej*, autor *Resurrecturis*, Zygmunt Krasiński. I [illegible] wyszedł z walki duch narodowy Polski. [illegible] zwyciężył Krzyż..., a z nim, a przez niego i z narodem polskim zwyciężył polski szlachcic.

A działo się to mniej więcej między rokiem [illegible] a [illegible]. [illegible] zdawały się przyrodzić i walka straciła swój [illegible] charakter. Z zanikiem doraźnego niebezpieczeństwa, szlachta po staremu [illegible] po staremu dowiodła: że ani korzystać ze zwycięstwa, ani wytrwać w [illegible] nie potrafi. A lubo na kresach stał wówczas olbrzymi a dzielny [illegible] potęgą narodowego ducha i obyczaju autor — *Mohorta* — i jakkolwiek szlachta pojedynczo garnęła się pod jego narodową chorągiew, w ogóle swym jednak, zdawszy na innych „pracę ducha" odpoczywała po dworach, dworkach i zagrodach. [illegible] brak w niej wytrwałości, a bardziej [illegible] konspiratorstwie [illegible] z niepokojem, [illegible] sama niemawiścią, swemi [illegible] środkami, nie nastawiając się publicznie, więc nie budząc opinii narodowej, na owe to złudne hasła swojej „ducha [illegible]", „postępu", „cywilizacyi", [illegible] jeśli pojedynczo obrabiać[1], i nawbiorą szlachtę — jeśli jednego po

[1] [illegible] wyrazem „obrabiać" którego [illegible] tak [illegible] do słowa [illegible] wo-

drugim bez hałasu wyrywać z zakonu. Nic więcej demonicznego nie można było pomyśleć. Siekierę przyłożono do samego korzenia, w domu, w rodzinie zaatakowano naród. Obrobiony albowiem na ich sposób szlachcic, wywierał się natychmiast na rodzinę swą w domu i na swych najbliższych sąsiadów w parafii. Korzystając z jego miłości Ojczyzny, z jego znajomej tolerancyi dla nowinek (w rodzaju norymberskich) i z jego buty, potrafiwszy weń wmówić wolterowski sofizmat: „że cel uświęca drogi i środki“, rewolucyoniści o resztę nie potrzebowali się troszczyć, resztę zrobił już przez miłość Ojczyzny, dla rzekomego jej wyzwolenia, sam obrobiony szlachcic. Przez zaaplikowanie tego szatańskiego sposobu, potrafiono z pomiędzy szlachty wyrwać dużo pojedynczych osobistości, potrafiono odstępstwem zluzować i osłabić zakon, z wyraźną szkodą ducha wiary i ducha narodu, a w końcu, z owych przewróconych przez rewolucyonistów ludzi przewrotu, a przewróconych na tak wrogą narodowi wiarę, potrafiono ze szlachciców urobić rodzaj emigrantów we własnym kraju, emigrantów stokroć niebezpieczniejszych od dawniejszych na obczyznie. Ci, jako z umysłu opuszczający zakon, mają sobie za chlubę: że ducha

---

wnętrznością duch Boży, jak wewnętrznością roboty, już nie duch a siła niekoniecznie czysta. Głębokiego, psychicznego znaczenia jest, że rewolucyoniści, że internacyonały czynności swoich sami nie nazywają uszlachetniającem człowieka imieniem pracy, a mianują robotą.

narodowego zdeptali. Oni to, emigranci w kraju, (wyemigrowawszy z zakonu), wyparłszy się wiary ojców i ducha ojców ożywiającego, plując na dawny obyczaj, rzucają się raz w objęcia rewolucyonistów całego świata, aby tylko konspirować, wichrzyć i niszczyć; to znów w osobach niektórych swych członków, oddają się na usługi wrogim rządom, przez cześć „dla złotego cielca"; oni, frymarcząc ojcowiznami i ojczyzną, a popisując się ze swego wrzekomo postępowego usposobienia, krzyczą w niebogłosy z żarliwością neofitów: że szlachta, że Polska, że katolicyzm już upadł; oni, zatruwszy zwątpieniem jednych, uzuchwaliwszy innych, okrzyknęli: „niema już szlachty"! I znowu światło narodowe w kraju przygasać zaczęło... konspiracya nurtowała naród.

W tym czasie ukazał się pamflet satyryczny z silną wonią paszkwilu, a napisany z werwą, w zewnętrznej formie noszący cechy poematu patryotycznego, napisany właśnie przez jednego z tych wyrwanych z zakonu, dla którego nie było już dróg niegodnych, skoro cel był szlachetny, skoro domniemanie przyspieszał zbawienie Ojczyzny. Owym oszalałym z miłości Ojczyzny, a dla konspiracyi zyskanym szlachcicem, był podpisujący się pseudonimem „Sowy". On to jako dewizę na swym ówczas tak poczytnym, a tak psującym ducha narodowego w szlacheckiej młodzi, poemacie „*Jordan*", postawił te oto słowa:

„Ja sowa jestem, ja latam w ciemności,
Lecz gdy dzień zejdzie, ja chowam się w cienie
I głos mój stłumię, aby sowy pienie
Nie przerażało pienia jasnych ptaków,
Lepszych od sowy, choć sowy rodaków"...

Potrzebaż tu komentarzy, czyż sam nie wyznaje, że jest w ciemności, że co do odrodzenia kraju, żadnej jasnej nie ma idei? Czyż cynizm, z jakim się chełpi, że się oddał w panowanie ciemności, że światło wiary, że światło ducha narodowego już go oświecać przestało, a przeciwnie razi go. Czyż występne jego przeciw braci szlachcie wystąpienie, którą dzieli na dwa obozy: jasnych i niejasnych, a przez cały ciąg swego pisma ohydza pierwszych, czyż okryty tajemnicą, rzeczywisty cel, nawet dla tych, którzy umrzeć dlań mieli, nie powinien był podnieść głosu przeciwko jego odstępstwu z zakonu, i przeciwko jego apoteozie konspiracyi? Niestety, nie odezwał się nikt.... a setki kibitek, napełnionych szlachtą, towarzyszyły kibitce, która jego samego odwoziła do „katorżnych robót" w Syberyi:

„A przez kraty więzienne, a przez grube ściany
Nawet jęk nie dolatał, gdy brat był smagany"!!

Jak widzimy, na inny sposób jak w Galicyi, ale tak w Królestwie kongresowem jak w prowincyach zabranych, szlachta gwoli rewolucyjnym zasadom i robotom, zapłaciła znowuż haracz krwi,.. Setki domów szlacheckich opustoszały.

Podszczuwacze, jak niewiadomo zkąd się znaleźli, również niewiadomo było, gdzie i jak zniknęli. Na chwilę z ciemności wyszli na światło, sprowadzili ciemność — i znowu skryli się w swoich norach.... w ciemnościach....

W Wielkiem Księstwie Poznańskiem więzienia również zaludniła szlachta. Wróciła prawda potem z Syberyi, wypuszczono ją z więzień Berlina, ale do domów swych, do mienia powrócić nie mogła. Domów już nie miała, mienia zaś połowę pochłonęła konspiracya, drugą połowę zabrali Niemcy i Moskale, a bardziej ich rządowi siepacze, za uwolnienie z więzień i katorgi....

Wydziedziczeni, pozbawieni mienia, po większej części shołdowani zostali przez rewolucyą, jej się gorliwie, jako konspiratorowie na usługi oddając. I oto geneza, jak się dawniejsze „legiony włoskie" (szlacheckie) wyrodziły w kolei czasu, w „legiony rewolucyjne" pod kierunkiem rewolucyi wszechświatowej, za granicą będące, i w „legiony rewolucyjne lub „żydowsko - moskiewskie" w kraju, legiony, do których weszła szlachta, haniebnie zbiegła z pod chorągwi narodowej, oddawszy się w poddaństwo rewolucyi, żydom lub Moskwie, z oczywistą a nienagrodzoną szkodą religii, narodu i obyczaju. Oni to szturmują dziś „szlachecki zakon" w kraju, przez dom, przez rodzinę.

Oni najwięcej narodowi szkodzą, oni prawdziwi emigranci we własnym kraju, przejęci wy-

obrażeniami cudzemi, najbardziej zdolni pociągnąć innych do zbiegowstwa, z pod nieintratnej chorągwi narodowej. Z temi to wewnętrzno-krajowymi emigrantami, przez nich to głównie rewolucya kosmopolityczna prowadziła swoje roboty, aż do pamiętnego na wieki roku 1861, przeprowadzając ową straszną „rewolucyę", z umysłu fałszywie nazwaną powstaniem, kiedy powstanie było jedynie środkiem — celem zaś rewolucya.

W tem miejscu dla ogarnięcia całości zwrócić musimy uwagę czytelnika na chwilę w inną stronę. Duch czasu, duch kosmopolityzmu, wywarłszy się na całą Europę, z kolei dostał się do samodzierżczej Moskwy. „*Kałakoły*" i inne podobnymże głosem dzwony rozniosły śród Moskwy kosmopolityczne hasła, rekrutowały wyznawców, zwoływały do apelu.

Caryzm, lękając się narodowego ducha Polski, między innemi sposobami chciał go zniszczyć obskurantyzmem, a umyślił wykorzenić, podstawiając swojego moskiewskiego ducha; zniesiono więc wszystkie wyższe naukowe zakłady w Polsce, a jedynie ograniczonej liczbie młodzieży polskiej pozwolono słuchać wyższych kursów w uniwersytetach moskiewskich, sądząc: że ztamtąd ducha poddańczego wyniesie. Moskwa, ów najhaniebniejszy w świecie niewolnik, ów, że tak powiemy, pies w carskiej obróży, na carskim uwiązany powrozie, pod carskim pełzający knutem, ów urodzony buntownik, bo bunt i niewola, to rodzeństwo. Bunt rodzi się i rozrasta

w niewoli, jak się rodzi, jak się rozrasta w gnojnej ranie robactwo; jedno drugiego się trzyma, jak się trzyma swojej przyczyny skutek, jak reakcya akcyi. Mówimy tu o tych Moskalach, którzy mieli pewne światło, z kultury ogólno-europejskiej płynące. Lud dotąd bałwochwalczo, bezmyślnem swem czołem, na którem jak na pustej tablicy życie żadnej nie wypisało idei — lud moskiewski, bije dotąd pokłony, niżej niewolniczych, przed swym ziemskim Bogiem, przed carem!

Otóż gdy wśród tych, powierzchownie z kulturą europejską otrzaskanych „russkich człowieków“ [1]) padł duch beznarodowego, bezwyznaniowego kosmopolityzmu, gdy zaleciały idee bezkarnego korzystania z cudzej własności, gdy mu powiedziano: że jego „obrazowanie“, czyli cywilizacyjne formowanie się na obraz i podobieństwo człowieka jest równość jego z innemi ludami (którą on pojął jako równość materyalną) — proszę wyobrazić sobie, co się z nim stało....

Cała wiekowa niewola i upodlenie zbydlęcające, bydlęcemi instynktami dzikiej, bydlęcej samowoli zaszalały w nim. Jak pies rozjuszony na powróz, który go tak długo krępował, pragnąc gryźć rękę, która

---

[1]) Moskal, jako niemający żadnego ducha narodowego, nie nazywa siebie np. Rossyaninem, jakby to powiedział Polak, Francuz, Anglik, jak nawet Turek o sobie powiada, a zapytany o narodowość, jeżeli mu to wytłómaczysz, powiada o sobie przez omówienie: „Ja russkij człowiek“! albo też zwyczajnie: „Ja prawosławnyj“.

go tak długo więziła i smagała, karmiąc go ostatnim ochłapem, spadającym ze stołu ucztującej — prawdziwej cywilizacyi.

Młodzież polska, urodzona do wolności, wolność mająca we krwi, w tradycyi, którą z domu wyniosła (bo jej po szkołach historyi polskiej nie uczono) a wolność tę kochająca nad życie, a nienawidząca Moskali, za odebranie im wolności i Ojczyzny, nienawidząca za wiekową moskiewską niewolę, zszedłszy się na uniwersytetach moskiewskich z młodymi Moskalami, między którymi „*Kałakoł*“ i t. p. był na porządku dziennym, a z tak dziką namiętnością nienawidzącymi swojego rządu, nie w imię miłości Ojczyzny (bo o tej Moskale pojęcia nie mieli, a Polski nigdy kochać nie mogli), a w imię nienawiści przeciw caryzmowi i wszelkiej wyższości, weszli z sobą w potworny sojusz. Katolicy! Polacy! w sojuszu z prawosławnymi — z Moskalami — z dworzaninami! możeż być coś potworniejszego? Nieszczęśliwa Ojczyzno! Nieszczęśliwy narodzie polski!... Obskurantyzm w kraju, kosmopolityzm żydowsko-rewolucyjny za granicą, lub moskwityzm kosmopolityzmem zgnojony w uniwersytetach moskiewskich, oto co Polakom przedstawiało się do wyboru w ogólno-cywilizacyjnym kierunku ich i ich synów. Różnie różni próbowali, a wszyscy mniej więcej jedno osiągali, odnośnie do ducha narodowego, osiągali: zatracenie tegoż ducha, a w miejsce jego zostawała im: pustka indyferentyzmu, obce kosmo-

polityczne tchnienie, albo dławiły ich najokropniejsze moskiewsko-kosmopolityczne wyziewy.

Tam to, w tych uniwersytetach, dawniejsi rewolucyoniści, późniejsi konspiratorowie przyjęli nazwę „czerwonych" i pod tem to nowem mianem poznał ich naród Polski, i doświadczył ich piekielnych machinacyj. Szlachta znowu oblała się krwią i utraciła mienie, Kościół zachwiał się w podstawach. Domyśli się każdy, że tu mowa o wypadkach z roku 1861, 1862 i 1863.

Wypadki te, zbyt kolosalne, a w skutkach swoich przerażające, śmiertelnemi dla ojczyzny być mogące, ztąd i sąd o nich niełatwy, aby mniej więcej wyczerpująco w artykule tak pobieżnym opowiedziane być mogły. Dla ciągu jednak zmuszeniśmy zarysować je choć najpobieżniej.

Czternaście lat upłynęło od owej katastrofy, która duchowieństwo a przedewszystkiem szlachtę zpiorunowała, cały naród obrażając i krzywdząc śmiertelnie w jego duchu religijnym i narodowo-obyczajowym. Czternaście lat, to prawie wiek jednego pokolenia. Czas więc, czas wielki narodowi zdać sobie sprawę z sytuacyi, w której się znajduje, czas policzyć straty, policzyć się — wielki czas!....

W tym długim peryodzie letargu narodowego jednych ogarnęła rozpacz i we wszystko stracili już wiarę. Stan, w jaki zostali pogrążeni, zdaje się im być piekłem, ciemnością, z jednym, palącym się wśród tej ciemności piekielnemi głoskami napisem:

„Tu niema nadziei!" Inni, jakby nie wiedzieli, jako się ziemia zapadła pod ich stopami, pochłaniając tak wielu i tak wiele, ponieważ oni zostali, a i mieniu ich samych zbyt wielka nie stała się krzywda — jakby o pochłoniętych i pochłonione, nie chodziło im wcale, wegetują, postawiwszy sobie dewizę: *dolce far niente!* Inni jeszcze, rzuciwszy się do ratowania zagrożonego bytu — byt postawili dla siebie celem, zamiast środkiem; a wszyscy wzmiankowani pielęgnowanie ducha narodowego, obronę wiary świętej, niepodległości Ojczyzny, całą obowiązującą dobrego syna Ojczyzny i Kościoła pracę ducha zdawszy.... na kogo?...,. Gdyby żył autor *Mohorta*, sto razy właściwiej, jak kiedykolwiek, mógłby zawołać w rozpaczy:

„Cała wielka praca ducha na drukarzy dzisiaj zdana!"

Duch narodowy, duch chrześcijański, nieprzygarnięty przez dusze zwątpiałe lub senne, nieogrzany w sercach polskich, zarażonych indyferentyzmem i materyalizmem wieku, którego ostatniem słowem „nihilizm", duch narodowy osamotniony, zdaje się tęsknić i wzdychać i nawoływać z przekreślonych krzyżów, przeinaczonych dziś świątyń Pańskich, z pobitych okien stojących a przerażających pustką dworów i dworków szlacheckich, a wyraźnie zdaje się jęczeć i grozić tam, gdzie pod staremi strzechami nowi, jacyś nieznani ludzie, niezrozumiałą mową, nieznanym obyczajem, nieznanemu, obcemu kłaniają

się duchowi, lub nie mając żadnego ducha, żadnemu się nie kłaniają. Oni, mrozem swego serca, oni pustką swojej duszy powiększają grozę i pustkę opuszczonego a po zrujnowaniu zajmowanego przez nich domowstwa...

Kapłani materyalizmu, mistrze kosmopolityzmu dzisiejszego wieku, zaparłszy serca ludzkie przed Bogiem — duchowi narodowemu nie dając przystępu do duszy (a którą, nawiasem mówiąc, mają za abstrakcyę, jaka się ze zwyczaju i dla gminu jedynie określa słowem: „dusza", a której się rozumnie nie pojmuje, bo się jej żadnym zmysłem dobadać nie można), kapłani materyalizmu, pozytywizmu, poganizmu mistrze, zwąc wiek dzisiejszy wiekiem wyzwolenia, wolności, równości i rozumu, dumni tym swoim rzekomym rozumem, tą swoją osławioną wolnością nauki i słowa, z katedr swoich zbudowawszy sobie tron, i zasiadłszy na nim, postawili przed tym tronem ołtarz, na ołtarzu mieszcząc złotego cielca — Molocha. W każdej z rąk mniemanego Boga, umieścili tablice z napisem, na jednej: „dobrobyt", na drugiej zaś „równość". Sami zaś (mniemani wyznawcy wolności i równości) stanęli nad ludzkością z maczugą oszczerstwa — sobie, w imieniu utworzonego przez nich Boga, pokłon zmuszając oddawać, zmuszają ludzkość przed nimi bić czołem. Bogami teraźniejszego wieku są właśnie ci wydymający się na wielkość materyalizmu. Duchem, a właściwie siłą ich (jak oni sami ducha mianują) są ich teorye

pseudo-moralne. Ministrami a bardziej siepaczami ludzkości w ich steroryzowanem państwie są: owi, zaczerniający stosy bibuły przeróżnych pism peryodycznych, a obowiązani rozsławiać majestat złotego cielca, boga czasu i rewolucyi, wszetecznej jego małżonki czy nałożnicy, sami zaś siebie ogłaszający opinią. Wszetecznica ta, rewolucya, zajmuje dzisiaj najpoczestniejsze miejsce — ona bogami i kapłanami a mistrzami ostatecznie włada i kieruje; sam najwyższy bóg, bóg dobrobyt, bóg cielec złoty kłania się jej, służy jej, służy rewolucyi! „Sami królowie ziemi piją z kubka jej obrzydliwości, i wszeteczeństwa z nią płodzą".

„Dawna cnota, dawna nauka i umiejętność, z ducha Bożego płynąca, sponiewierana, a na jej miejsce stanęła nauka i umiejętność ludzka, a wszystkie najsilniejsze umysły, najpierwze zdolności i talenta shołdowała sobie". Wytworzyło się dziwne, haniebniejsze od innych dworactwo rewolucyi.

„Nauka i umiejętność ludzka w tym wieku zolbrzymiała, nie masz w niej ani pokory, ani prostoty prawdziwej, jest jak Goliat, stoi nad człowiekiem z maczugą. Ma za sobą umysłową potęgę, sławę i wziętość wielką. Kto nie hołduje dzisiejszej potędze świata i jego nauce? Kto z nią wystąpi do walki? Kto? Nieznaczący ubogi pasterz, bez broni, bez maczugi, z kamykiem w ręku!

„Stanie z nim do walki prostota, wiara i prawe uczucie. Te jeszcze dochował w kółku rodzinnem,

przy rolniczej pracy, szlachcic polski, jako ów Dawid, który był pasterzem, a potem królem. I on był niegdyś królem, dziś tylko (rolnikiem) pasterzem".

II. Zanim przejdziemy do olbrzymich konsekwencyj z pamiętnej po wszystkie czasy rewolucyi 1863 roku, uważamy za konieczne zatrzymać się chwilkę jeszcze nad ogólnym przebiegiem jej, a głównie nad środkami, użytemi przez „Czerwonych" i przez Moskwę, w celu osiągnięcia jak najradykalniejszych skutków socyalnych i przeciwnarodowych — wobec usiłowań wciągnięcia mas i dokonania zasiewu, dla ich moskiewsko-rewolucyjnych celów w przyszłości.

Na kilka lat przed pamiętnym a początkującym rewolucyę dniem wystrzałów przez Moskwę do mas zebranych, a śpiewających pobożne pieśni, na Krakowskiem przedmieściu miasta Warszawy, na kilka dni przedtem, szlachta, zorganizowana w byłem Towarzystwie rolniczem, a następnie (po rozwiązaniu tegoż Towarzystwa przez Rząd, za podany doń, a znany adres o nieprzedawnionych nigdy prawach narodu), zorganizowawszy się znowuż w tak zwane „Koło Białych", którego głową była „Dyrekcya", a którą nieświadomość jedynie i rozmyślność [1]) może mieszać z byłym Komitetem byłego

---

[1]) Komitet ów, a bardziej niektórzy jego członkowie, zazdrośni o władzę nad krajem, jaką posiadali, a których cały program streszczał się w wygodnej, w biernej opozycyi, oponowali Margrabiemu, Czerwonym, a głównie, a przedewszystkiem, kłodą walili się pod nogi

Towarzystwa Rolniczego, nie przedstawiała dla czerwonych dość łatwego łupu do owładnienia, pokierowania i wyzyskania jej ku swoim celom, jak to miało miejsce w r. 1846 i 1848. Cele, drogi i pojęcia Białych, były odwrotne z celami, drogami i pojęciami czerwonych.

Szlachta, dla której niepodległość Ojczyzny jest, była i będzie zawsze najprzedniejszym celem jej szlacheckiej — obywatelskiej działalności, rokiem przedtem postawiła projekt oczynszowania, a następnie uwłaszczenia włościan. Cel uwłaszczenia widoczny, uposażenia włościan posiadanemi przez nich gruntami, aby przez uczynienie ich dziedzicami ojco-

---

Dyrekcyi Białych, która poważyła się mimo nich, inny program stawiać — bez nich się obchodzić. Oni najlepiej wiedzą, ile aż do ostatniej chwili paraliżowali prace Białych, siebie i swoje wywyższenie przeważnie mając na widoku, a nie mówimy tego o wszystkich, mówimy o niektórych. Ile razy Dyrekcya ostrzegała o mogącem wyniknąć powstaniu, mówili: „że Dyrekcya umyślnie straszy, aby chętniejszy posłuch miała". Dosyć tu powołać jeden fakt: W kilka dni po wybuchłem powstaniu, kiedy wyprawieni przez „Rząd Narodowy" przysięgli bezbronni błąkali się w „Kampinosie", Dyrekcya wyprawiła do Galicyi i do Krakowa nastręczającego się jej jednego z aspirantów byłego Towarzystwa Rolniczego, z zawiadomieniem o sytuacyi i z żądaniem: niepopierania niewczesnego powstania, ani słowem, tem mniej pieniędzmi i bronią. Cóż czyni ów szanowny obywatel? oto powiada: przysłano mnie z żądaniem: „abyście nie powstawali, lecz co rychlej przysyłajcie broń powstałym, a siedzącym w Kampinosie". (sic!!). Przez długi czas, nadaremnie usiłowano sobie wytłomaczyć opaczny skutek missyi... On sam, za powrotem do kraju, z owego, tak szlachetnie sprawionego poselstwa, po nadaremnem usiłowaniu (z podobnymi sobie) zwalenia Dyrekcyi, gardłując za kilkudniową „Dyktaturą", wszedł jako wielce zasłużony człowiek do rządu Narodowego. Prawda, że to dość ciekawe i dosyć objaśniające?!...

wizny, naturą rzeczy uczynić z nich rzeczywistych synów, więc obrońców Ojczyzny.

Otóż czerwoni, przestraszeni skutkami patryotycznej ofiarności szlachty, przewidując na wieki zaciskający się, sympatyczny węzeł między nią a ludem przez nią uposażonym, przewidując, że ustaje dla nich możność (tworzeniem bezustannej rozterki, wzajemnej między szlachtą a ludem) rządzenia się po kraju, przewidując w końcu, że urastająca w popularność szlachta ostatecznie w niedługim czasie opinią kraju zawładnąć, a przedewszystkiem pozbawić ich możności przeprowadzenia ich ogólno-rewolucyjnych celów, potrafi: otóż, powtarzamy, Czerwoni przestraszeni temi łatwo się przewidzieć dającemi skutkami, postanowili: bądź co bądź, zbliżenia się tego szlachty z ludem nie dopuścić! Oto rzeczywisty *nervus rerum* — oto oś, wokół której obracały się wszystkie rzekomo patryotyczne roboty Czerwonych. Celem szlachty było: dobrowolnem przeprowadzeniem rewolucyi socyalnej, przez uwłaszczenie włościan, umożebnić kraj do skutecznego powstania; celem Czerwonych zaś: wywołaniem natychmiast bądź co bądź powstania, nie dopuścić szlachty, spełnić wielkie dziejowe dzieło, uwłaszczenie, oddaniem swojej własności, własnemi jej rękami, a przeciwnie mieniem szlachty (niby pod przymusem rewolucyi działającej), samym uposażyć lud, więc wystawić rewolucyę jako uposażającą.

Obedrzeć więc szlachtę z jej własności, obedrzeć ją na wieki z jej ojcowstwa nad ludem, a im samym (Czerwonym) im ofiarującym (jak zawsze) nic, zapewnić sobie wdzięczność mas, zsunąć szlachtę na drugi plan w narodzie, a samym, sformowawszy IIIci stan *(tiers-etat)*, do którego u nas, ani warunków, ani czynników narodowych w dostatecznej liczbie nie było i nie ma, zapanowawszy następnie nad tym stanem, przez niego uformować dla siebie obywatelstwo w narodzie. Narodem wichrzyć, naród jak zawsze wyzyskiwać, oto ostateczny cel Czerwonych.

Na wezwanie menerów czerwonych (jako we własnym interesie) stanęli Niemcy różnego odcienia, żydzi warszawscy oraz innych miast, z wszechświatową rewolucyą tajemnemi związkami, lub wewnętrznem usposobieniem zsolidaryzowani, stanęło również całe okłamane w większej części przez nich, a wykarmione wspomnieniami „Kilińskiego" patryotyczne mieszczaństwo polskiej narodowości w Warszawie i w innych miastach kraju, zainteresowane tą niby nową dlań pozycyą w narodzie u jednych, a nieświadomym patryotyzmem u drugich porwane, stanęła w końcu cała prawie kasta urzędnicza w znacznej części przez Moskwę i przez rewolucyą zgnojona i znurtowana, od których Wielopolski „czystych rąk zażądał" i oficyaliści dworscy, podobnie jak urzędnicy (po większej części) z mieszczan polskiego

i niepolskiego pochodzenia rekrutujący się, a przez rewolucyę w imię zasad socyalnych zhołdowani.

To stanowiło siły, któremi rozporządzać mogli „menerzy", zwący się i swoich sprzysiężonych zwący „Czerwonymi".

Określiwszy w najogólniejszym zarysie ostateczne cele obu stronnictw, przedstawiwszy w treści środki i drogi, za pomocą których te cele obustronnie spełnić usiłowano, zaczynamy od Białych.

Otóż Biali zrozumieli, że aby doprowadzić kraj do skutecznego powstania, „potrzeba całą Polskę w jej historycznych granicach (nie bacząc na zabory) związać w jedną silną organizacyę, wspólnie obmyślić i ułożyć najwłaściwszy więc obowiązujący cały kraj program do postępowania, w końcu środki do urzeczywistnienia go postanowić i wskazać.

W tym celu najprzód w Królestwie kongresowem rozdzielono kraj cały na dawniejsze województwa i powiaty. Cały powiat wybierał jednego, tak zwanego „powiatowego męża zaufania". Wszyscy powiatowi męże zaufania w całem wojewodztwie wybierali znowuż, nie wyłączając siebie, jednego „wojewodzkiego męża zaufania". Tak wybranego „wojewodzkiego" opatrywano instrukcyą: co województwo dane o potrzebie chwili rozumie, i co przeprowadzić pragnie, nie krępując wszakże ani osobistych przekonań wojewodzkiego, ani go zmuszając, bądź co bądź, wobec innych województw i ziem,

dane jemu instrukcye przeprowadzić; województwo wypowiadało jedynie życzenia swoje. Miasta wybierały również swoich wojewodzkich. Tak wybrani wojewodzcy, zebrani w Warszawie, stanowili tak zwane „Koło", do którego Warszawa dawała czterech reprezentantów.

Koło to dopiero (również nie wyłączając członków je składających), wybierało już z całego kraju najprzód pięciu a następnie trzech mężów zaufania, którzy składali Dyrekcyę.

Koło w komplecie, czyli z swojemi trzema Dyrektorami, stanowiło program, którego wykonanie składało na Dyrekcyę, poddając się jej rozporządzeniom. Koło zbierało się prawie co pół roku, w celu zmiany w postępowaniu, lub dla zmiany osób, Dyrekcyę składających. W razach nadzwyczajnych Dyrekcya zwoływała Koło dla szerszej narady. Koło, zebrawszy się samo, miało prawo w komplecie swym większością głosów zwalić Dyrekcyę, obrać innych członków, całą organizacyę odmienić, lub zupełnie rozwiązać.

Organizacya ta, w kilka miesięcy po pierwszym Adresie, podanym do Monarchy, z niesłychanym trudem wobec jawnych i skrytych przeszkód, czynionych przez komitet b. Towarzystwa Rolniczego i przez Czerwonych w Kongresówce przeprowadzona, zaledwo na trzy miesiące przed wybuchłem powstaniem w innych prowincyach,

z wyjątkiem Galicyi[1]) stanąć mogła; a reprezentanci tychże w Warszawie znaleźć się mogli. Składający oddzielną Dyrekcyę każdej odnośnie prowincyi, ze swojemi u siebie ułożonemi programami, na oznaczony dzień zjechali się do Warszawy, gdzie Dyrekcya Królestwa Kongresowego, jako inicyująca, a wzmocniona (natenczas) dziewięcioma z całego kraju wybranymi, a za najodpowiedniejszych uznanymi, powierzyła im, przeprowadzenie swego, lub przyjęcie innego, przez którąkolwiek prowincyę stawionego programu, lub w końcu wytworzenie programu innego, na Kole, które wówczas reprezentanci wszystkich prowincyj składali.

Program, stawiony przez Dyrekcyę Królestwa Kongresowego, we wszystkich punktach zatwierdzony, przez reprezentantów wszystkich prowincyj, z wyjątkiem, jak powiedzieliśmy, Galicyi, wówczas na pasku wodzonej przez samopas chodzącego (tak zwanego) „Czerwonego Księcia", za obowiązujący uznany, i do solidarnego przeprowadzenia polecony został. Dyrekcya Królestwa Kongresowego za Dyrekcyę narodową; członkowie zaś, tę Dyrekcyę stanowiący, za przedstawicieli i naczelników w narodzie uznanymi zostali.

---

[1]) Dla wprowadzenia Galicyi do wspólnej pracy, ówczesna Dyrekcya wysłała upoważnionego *ad hoc*, lecz ten, sam zapewne winny, winę na innych zwalając, missyi swej skutku pożądanego, z wielką szkodą dla sprawy, nadać nie mógł czy nie potrafił.

Biali, przeprowadzając swoją organizacyę zdołu, czyli podając ułożenie programu tak, jak wybór osób, samemu narodowi, czynili zadość tradycyom historycznym, zainteresowywali kraj w kwestyi narodowej, przeprowadzali jego wyrok polityczny.

Członkowie, Dyrekcyę składający, którzy przejść musieli tyle wyborów, zanim w tej ogólno-narodowej Dyrekcyi się znaleźli, a poddani ciągłej kontroli i baczeniu kraju przez Koło, czuli się być rzeczywistymi obywatelami-reprezentantami, a nie uzurpatorami (jakimi w prawie i w rzeczy byli Czerwoni, organizacyę swoją w układzie jej, na wzór Białych, ale już nie zdołu, a zgóry, sposobem uzurpacyjnym przeprowadzający).

Siła Dyrekcyi Białych spoczywała w dobrowolnym wyborze jej mocodawców — w narodzie, który ją wybrał — jak skuteczność przeprowadzenia projektów, w stawianiu i bronieniu ich na Kole, które w ważnych chwilach wzmacniało się przybranemi ad hoc z każdego województwa; siła komitetu Czerwonych spoczywała na przysiędze bezwarunkowego posłuszeństwa już nie złączonych a sprzysiężonych, skuteczność zaś w przeprowadzeniu już nie projektów, (jak u Białych), a postanowień, polegała na stryczku, truciźnie lub nożu. Stryczek, trucizna i nóż, niestety! jak wiadomo, nie były to puste słowa, nie były to czcze strachy. Zhańbiona zbrodniami temi Ojczyzna zbyt boleśnie zachowała

w pamięci oprawców, policyjną funkcyę spełniających po miastach, i tak zwanych żandarmów, wieszających na prowincyi. Oprawcy owi miejscy, jak i ci ohydni żandarmi wieszający, nosili, o hańbo! tytuł „narodowych", tak jak ów komitet czerwony, na pieczątkach swych, któremi naród w grobie pieczętował, Rządem narodowym siebie zatytułować poważył się. O biedny, o nieszczęśliwy narodzie, któż nie rządził już tobą?

Samo przeprowadzenie organizacyi, tak jak ją Biali przeprowadzali, gdzie każdy szlachcic potrzebował się nagadać, i aby jemu gadano, gdzie każdy chciał wszystko i do ostatka wiedzieć (jako ten który wybierał), gdzie każdy domagał się, aby jego myśli, jakie na swój sposób wykładał, były przez Dyrekcyę przeprowadzone, gdzie rząd moskiewski i rządy obu zaborów czatowały, dodawszy odpowiedność wybrać się mających osób, wobec nieznajomości kraju, gdzie nieraz całe zgodne postanowienie Koła jeden wichrzycielski lub niesforny głos rozstrajał i burzył tak, że niekiedy po kilkakroć jedno województwo do coraz nowego wyboru nakłaniać trzeba było; a pojmie się cały ogrom syzyfowskiej pracy, jaka Dyrekcyę wysilała. Noża rozcinającego te trudności u Czerwonych; stryczka, który więcej mównym usta zawiązywał; trucizny, która rany osobistych ambicyi radykalnie u nich goiła, Dyrekcya, jako naprawdę narodowa, środków tych praktykować u siebie nie mogła.

Ponieważ wszystkie działania Białych streszczały się w bezustannem żądaniu od Narodu, a mianowicie od swych mocodawców, od szlachty, ofiar: to ofiary połowy dziedzicznej ziemi, to pozbycia się dochodów z propinacyi, to zakładania szkółek, sprowadzania nauczycieli lub nauczycielek do ochronek, to znowu bezustannych składek w gotowiźnie na cele zagraniczne, a wypowiadające się: w oświeceniu Europy co do ducha dążności i działań narodu w sprawie ojczystej, i obracania wyrobionej przez to opinii w kierunku narodowi przychylnym, oraz na przygotowaniu właściwych środków, do skutecznego w nieokreślającej się przyszłości powstania, jako w ścisłem zastosowaniu się do postawionego programu, nic dziwnego, powtarzamy, że wobec bezustannego żądania ofiar, naród, a respective szlachta, stawiała nie w jednym ze swych członków dużo trudności, a nie raz i niechęci, nim w końcu niechętny uledz był zmuszony.

Ale te właśnie rozprawy, te zwiększające się coraz przeróżne ofiary, rozszerzały w kraju horyzont politycznego poglądu i obywatelskiej ofiarności dla Ojczyzny. Nie potrzeba zapominać, że Nowosilcowy, Muchanowy, a rewolucya, a Czerwienizna, wykształcając naród w szkole i po za szkołą na różny sposób, psuły i wykolejały go z narodowej tradycyi, że szlachta zatraciła była jasne pojęcia, czem jest naród, a zwłaszcza, jakim jest duch narodowy, i czem ona sama jest w narodzie. Szlachcic, jako

szlachcic, jako obywatel polski, śpiewał z całą naiwnością: „Precz z tytułami Książę i Pan"..., szlachcic, jako prawowierny syn Kościoła, w niebogłosy zawodził: „Z dymem pożarów". Zygmunt Krasiński i Antoni Sowa, Kościuszko i Mierosławski nie u jednego byli synonimem, i w pojęciu ideału ojczyzny i w określeniu czynnego patryotyzmu.

A szlachta w ogóle i w szczegółach poczuwała się do obowiązku naturalnych oświecicieli i ojczyców względem wiejskiego ludu. Jakież zamieszanie pojęć i środków i stosowania?!

Dodajmy do tego pojedyńcze ambicye, działania i tajne usiłowania Moskwy i Czerwienizny, a jako ogólny wykładnik tego, co wówczas naród przedstawiał, objawi się coś, czego żaden wyraz nie wypowie, żadne orzeczenie prawdziwie określającem nie będzie. Trzeba było jednak fakta przyjąć i rachować się z niemi.

A bez zaparcia się chrześcijańskich, tradycyjnych i historycznych idei, nie można było gwałtownie, jak to czynili Czerwoni, zniwelować wszystkiego i wszystkich do jednego poziomu — nie można było doprowadzić wszystkiego i wszystkich do nicości, aby się potem nazwać: Rządem narodowym!

Możnaż było uczciwie i logicznie żądać od kraju ofiar w imię wolności! w imię niepodległości! a jednocześnie hańbić go i przygniatać sromotną niewolą, a zabijać w nim, a odebrać mu: myśl i słowo?!

Możnaż było wołać w imię honoru narodowego, odebrawszy wprzód honor obywatelski i człowieczy? Możnaż było wołać w imię religii, kiedy ona nakazuje łączyć, godzić, — nakazując ze swej strony i szczepiąc rozdział i rozbrat? Możnaż było wołać o poświęcenie w imię miłości — zemstę i nienawiść ogłaszając i nakazując?

Możnaż było wołać: Ojczyzno! kiedy przysięgły na bezwarunkowe posłuszeństwo syn miał obowiązek, w razie przez nich zrozumianej potrzeby poświęcenia się dla sprawy i ojca zamordować?! Logika, sprawiedliwość, prawo, prawda, słowem myśl i uczucie oburzają się, a jednak można było — bo było tak!!

Kto chce wiedzieć, jak to być może, niech przysięgnie Komitetowi czerwonemu, a on, albo go nauczy wiele innych jeszcze, a równie szlachetnych rzeczy, albo mu pomoże zapomnieć wszystkiego, zapomnieć, że jest Polakiem, że jest człowiekiem, że życie jego jest darem Boga, a nie Komitetu czerwonego! Lecz niech się pocieszy przysięgły! Komitet czerwony poleci potem „pod karą śmierci“ innemu przysięgłemu napisać humanitarną rozprawę: „że karanie śmiercią zbrodniarzy jest hańbą dla narodów i dla rządów, jest policzkiem dla cywilizacyi XIX wieku“.

Wracamy do Białych; otóż Biali, zajęci podniesieniem a ugodnieniem siebie samych i kraju do ducha ofiary z mienia i krwi, ofiary dla ukochanej

Ojczyzny, do uczynienia z chłopa obywatela, szlachcica, a więc patryoty (bez czego usiłowania wszystkie najforsowniejsze, jakkolwiek byłyby krwawe, marne są); Biali uważali te swoje prace za prawdziwie podstawowe, a niezmiernej wagi — choć one w krótkich się słowach określały.

O, moi panowie czerwono-komitetowi: uczynić z chłopa przywiązanego do szlacheckiej, pańskiej ziemi, ziemi tej dziedzica (przez danie mu sposobności do nabycia jej uczciwie) chłopa ciemnego, oświecić i ogrzać słońcem Ojczyzny, z chłopa pijaka, uczynić trzeźwego obywatela, chłopa psutego przez Moskali i przez was zmienić w Polaka, przysposobić zeń syna Ojczyznie; wam jedynie i wam podobnym zdawało się to być rzeczą marną i łatwą i zajęć niegodną. O, moi panowie! praca to olbrzymia... a prawdziwa tylko miłość bliźniego i Ojczyzny, przy pracy ofiarnej a wytrwałej, podołać temu zadaniu zdolna. Nie mogąc zaprzeczyć patryotyczności działań „Białych'', wołaliście: „że szlachta myśli o powstaniu dopiero wtedy, jak z Bartka, Szymka lub Hilka obywatel się stanie"; to wasze własne słowa. — A czemże wy myśleliście dla Ojczyzny, dla ludu? oto: obiecać mu szlachecką ziemię (prawda, bez wynagrodzenia za nią szlachcica, zapewne, aby dać chłopu pojęcie własności i właściwego jej ocenienia, a nie dawszy mu nawet czasu do oswojenia się, że dana mu ziemia jest jego własnością, kazać mu głowę położyć za obietnicę!? „obiecanka, cacanka,

a głupiemu radość" powiada przysłowie. Ale chłop nie był taki głupi.... obiecaliście mu pańską ziemię, której (pamiętacie) od was wziąć nie chciał, i pójść też nie chciał za wami.

Wyście ich wysoko, ale po waszemu — na stryczku podnosili. Wyście uczynili ich patryotami, dając im sposobność z drzew ojczystych oglądać ofiarowaną ojcowiznę, i wasz patryotyzm i waszą miłość dla ludu rozsławiać... Cześć wam patryoci, cześć uciśnionego przez szlachtę ludu mecenasi!

W kilka miesięcy waszych rządów patryotycznych tysiące ich nauczyło się, wisząc na ojczystych drzewach, wielkiego słowa — patryotyzm! ukochało przyjaciół ludu! patryotów!... Oto, co się nazywa działać radykalnie, rewolucyjnie, czerwono!!!

A chcecie wiedzieć, za coście ich w takiej masie wieszali? oto powiemy wam tyle tylko: iż nie za to, że nie chcieli bić Moskali, bo i wyście ostatecznie tego unikali (mówimy tu o was menerzy, o was, coście idee,, uciekinierstwa" i wyraz ,,uciekinier" stworzyli i dla narodu przysposobili), wyście ich wieszali za złe (podług was) pojęcie, i niewprowadzenie w życie ostatecznej waszej myśli względem szlachty... Będziecie krzyczeć; lecz czyż my temu winni, że „prawda w oczy kole". Nie chciejcie tu imion waszych łączyć z powstałym, a z patryotyzmu jedynie walczącym narodem; my tu o was tylko „menerzy", tylko o was mówimy. O was, w których aż do chwili ogłoszenia przez was powstania mieliśmy

wiarę, ufaliśmy, że wy, jakkolwiek szalejecie do tyla, jednak Polakami jesteście, więc Ojczyznę przedewszystkiem kochacie, iż, widząc z jednej strony zupełną niemoc swoją, z drugiej ostateczne cele i rzetelne prace Białych, niewczesnem ogłoszeniem powstania kraju na szwank narazić nie poważycie się. Myśmy was za Polaków konspirować zmuszonych, jako nie mających organu, gdziebyście na drogach legalnych pragnienia i potrzeby swoje wypowiedzieć mogli; myśmy was mieli za Polaków konspirujących, a wy byliście tylko: konspiratorami w Polsce. Wyście konspirowali dla konspiracyi, aby konspirować, aby wichrzyć.., jak tego przodownictwo niektórych z was w komitecie paryzkim jawnie dowiodło. Myśmy, sądząc was jako oszalałych z miłości Ojczyzny, nie chcieli z wami walczyć bronią waszą: nie paszkwilowaliśmy was po pismach, bośmy (przyznajemy się) nie mieli dość odwagi ukazywać przed Europą i przed wrogiem na ową straszną ranę, jaką wy narodowi, zbrodniczo szczepiąc rozdział, zadaliście. Wyście denuncyować nawet nie wzdragali się... O! wyście żadnych skrupułów nie znali!!...

„Wy zuchwali....
My się bali
Bratobójczych ran,
Męztwo wasze,
Bojaźń naszą
Niech osądzi Pan!“

Podobnie, jak zacytowany powyżej wieszcz, który ufał, że Bóg zeszle „anioły mściciele", ufaliśmy i my, że zeszle on na was „anioły oświeciciele"!...

> Lecz światłość nie zeszła nad Polski mogiłą,
> Wyście nas zwyciężyli, aby ciemniej było!!....

O gdybyście postarali się, w miejsce tylu powieszonych włościan, tylu ich patryotami uczynić, przekonalibyście się dowodnie, jaka to praca żmudna, a jak nie łatwa. O moja Ojczyzno! jakbyś ty inaczej wyglądała wówczas — a kto wie, czy nie byłabyś już wolną dzisiaj?!

III. Godzenie Czerwonych na Białych, a bardziej godzenie pierwszych na to wszystko, co się nazywa „tradycyą", „duchem narodowym", „narodowym honorem", a obrona tych wszystkich podstawowych świętości Ojczyzny przez drugich, w nadaremnej wzajemnej walce, zaciemniały walczącym główny a jedyny cel — Moskwę, wyniszczając wiekami nagromadzone, a tak już przez wroga podkopane siły narodu.

Cóż wobec tego robiła Moskwa? Moskwa, o ile ulękła się w początkach (jak o tem nadane reformy świadczą), o tyle potem, przejrzawszy do ostatka całą prawdę, a wprowadziwszy do Polski dostateczną na wszelki wypadek liczbę wojska, zdawało się, jakoby nic nie widziała, jakby oślepła. Moskwa wszystko

wiedząc i widząc, jak szatan, śmiała się wobec tej wewnętrznej walki, wzajemnego wyniszczania się. Cóż ona sama potworniejszego, dla powalenia narodu, mogła wymyśleć w danej chwili? kto mógł więcej zohydzać świętą przeszłość Ojczyzny, aby jej przyszłość na bardzo długo oddalić, jeżeli nie pogrzebać na wieki, jak to Czerwoni czynili? Kto mógł, przyłożywszy siekierę do korzenia narodowego drzewa, z większą zapamiętałością usiłować podciąć i obalić to ojczyste drzewo?... Moskwa była we wszystkiem depozytaryuszem, a stała się potem w swym komitecie urządzającym, ścisłym wykonawcą planów komitetu Czerwonego. Moskwa i rewolucya, wzajemnie się nienawidząc, w nienawiści Polski zeszły się znowuż. Słusznie więc, iż znowu najwięcej w Polsce ucierpiała szlachta polska, jako ta, która najwięcej kochała...

„I nikt inny, jedno oni!... zawsze oni..., wiecznie oni“! itd. Zyg. Kras.

Najważniejszym środkiem uniemożebnienia Czerwonych do wywołania przedwczesnego, a tem samem bezsilnego powstania, przedstawiało się Białym objaśnienie narodu, a przez to odjęcie Czerwonym ludzi i funduszów. Ostatecznem zorganizowaniem się swojem (jak to wyżej określiliśmy) Biali, zsolidaryzowawszy szlachtę i wszystkich ludzi dobrej dla Ojczyzny woli w jednym programie, uczyniwszy ich zawisłymi od tego, wspólnie postawionego a za narodowy uznanego programu, skutek

ten radykalnie osiągnęli. Czerwoni pozbawieni zostali wszelkich funduszów, jakieby (mniej więcej) odpowiedniemi dla podobnie wielkiego celu — jak powstanie — być mogły; zostali obezsileni, opinia narodu przeciw nim obróconą została.

IV. Biali, którzy z najwyższem wysileniem zdołali nareszcie osiągnąć ów najpożądańszy dla narodu (w podobnych szczególniej chwilach) cel: jedności działania napotkali na swej narodowej drodze inną jeszcze przeciw-siłę; a stanowił ją margrabia Wielopolski.

Margrabia znany krajowi: raz, gdy w r. 1848 po rzezi galicyjskiej, robił rządowi rossyjskiemu propozycyę utworzenia z Rossyi, Polski, Czech ludów słowiańskich, pod niemieckiem i tureckiem panowaniem będących, jednej wielkiej monarchii słowiańskiej, „Słowiańszczyzny"; drugi raz, ze swojego procesu z egzekutorami testamentu „Świdzińskiego"; margrabia, który z ramienia Moskwy z W. ks. Konstantym przybył do Warszawy; margrabia, który zjechał objąć niejako sukcessyę po obalonem przez Rząd Towarz. rolniczem; margrabia, który nie umiał, czy nie chciał pogodzić się z hr. Andrzejem Zamojskim; margrabia był nieswoim, był wstrętnym w narodzie. Przedewszystkiem dla tych, czy owych przyczyn nie dowierzano mu; nie dowierzano mu, dla podejrzywanych idei panslawistyczno-moskiewskich, w czem kraj podejrzenie swe w tym

względzie motywował: szczególnem, nagłem dlań zaufaniem rządu, ścisłym jego stosunkiem z W. ks. Konstantym, imieniem chrzestnem „Wacław“, danem synowi W. księcia Konstantego, oraz niedającą się inaczej pojąć ani wytłómaczyć, dziwną, przedziwną tajemniczością ostatecznych jego celów, odnośnie do przyszłości narodu — tajemnicą, jaką się wobec najbliższych nawet siebie do ostatka otaczał, oraz wyżej zacytowanemi jego wystąpieniami.

Usiłowano z początku przez życzliwych margrabiemu ochrzcić to „Walenrodyzmem“; ale kraj ocenił ów przedstawiany „Walenrodyzm“ być „Walenrodyzmem *sui generis*“, i przedstawienia tego nie uznał. Margrabia nic dotąd, prócz zapowiedzi wielkiemi pożytkami brzemiennych a wielce wątpliwego znaczenia ich, wobec znanej chytrości Moskwy, rezultatów, nie uczyniwszy dla narodu, mienił się w swej dumie sam być narodem, w sobie skupiać jego siły, streszczać środki wybawienia go i uszczęśliwienia, całej reszty narodu nie uznając nawet za zdolną do współpracowania z nim, cały naród, czynem i słowem lekceważąc i gardząc nim, jako niepodatnem do jego celów narzędziem. Naród też z większem prawem, choćby tylko przez prostą reakcyę, nie lekceważąc go wcale, pogardził nim i zupełnie odstrychnął się od niego. I dla tego to margrabia nie mógł narodowi pomódz, a przeciwnie zamiarom Białych i narodowi szkodził.

Czerwoni go nienawidzili, Biali mieli doń odrazę, duchowieństwo żal, za uchwalone przezeń w Radzie stanu prawo: o pociąganiu księży do odpowiedzialności prawnej i stawianiu ich przed sądem, na równi ze wszystkimi przestępcami praw krajowych; słowem miał on kilkunastu zaledwie z nim niby stojących, a i ci w końcu widzieli się boleśnie zawiedzionymi.

Zapewnie nikt z poważnie myślących nie robił wyrzutu margrabiemu z braku miłości Ojczyzny i jego, acz *sui generis* dla Polski patryotyzmu; jego nauka i energia, w czasach wolnej i niepodległej Ojczyzny, mogłyby nawet oddać jej znakomite pożytki i usługi, ale drogi i środki, jakiemi te zbawcze dla swego kraju zamiary chciał przeprowadzić, jego zresztą *sui generis* patryotyzm, który cytowanemi jak w 1848 r. wystąpieniami dał krajowi poznać jego w myśl tamtą uszczęśliwienie Polski, roztopionej w panslawizmie i ratowanie Polski moskiewskiemi rękami, bądź jego podejrzany Walenrodyzm, bądź jego zaślepienie, gdyby go w dobrej wierze przyjąć, że chytrzejszym być potrafi od doświadczonej w chytrości Moskwy, wszystkie te razem powody, choćby i jeden wystarczał, czyniły owe zbawcze zamiary, na swoją własną przedsięwzięte rękę, niepraktycznemi, niepojętemi i zgoła niemożliwemi, jego zaś samego wstrętnym i znienawidzonym od narodu. Margrabia, podobnie jak ks. Lubecki, minister 1830 r., sądził, że potrafi Moskwę wyprowadzić

w pole, i podobnie jak zdolniejszy, a przynajmniej sympatyczniejszy odeń książę, sam również w pole przez Moskwę wyprowadzony został. Książę i margrabia, na trudnej i niebezpiecznej drodze rewindykacyi niepodległości narodu, stoją jako dwa potężne spiżowe drogowskazy, z ostrzeżeniem, z przestrogą dla narodu: „Narodzie stój... tutaj się nie idzie!... tu przepaść!"

Biali zrozumieli to, Biali nie mogli się zsolidaryzować z łudzącym się margrabią — Biali nie chcieli na narodzie popełnić samobójstwa! Łączenie się bowiem z rządem, zlewanie się z narodem moskiewskim, to samobójstwo [1]). I dla tego wierzący w nieśmiertelność swej narodowej idei, i dlatego głęboko przywiązany do religii ojców, do swej katolickiej wiary, do wolności... Naród polski uczuwa nieprzezwyciężony wstręt do łączenia się z Moskwą — do samobójstwa!! Naród polski ani zabijać t. j. oszukiwać (Moskwy), ani oszukanym t. j. zamordowanym być przez Moskwę nie chce. Wszelkie usiłowania w tym kierunku instynktowo ze wstrętem odpychał, odpycha i zawsze odepchnie!

---

[1]) Naród nasz polski posiada swoją 1000-letnią historyą swobody i niepodległości; ze swobód to jego, jakkolwiek przez źle stosowane, przez nadużyte „liberum veto" ten ideał wolności, stała się dzisiejsza niewola nasza — ze swobód jego jednak, powtarzam, urosła sława i potęga nasza. Moskwa zaś, której modłą rządzenia jest: ukaz (ze swem nierozdzielnem „byt po siemu"), ów upersonifikowany ideał niewoli, sama nie wie, czem się stać może, i dokąd dojdzie, gdy wolność kiedy posiędzie; kiedy my, tylko do dawnych swobód, do dawnych obyczajów wrócimy.

W tem miejscu uważamy za właściwe odeprzeć zarzut, czyniony szlachcie: dlaczego z Wielopolskim nie złączyła się, dlaczego z nim nie stanęła? Czynimy to tem chętniej, ile, że niezawodnem nam się zdaje, dla samej siły oddziaływania, iż: o ile społeczeństwo uchylało się wprzód od Moskwy, dobrego nawet nie chcąc od niej przyjąć, o tyle dziś może się ku niej skłaniać, godzić się na tak zwaną politykę utylitarną, i mogą znaleźć się zuchwali, ośmielający się, dla ostatecznej dzisiejszej niemocy kraju, z niemocy tej grzesznie korzystając, myśl systemu Wielopolskiego, prowadzącego do panslawizmu, chcieć krajowi narzucić.

Otóż najniesprawiedliwiej czyniony jest Białym zarzut, że margrabiego nie popierali. Biali osobę margrabiego od praw, które pod przewodnictwem jego wprowadzono, od koncesyj, od reform, które za pożyteczne dla kraju sprawiedliwie uznali, oddzielając, wprowadzeniu tychże reform w życie, wprowadzeniu w czyn tychże praw, nie tylko nie czynili przeszkód, ale owszem, na wszystkich punktach w kraju skutecznie je propagowali i popierali. Zaślepienie jedynie, jakiemu margrabia na swój sposób podlegał, nie dozwalało mu widzieć i właściwie ocenić, iż gdyby nie to Białych poparcie i całemi siłami wzięcie się do przeprowadzenia tego, ani kwestya oczynszowania i uwłaszczenia, ani Rady powiatowe i gubernialne, ani nawet Rada stanu, nigdyby (w składzie, w jakim były) nie istniały.

Biali, jasno i wyraźnie postawiwszy w swym programie: „nieusuwanie się od wprowadzenia w życie reform i praw przez rząd krajowi nadanych", jawnem tem, a wyraźnie postawionem orzeczeniem, dali możność ukazania się w Radzie stanu ludziom znanym, bez poszlakowania ich o przejście na „żołd moskiewski", co wówczas nie było orzeczeniem tak nic nieznaczącem, jakby się patrzącym i oceniającym to dziś fałszywie zdawać mogło.

Zajęcie przez szlachtę miejsc w Radach powiatowych i gubernialnych i w komitecie do oczynszowania, nacisk, aby w sprawozdaniach z posiedzeń tychże Rad i komitetu nie wyszło sformułowane a umotywowane potępienie osoby margrabiego, a ujęcie się za Czerwonymi (których wtedy sądzono być jedynie kochającymi kraj), było rzeczą nierównie trudniejszą, niż się to wydaje dzisiejszym wielkim politykom, którzy z za zielonego stolika (*post factum*) spokojnie radzić i jak z trójnoga wyrokować umieją, a którzy wówczas, kiedy ich mądre myśli i ich światło, jeżeli ono było tak jasne, prawdziwie mogło się przydać, ani tych mądrych swoich myśli objawić, ani siły okazać takowych nie mieli odwagi, czy też zdolności — czy, że więcej kochali i dbali o własne stanowiska i bezpieczeństwo, niż o kraj, którego dziś tak wymównymi stają się rzecznikami, choć i dziś jak wówczas źle swój własny ukrywają interes... Śmiemy twierdzić, iż gdyby cudownym wypadkiem powróciły się lata: 1861, 1862, 1863, ciż

sami, którzy dziś tak wiele zdają się widzieć i wiedzieć i módz, a przynajmniej tak zdają się obiecywać, ciż sami okazaliby się mniej może zaradnymi, mniej widzącymi i mogącymi mniej, jak dziś zdaje się im — im, co poważają się płocho wyrokować o szlachcie, a bardziej o dyrekcyi. Dziś stało się niemal modą wyrokować o „Białych", a co właściwie nie jest wyrokiem, bo nie poprzedzone kompetentnym sądem, a jedynie (po większej części) bezmyślnem powtarzaniem orzeczenia, rozmyślnie, a nie koniecznie z dobrą wolą dla ojczystej sprawy przez kilku lub kilkunastu postawionego, jest powtarzaniem za „panią matką".

Otóż, jak wówczas, nieostatecznie i nie we wszystkiem winny był sam margrabia, a jak to w określającem się przez nas położeniu kraju i wpływie wzajemnym wypadków własno i obco-krajowych na kraj, stronnictwa i na pojedynczych ludzi, oraz ludzi, stronnictw i kraju na wypadki, wykazać się staramy, odkrywając takowe, o ile świadomość nasza i chwila obecna uczynić to (z pożytkiem, jak sądzimy dla kraju) pozwala, tak również i Biali, a bardziej dyrekcya Białych nie była winną, że nie stanęła z Wielopolskim, bo stanąć z nim było niepodobieństwem; nie była winną za niepowstrzymanie wybuchu, gdyż i margrabia, usilnie tego pragnący, a mający władzę w ręku, udział w Rządzie, powstrzymać go nie był w możności — a Białym powstrzymać przeszkodził, owszem, przez swoje

zuchwałe, a na własną rękę wystąpienie, wybuch wywołał, katastrofę (jeżeli nie stworzył), to z niezmierną szkodą dla kraju... niestety! przyspieszył. Przyspieszeniem jej uniemożebnił przeprowadzenie kwestyi włościańskiej (uwłaszczenie), przez co takową rękom moskiewskim oddał; odwlekając ziszczenie tego cudnego zjednoczenia, brzemiennego najzbawienniejszemi skutkami, jakie wieszcz w natchnieniu swem widział, mowiąc:

„Jeden — jeden tylko cud!!
Z Polską szlachtą, polski lud!"...

Jakkolwiek nieprzygotowaną była szlachta do „wielkiej polityki", miłość jednak kraju oświeciła ją, że w uczciwem, a koniecznem, a własnemi rękami jej przeprowadzeniu kwestyi włościańskiej, spoczywa cała przyszłość narodu, cała tajemnica niepodległości, i tę postanowiła ona jednomyślnie i samodzielnie na walnem zebraniu Towarzystwa rolniczego. Resztę natura rzeczy byłaby prędzej lub później zdobyła.

Ów wielki polityk, ów mądry człowiek, ów sławiony dziś przez niektórych margrabia, a którego prawdziwie kraj kochający złym duchem kraju być mieni, z pychą swoją, i niestety ze zdolnościami swojemi, klinem, przemocą wparł się w naród, usiłował narzucić mu swoje pęta, aby spętanego na swoją modłę, mądrze uszczęśliwić, pysznem a zupełnie niemądrem (jak się pokazało) mądrości

swej stosowaniem. Margrabia, więcej nienawidząc tych, co w pętach jego chodzić się wzdrygali, niż umiejąc miłość własną dla miłości ojczystego kraju poświęcić, do zguby kraju przeważnie się przyczynił, bo go ostatecznie na pastwę najbardziej wrogim rękom oddał.

Nie mógł (jakoby) choć przez szlachtę postawionej sprawy uwłaszczenia, w szlacheckie, wichrzące (niby) ręce powierzyć, a oddał ją w konsekwencyi wyrzutkom moskiewskiego społeczeństwa, i wywalczenie niepodległości kraju na długo może niemożebnem uczynił. I z tymże to margrabią miała stanąć szlachta? i tegoż to miała popierać Dyrekcya!? Nie wszystko więc popierała też ona, co Wielopolski jej przynosił. Ona popierała, ona przedewszystkiem broniła własną uchwałą postawionej a za najprzedniejszą przez nią uznanej kwestyi włościańskiej

Margrabia, wielki człowiek, niektórzy dziś (udając, że takie mają przekonanie) powiadają, margrabia wielki polityk, wielki mąż... My zaś nie przestajemy wołać o wielkie czyny, nie przestajemy żądać, aby nam pokazano wielkości tej godne owoce... Czyż w zupełnej nieświadomości, w lekceważącem a grzesznem nieliczeniu się z faktami i z duchem narodowym, jego rzekomej wielkości szukać mamy?... czy w wieszaniu „Jaroszyńskich" i „Rzońców", pomimo woli i żądania Wielkiego księcia Namiestnika, czującego lepiej całą kroku tego niepolityczność?.... czy w jego „Wiązce komu-

nałów", które sam, po największej części niefortunnie zapełniał — ujadając się, że tak powiem, z Czerwonymi?.... czy w jego przemowie do Duchowieństwa, przez co takowe przeraził, i przerażone a nieoględne w skrajny kierunek przerzucił... wywoływując (poprzednio) ostrzegającą tegoż Duchowieństwa replikę do arcybiskupa Felińskiego, i tegoż arcybiskupa dość znany memoryał?.... czy w strącaniu kapeluszy po ulicach i placach?.... czy w procesie wytoczonym *Czasowi*, którym się ośmieszył?.., czy w zlekceważonem wyzwaniu na pojedynek księcia Napoleona, którem, niestety aż się skompromitował?.. czy w asystencyi żandarmskiej, która zarażając (że tak się wyrażę) powietrze wokół niego, zbliżenie się doń nietylko nieuczciwych uniemożebniła?..., czy może w proskrypcyi, która w każdym innym kraju, w odmiennych znajdującym się warunkach, możeby mogła być usprawiedliwioną, tak zwaną „racyą stanu", ale w warunkach, w jakich się wtedy nieszczęśliwy kraj nasz znajdował, kraj jęczący pod obcą, a tak nienawistną niewolą, w momencie, gdzie się duch czasu z duchem narodu, a polityka ogólno-europejska z polityką narodowo polską rozpierały, gdzie najsprzeczniejsze uczucia: miłości i nienawiści, wiary rzetelnej i kłamanej, obok zwątpienia lub rozpaczy, umysłami i sercami miotały, byłże ze strony męża stanu — Polaka, czem innem, jedno nie dającem się nigdy wytłómaczyć okrucieństwem? oddającem bądź co

bądź własnych braci na wytępienie?... i to najmniej winnych, bo kłamstwami menerów złudzonych? Mamy usprawiedliwioną odwagę powiedzieć, było to wobec własnego narodu... niegodziwością!... bo się pod żadnym nie godziło względem; nie godziło się, ani z uczuciem narodowem Polaka!... ani z dojrzałością prawdziwego męża stanu. Dodajmy, iż się z tego haniebnego a nieszczęśliwego kroku w dzienniku swym przedwcześnie, a chełpliwie przechwalał. Szukać rąk moskiewskich dla dopięcia tych lub owych celów, to zawsze, to wiecznie... Targowica!... Mamyż w końcu szukać tej wielkości w jego *quasi* ucieczce z Warszawy, gdzie, nie mając ani możności, ani odwagi zawołać: „nie pozwalam!", uciekł dalej jak na Pragę!?

Czyż więc w tym, czy we wszytkich razem zacytowanych i niecytowanych faktach, każą nam widzieć tego wielkiego człowieka, polityka, męża stanu, Polaka?! czy może w jego idei panslawistycznej, za którą i dla której głównie go znienawidzono?!...

„Po owocach ich, poznacie ich". Pokażcież nam czyny margrabiego, pokażcież wielkiego polskiego męża stanu owoce?... Jak najsłabszy, jak każdy inny, margrabia nie umiał podołać wypadkom, przez wypadki, którym zarozumiale upust sam otworzył, uniesionym, pochłonionym został.

Wskażecie może mowy, któremi z różnych okazyj, a nieraz i bez okazyi, a przynajmniej bez po-

trzeby, po akademicku wygłaszał?... wskażecie może szeregi praw, foliały szematów, które w Radzie stanu i w innych dekasteryach, gdzie dyrektorował, z innymi popisał?... my jednak pytać was nie przestaniemy, gdzie one w życiu?... gdzie w zastosowaniu?... pokażcie!!

Gdy nam powiecie, że margrabia był znakomitym teoretykiem, że mógłby być wybornym dyrektorem n. p. oświecenia lub sprawiedliwości, że w końcu, mógłby z racyi niepospolitego swego uzdolnienia teoretycznego i nauki każdym innym wydziałem z pożytkiem kierować, zgoda; lecz że margrabia wielki człowiek, polityk, mąż stanu, i jeszcze na taką chwilę.... tego nikt dowieść, nikt dowodnie przekonać nie potrafi. Wielcy ludzie są zawsze ludźmi czynu!.... Margrabia żadnego z pomysłów swoich przeprowadzić, żadnego w czyn zamienić nie potrafił. Powiecie, że mając do czynienia z Moskwą, której podajność dla siebie przeceniał, i z zastępem Czerwonych, których, jakeśmy rzekli, tak przerażająco drażnił, a z niechęcią ogółu Polaków, którą, jakeśmy wykazali, dla siebie wytworzył, nie odpowiada za nieutrzymanie się swoich planów; my odpowiadamy: to jeszcze jeden więcej dowód, że margrabia nie stał na wysokości męża stanu, gdyż nie umiał wziąć w rachunek tych wszystkich okoliczności, i z niemi rozliczony, albo swych planów skalę zmniejszyć, albo wybrać co najpilniejsze i najżywotniejsze dla kraju, i te, korzystając z władzy,

mogącej lada chwila z rąk jego wypaść, przeprowadzić i jako fakt spełniony krajowi zapewnić. Nie, margrabia nie był człowiekiem czynu. Wszelki, mający się narodzić czyn jego jeszcze w poczęciu rażony był śmiercią... Margrabia za wiele w okół siebie potrzebował mordować — ztąd tak się męczył, tak się sam mordował, iż każdy czyn poronił... miał on więcej pasyi, niżeli miłości... ojcem narodu być nie mógł!... szalał na szlachtę, że za niego nie czyniła, że dla jego chwały gołemi rękami z gorącego żaru kasztanów nie wyjmowała.

Teoretyków mniej lub więcej szczęśliwych, doktrynerów więcej lub mniej zdolnych w kraju było dosyć; popierać więc bądź co bądź mimo siebie i mimo wielkich interesów kraju, jeszcze jednego w osobie margrabiego, szlachta nie mogła, nie chciała i nie popierała; a czyniła to z rozmysłem, z wiedzą, z narażeniem się własnem.... Szlachta głęboko brała pod rozwagę, że w razie nieszczęśliwym, mogą ją jej własności pozbawić, mogą (jak w Galicyi) rękami obdarowanych ją ofiarującą męczeńsko wymordować i sromotnie błotem obrzucić — rozważała to... nikt się jednak nie znalazł, ktoby publicznie poważył się na seryo proponować stanąć ostatecznie z margrabią, prowadzącym do panslawizmu, jak nie stanęła z rewolucyą, aby, dla chwilowego poklasku i bezpieczeństwa osobistego, wyprzeć się narodowego ducha, narodowych tradycyj, narodowemu zaprzeczyć ideałowi!!

Naród, mający do ostatka iść z Wielopolskim, musiałby być bardziej jeszcze upadłym... bo przestałby chcieć Polski, a przystać na panslawizm. Musiałby ostateczny rozbiór kraju zaakceptować, część jego pansławiańskiej, drugą pangermańskiej strawie oddając. Gdzież wówczas byłaby Polska?! gdzież byliby Polacy?! Wówczas mogłyby być wprowadzone najszersze nawet reformy administracyjne „w kraju nadwiślańskim" n. p., ale Polski, ale Polaków jużby więcej nie było. I dlatego szlachta, i dla tego dyrekcya Białych z Wielopolskim nie stanęła; a dziś, choć może pragnąć cofnionych krajowi reform, ale Wielopolskich pragnąć, ale z Wielopolskimi dla reform (które dziś po tak fatalnie dla kraju przeprowadzonej kwestyi włościańskiej daleko mniejszy budzą interes) utonąć i ujrzeć Ojczyznę swoją — Polskę, utopioną w jakiejś fuzyi panslawistycznej i pangermańskiej, tak jak wówczas nie chciała, i dziś sto razy nie chce i nigdy nie stanie!

Nie dla gburowatości przeto i tym podobnych małostek nie szliśmy razem z margrabią, nie szliśmy z nim dla jego stawiania się po nad Kościół, który w duchowieństwie poniżył, po nad ducha narodowego, którym lekceważąco pomiatał... jedynie, dla jego panslawistycznych dążeń.

Woleliśmy i wolimy być uciśnionymi do czasu Polakami, jak kiedykolwiek swobodnymi pod hegemonią moskiewską Słowianami!

Margrabia, który w mniemaniu o swej wyższości wydzielił się z obozu szlachty i odosobnił się, a przeto zatracił ducha ją ożywiającego, upojony władzą i wielkością swych planów, po swojemu dla uszczęśliwienia kraju swego stosowanych, łudził się, że szlachtę dla siebie zjednać i do wspólnej roboty pociągnąć potrafi; nienawiść jego zatem głównie zwróconą była przeciw Czerwonym, i ich to on głównie brutalsko a zawsze nieszczęśliwie prześladował, wywołując dla nich swem właśnie niepomiarkowanem a zaciętem prześladowaniem, bardziej sympatyę (jeżeli tak rzec można) jak niechęć w narodzie, i tem właśnie najwięcej Białym przeszkadzał. Prawem zaś swojem względem duchowieństwa (coś nakształt praw majowych pruskich) aresztowaniem po kościołach śpiewających, doprowadzeniem do zapieczętowania kościołów wywołał, co najzgubniejsza: że najwięcej przezeń prześladowani, duchowieństwo i Czerwoni, weszli z sobą w potworny związek. Trudno sobie inaczej ów związek księży z rewolucyą wytłómaczyć, jedno chyba przeważeniem w nich (w księżach) niechęci dla margrabiego (za jego poniżenie Kościoła i duchowieństwa w imieniu prawosławnej Moskwy), przeważeniem powiadamy niechęci dlań, nad miłość narodu, przeważeniem tejże nad narodowe tradycye, obowiązki miłości! Natychmiastowe powstanie zwalniało kraj od Moskwy i margrabiego (osądzonego jako mściwą jej rękę w kraju) i dlatego księża sta-

nęli z Czerwonymi, którzy im to powstanie *natychmiast* przyrzekli. Nienawiść i rozpacz, najgorsi to doradzcy; rozumią dziś duchowni, jak źle poradzili sobie, co sprowadzili na kraj i Kościół. Fakt jednak się stał.... „Księża przeszli do rewolucyi i stanęli z Czerwonymi", oto okrzyk zgrozy, jaki wydała szlachta i stojąca z nią, a niezarażona ani moskiewskiemi ideami, ani teoryami rewolucyonistów, zdrowa część narodu, tak po wsiach jak i po miastach. Otóż w chwili, kiedy Biali, zorganizowawszy kraj pod jednem narodowem hasłem, *powstania przez uszlachetnienie uwłaszczonego ludu*, stanęli u szczytu swej siły, wówczas niestety! księża (z powodów wyżej przytoczonych) oraz ze smutnego, lecz niestety, znanego spółczesnym obskurantyzmu między duchownymi, wraz z nieprzejednanej a tak niepatryotycznej nienawiści ku szlachcie, złączeniem się swem z Czerwonymi podkopali fundamenta, tej, tak pracowicie, a w duchu czysto-narodowym postawionej konfederacyi czyli związku Białych. Mamyż tu dowodzić przez to Czerwonych, a osłabienia Białych? Czerwoni, przystąpieniem do nich księży, podniesieni zostali odrazu do sił, równoważących prawie siły Białych w narodzie. I odtąd *jedynie zewnętrzne* okoliczności decydować mogły, kto zwycięży, Czerwoni czy Biali? rewolucya czy szlachta?

Prawdziwe dodatnie działanie Białych odtąd ustało, pozostało jedynie już tylko jako złe konieczne bezsilne *pasowanie się wzajemne*, za-

miast przygotowanie się do zapasów z właściwym wrogiem — z Moskwą.

. . . . . . . . . . . . . . . .

Moskwa, nie mogąc zapomnieć pogromu Sewastopolskiego i jego haniebnego dlań skutku „kongresu Paryzkiego“, który zepchnął ją ze stanowiska państw pierwszorzędnych, Moskwa, czyhająca na wszelką przyjazną dlań okoliczność, któraby dozwoliwszy jej rozbić mur, jaki Europa między nią a sobą postawiła, któraby dźwignęła ją na dawne stanowisko, Moskwa, kończymy, zawikłaniem się Napoleona w pamiętną dla Francyi wojnę meksykańską, nagle znalazła się u celu tajonych swych życzeń.

Łatwo wyobrazić sobie, jak dalece znane warszawskie wypadki zaniepokoiły, przeraziły ją. Moskwa, potrzebująca wszystkich swoich sił, i całej niczem nierozrywanej baczności, w wielkim swoim celu, jaki planowała, a dla której (z tych właśnie okoliczności) spokój w Polsce był niezbędniejszym jak w innym razie, Moskwa, wbrew tradycyjnej polityce swojej zniszczenia Polski, zdecydowała się dać jej pewną wewnętrzną działalność, byle tylko na razie zaspokoić. Polska otrzymała wiec reformy wewnętrzne, tak zwany „samorząd administracyjny“. Chwiejność, niepewność działań, jakie ją (Moskwę) wówczas w zażegnywaniu tego, co się w Polsce działo, cechowały, tu także swoje źródło mają.

Nie drażnić więc Moskwy niemożnością zadowolenia się kraju, ofiarowanemi mu ustępstwami: „przyjmować a nie kwitować“ było hasłem szlachty, stanowiło kardynalny punkt programu Białych. Opartym na tem postanowieniu, oczekiwać „zewnętrznych“ okoliczności, to jest zawikłania się Moskwy w wojnę zagraniczną, stanowiło drugi paragraf politycznego programu szlachty, polegającego na utworzeniu z Kongresówki prawdziwego ogniska Narodowego, że tak powiemy, duszy narodu. Wewnątrz zaś zyskiwać wszelkie godziwe, a właściwe środki samorządu, i zaprowadzać oświatę a ztąd dobrobyt i uobywatelenie ludu.

Program Czerwonych streszczał się: na wewnątrz nic od Moskwy nie przyjmować; nie bacząc na środki i okoliczności, bądź co bądź, do natychmiastowego doprowadzić powstania. Rewolucya europejska (a mianowicie moskiewska) i Garibaldi, oto, co majaczyło w ich umyśle, jako domniemana pomoc zewnętrzna. Zupełna nieznajomość ducha i potrzeb kraju, nienawiść dla tradycyi, a ztąd dla szlachty, jako wyrób ich (Czerwonych), z rewolucyą wszechświatową związków, przeszkadzanie szlachcie w uwłaszczeniu i oświacie ludu, w końcu gwałtów na nienawiść dla Moskwy, między innemi za oddanie rządów kraju polskiemu magnatowi, i płonnej obawy, aby on nie pociągnął za sobą szlachty; więc uparte jako płynące z samych nienawiści, a zatem próżne rzetelnej a praw-

dziwie dodatniej przyczyny i rzeczywistej siły, to jest miłości Ojczyzny; bo lekceważące ducha narodowego, bo nienawistne obowiązującym narodowym tradycyom; nieznajomość, powiadamy, i nienawiść cechujące menerów (zwących się komitetem czerwonym, a późniejszym tak zwanym „rządem narodowym"), cóż dla Ojczyzny wytworzyć mogły? Nie trzeba było być prorokiem, aby przepowiedzieć, jakie z robót ich wyrosną dla kraju owoce.

Otóż Moskwa, jak to wyżej okazaliśmy, zalękniona w początku, wprędce jednak przy pomocy właściwych środków rządzenia poinformowana o rozkładowem, rewolucyjnem, a wichrzącem w kraju stronnictwie czerwonem, z właściwą sobie przebiegłością, obmyśliła i postanowiła cały plan do zwichnięcia powstania na dziś, a do ostatecznego zniszczenia Polski w przyszłości.

Plan Moskwy był mniej więcej następujący: udawać nadal chwiejność, nieświadomość, bezsilność, przez swoich policyjnych, ogólno-rewolucyjnych i rewolucyjno-moskiewskich agentów, podbechtywać Czerwonych w Polsce, wmawiając w nich przekonanie w mniemaną bezsilność Moskwy, zwąc ją utartym wówczas między niemi frazesem: „kolos o glinianych nogach", wewnątrz zaś kraju drażniąc nienawiści kastowe (szlachta) i różnice z ducha, ze krwi (żydzi i Niemcy) i z socyalnego położenia płynące, aby zastraszywszy szlachtę skutkami z rewolucyi socyalnej, rzucić ją w objęcia Moskwy, pod jej

bagnetów osłonę; z drugiej zaś strony, gdyby jej manewr ze szlachtą się nie powiódł, jakimkolwiek forsownym, prowokacyjnym sposobem, zmusić „Czerwonych“ do powstania; powstałych, bez hałasu Europy, powięzić i pomordować — powstałemu zaś krajowi, jakoby nieumiejącemu łask cesarskich właściwie ocenić, jako nieumiejącemu się rządzić, nadane w pierwszych chwilach przestrachu reformy administracyjne cofnąć, a uwłaszczywszy własnemi rękami chłopów (podobnie jak w Galicyi), mieć posłusznem sobie przeciw szlachcie narzędziem.

Planu tego Moskwy margrabia, mimo całą swą osławioną bystrość, nie dopatrzył, a nawet nie podejrzywał, jak tego dowodzą jego własne słowa, w kilka tygodni po wybuchu powstania do Wgo Księcia wypowiedziane, na chytrze przez tegoż zrobiony mu zarzut, iż mimo proskrypcyi, która miała wybuch zażegnać, ten nastąpił, i powstanie tak długo się utrzymuje: „Ja, odrzekł margrabia, zrobiłem swoje, lecz nigdy nie przypuszczałem, aby tak potężne jak Rossya mocarstwo pozwoliło dotąd utrzymywać się tej hołocie“.

Energiczne krzątanie się Białych w przeprowadzeniu swojego a jedynego wówczas politycznego a narodowego programu, mimo szkodliwe (jak wyżej) działanie margrabiego, mimo wszystko niszczące na wewnątrz a bezmyślne na zewnątrz a nienarodowe (jak to wykazaliśmy) działania Czerwonych, energiczne, powtarzamy, zabieganie Białych, aby

program swój przeprowadzić, aby za pomocą celów pośrednich, cel główny, powstanie w przyszłości możebnem uczynić, otóż zabieganie to, kończę, potrafiło połączyć ze sobą we wszystkich stanach ogromne masy myślących i kochających kraj, a połączeniem się tem (na rozjaśnieniu wewnętrznej sytuacyi i miłości ojczyzny opartem) utrudniały Moskwie i Czerwonym natychmiastowe, więc bezsilne doprowadzenie do powstania.

Czas upływał — Napoleon, przy znanej swej bystrości polityka, mógł co chwila wycofać się i wycofać wojsko swoje z Meksyku. Dobra sposobność dla Moskwy mijała, jeżeli nie bezpowrotnie na zawsze, to przynajmniej na długo. Okoliczności więc nagliły Moskwę. I Moskwa też zaczęła naglić W. księcia Konstantego i margrabiego Wielopolskiego do jak najrychlejszego załatwienia się z Polską, celem rozwiązania sobie (Moskwie) rąk. Margrabia, czy z insynuacyi Moskwy, czy wprost z własnego popędu, postanawia wówczas pobór do wojska, którego od kongresu paryzkiego w Kongresówce ani w zabranych prowincyach nie było. Pobór ten, w usposobieniu ówczesnem umysłów, sam przez się, był już prowokacyjnym. Gdy mimo to margrabia rozpisaniem takowego przeważnie na miasta, jako gniazda rewolucyjne (gdyż szlachtę i lud, w mniemaniu pociągnięcia ich do swoich celów, oszczędzał), pobór ów uczynił widoczną proskrypcyą. Cel był nazbyt wyraźny, drażnienie zbyt

silne, zbyt ogólne, najbliższe skutki dla menerów rewolucyi i związanych z niemi przysięgą „bezwarunkowego posłuszeństwa", zbyt wyłączające potrzebę uciekania się do wróżki, aby chwila ta za ostatecznie krytyczną, za śmiertelną dla Czerwonych, uznaną być przez nich nie miała.

Śmiertelnie przerażeni członkowie, ówczesny Komitet czerwony składający, znalazłszy się między natychmiastowem ogłoszeniem powstania, a śmiercią z jednej, między odpowiedzialnością przed Bogiem i narodem, a brakiem wszelkich środków do prowadzenia powstania z drugiej strony, gdy na ogólnem ich, a zwołanem *ad hoc* posiedzeniu, wachają się: za i przeciw ogłoszeniu powstania, Bóg czy duch narodu, czy ich własne sumienie, już, już ma rozstrzygnąć szalę za poddaniem się losowi, za nieogłoszeniem powstania, wówczas, w tej chwili stanowczej, gdy równość głosów z przewagą ku stronie miłości ojczyzny — waha się.... losy nieszczęśliwego Narodu ważąc na szali; wtedy z pomiędzy członków, składających ów straszny podziemny Komitet, zrywa się z za stołu z odwiedzionym rewolwerem w ręku... ksiądz... a wrzasnąwszy, że wszystkim im „podłym tchórzom" we łby postrzela, zmusza ich wylękłych do podpisania odezwy do Narodu, obwołującej powstanie! O hańbo! na czele rewolucyi, wbrew najdroższym, najświętszym interesom Ojczyzny i Kościoła, powstanie — co mówię popchnięcie Narodu na niechybną, a przez

Moskwę, przez europejską rewolucyę obmyślanemi sposobami, w Moskwy, w rewolucyi interesie przygotowaną zgubę, porwanie się na nieuniknioną śmierć... ksiądz decyduje!!...

Na kilkanaście dni przedtem, Biali, rozpisawszy odezwy do kraju, aby się wobec widocznej prowokacyi roztropnie zachował, zaręczając uposażenie dożywotnie rodzinom proskrypcyą dotkniętym, z drugiej strony pod rozmaitem zaklęciem, przez najbliższe margrabiego osoby, wołali doń, o cofnienie prawa poborowego, a przynajmniej o zmienienie jego proskrypcyjnego charakteru. Czy margrabia nie mógł już wówczas tego uczynić, „przeszedłszy", jak sam się wyraził, „swój Rubikon", czy jedynie, w sens wszystkim umysłom doktrynerskim, trzymał się ślepo i zawzięcie postawionej zgóry formuły: „rozcięcia wrzodu", jak właśnie on sam, ów środek poborowy nazywał, czy w końcu w duszy margrabiego, podobnie jak w duszach ówczesnych menerów Czerwonych, po nad miłość ojczyzny stanęła nienawiść do sprawców zamachu na życie i W. księcia życie? wobec bezwarunkowego zaufania, z jakiem W. książę rozumowi i sile margrabiego losy swoje powierzył, z pewnością twierdząco odpowiedzieć niepodobna. Zapewne, jeżeli nie było innych jeszcze, to wszystkie wymienione powyżej przyczyny, na uparte trzymanie się powziętej przezeń decyzyi wpłynęły.

Czerwoni, pociągnąwszy do siebie księży, z margrabią przeważyli Białych.... powstanie wybuchło.... Moskwa zatryumfowała!...

To, co (idąc za wyrażeniem odezwy Komitetu czerwonego do narodu), nazwano powstaniem, w pierwszych tygodniach, było po prostu pod względem wojskowym, awanturą uosobioną w nielicznych stosunkowo-przysięgłych ofiarach, zadekretowanych do poboru, a którym Komitet, w myśl zaprzysiężonego jemu „bezwarunkowego posłuszeństwa", do Kampinosa (lasu o 3 mile od Warszawy) wyjść polecił.

Jako dowód, że Komitet wtedy o powstaniu nie myślał, a chodziło mu jedynie o pokazanie swej siły i patryotyzmu — przez niedopuszczenie poboru, (sądził bowiem, że margrabia, zniewolony staraniami Białych, pobór cofnie, a wówczas nie omieszkaliby dowodzić, że to ich energicznej postawy Moskwa z margrabią się ulękła) jako dowód jasny posłuży, zupełny brak wszelkiej broni, odzieży i żywności, bez których owe ofiary z Warszawy do lasu wyprawiono.

Pamflet Komitetu, w którym tenże informuje naród: „aby każdy z powstańców wyrąbał dla siebie w lesie kij (sic), tym kijem zdobył bagnet na Moskalu", jest zbyt buffo, zbyt nadający się do farsy, aby o tem na seryo, w chwili tak poważnej, tak świętej dla narodu (stawiając się, jako

jego reprezentant), mówić się godziło. Dowodzi jedynie jako najmniej przygotowani nie byli.

Margrabia, wbrew interesowi Moskwy... która wraz z nim, doprowadziwszy do powstania, gdy to tak cząstkowo dopiero się objawiło, radaby je była co najrychlej zgnieść, odebrać krajowi, jako zbuntowanemu, udzielone administracyjne reformy, a następnie, korzystając z zawikłań Francyi, pozbyć się zgubnych dla niej skutków kongresu paryzkiego.

Margrabia postanowił zemścić się śmiertelnie nad rewolucyą (która nastawała na jego życie strzelaniem doń, na jego honor, paszkwilowaniem go po pismach) przez ostateczne zgniecenie jej, na raz w całym kraju, a to przez wytępienie sprzysiężonych a kryjących się przed proskrypcyą, aby ich wszystkich, jakby do matni spędzonych, ryczałtowo wytępić. Nienawiść to znowuż, to zawsze zły doradca!... Otóż nie rozwodząc się nad moralną i obywatelską stroną podobnej idei, zapisujemy fakt.

Napróżno ówczesny komendant siły zbrojnej, Ramsaj, wściekał się. Margrabia, jako cywilny naczelnik kraju, a popierany przez ufającego, a zsolidaryzowanego z nim W. Księcia, ociągał się z dnia na dzień z wydaniem Ramsajowi polecenia atakowania bezbronnych powstańców w „Kampinosie".

Powstanie innych miast w kraju, powstrzymane przez wysłańców dyrekcyi Białych, objaśniających kraj o zbrodniczości powstania w tej chwili, spa-

ralizowane genialnością pomysłu komitetu co do zdobywania karabinów kijami; powstanie naprzekor margrabiemu i Czerwonym nie objawiło się w reszcie kraju, i margrabia nie miał sposobności planu swojego (jak postanowił) przeprowadzić.

W tem naprężeniu i niepewności przeszło zbyt długich w podobnych okolicznościach (mniej więcej) trzy tygodnie. Chroniący się tymczasem w Kampinosie zdołali po Wiśle (która na ich szczęście lodem się pokryła) przejść na drugą jej stronę i zdążać ku granicy austryackiej, przeklinając komitet, który ich oszukał. Forsownie wywołane powstanie, chyliło się do upadku.

V. Wówczas Moskwa zniecierpliwiona, nietyle przewlekaniem się powstania, ile przesadnym rozgłosem, jakie pisma zagraniczne temuż nadawały a może i zaniepokojona, na pamiętne męztwo narodu polskiego, wciąż główny swój cel, wojnę z Turcyą (którą postanowiła) mając na względzie; a może nie dość ufając margrabiemu i Wmu Księciu, zawarła pamiętną „konwencyę“ z Prusami.

Mocą onej rossyjsko-pruskiej konwencyi, w razie zaangażowania sił rossyjskich w Turcyi, Prusy zajęłyby Kongresówkę, z jednej załatwiając się z powstaniem polskiem, z drugiej strony trzymając na wodzy Austryę, gdyby ta, jako jedynie wówczas poważne obawy w Moskwie wzbudzająca, o zachowanie artykułów traktatu paryzkiego na

prawdę się upominała. Prusy, którym chodziło o Królestwo kongresowe dla swoich posiadłości, aby w danej chwili ofiarowaniem go Austryi pozbyć się jej ze związku niemieckiego, nad przewagą w którym już wtedy marzyły, Prusy chętnie przyjęły projekt konwencyi z Rossyą, a bodaj same one, myśl takowej Rossyi podsunęły. Dosyć, że konwencya rossyjsko-pruska stanęła.

Rossya działała w największej tajemnicy. Nagromadzone w Polsce wojska, pod pretekstem znanych w niej zaburzeń, miały nagle uderzyć na nieprzygotowaną wtedy Turcyę (pod jakimbądź pozorem) złamać ją, gdyby się udało; zająć sam nawet Konstantynopol, pozostawiając wtedy Europie „liczenie się z faktem dokonanym“. Dwie ostatnie wojny pruskie dowiodły: że to było możebnem.

Zainteresowane jednak i baczne, tak sama Turcya, o którą tu chodziło, jak i inne mocarstwa podpisane na traktacie paryzkim, w niedługim czasie dowiedziały się o owej tajnej konwencyi, a w ślad za tem okrzykiem doszły i ostatecznego celu machinacyi Moskwy i, uderzywszy na alarm, jęły szukać środków sparaliżowania jej robót, przeszkodzenia celowi. Wówczas to Napoleon III, który na pierwsze hasło powstania w Polsce, nie chcąc drażnić Moskwy, świadomy niemocy swojej, będąc prócz tego o naturze powstania dostatecznie poinformowanym, przez usta ministra ówczesnego p. Biliot uznał powstanie „awanturą i samobójstwem Polski“ a trans-

port broni, z kilkuset karabinów złożony, skonfiskował, agentów zaś przyaresztował. Dowiedziawszy się potem o zawartej k o n w e n c y i, a głównie po wytranspirowaniu zamiarów Moskwy przeciwko Turcyi, a ostatecznie przeciwko kongresowi, umyślił łącznie z Austryą i Anglią, rozdmuchawszy (ile się da) awanturę Polską (jak ją nazywał), p o w s t a n i e, nadawszy jemu jak największy rozgłos, powstaniem tem spętać Rossyę; krwią więc nieszczęśliwej Polski broniła się znowu Europa, krew jej znowu na Europę, na Francyą, na Napoleona spadła. A Napoleon we własnym swym interesie, pozornie zaś, bezinteresownie, owszem w interesie Polski, powstanie Polski kilku insynuowanemi a sensacyjnemi słowy, upoważniwszy Czerwonych (stanowczo) poparł, dając im tytuł n a r o d o w y c h (skoro powstanie takowem być przyznał), B i a ł y m zaś, ostatecznie wszelką siłą refleksyi, wszelką możebność działania odebrał. Jakoż jednym osobiście, innym przez ministra, hr. Walewskiego, akceptując powstanie i domniemaną swą pomoc obiecując, dał hasło: „Powstanie ma być, nie żeby Moskali b i ć, ale jedynie, aby b y ć", to jest trwać.

Jeżeli Napoleon, poprawiając błędy swojego stryja i swój własny w kampanii Sewastopolskiej, kiedy nie chciał „wskrzeszenia Polski w dawnych jej historycznych granicach" — jeżeli powtarzamy: Napoleon III powziął wówczas szlachetną myśl wskrzeszenia Polski, to czasy i okoliczności, od tamtych

czasów zmieniły się zupełnie. Austrya zwróconą miała uwagę gdzieindziej — na związek niemiecki — Anglia zaś nie życzyła sobie więcej wespół z Napoleonem drugiej edycyi wyprawy Sewastopolskiej. Polska przedstawiała dla niej interes jedynie chwilowy, powstrzymania Moskwy. Identyczne więc jej z Francyą i Austryą, a czysto natury sentymentalnej noty, były wszystkiem, co dla powstałej a wyświadczającej wtedy tak wielką dla Europy przysługę Polski uważała za dostateczne.

Moskwa, mając plany swe sparaliżowane, oszalała; a sądząc Polskę główną do uskutecznienia ich przeszkodą, postanowiła (całem przygotowanem przeciw Turcyi wojskiem, wprzód ją zgniótłszy) system ostatecznego jej wyniszczenia przeprowadzić. System ten, po 14 latach, z równą zaciętością jak w pierwszej chwili, do dziś dnia przeprowadza, wywierając się głównie na szlachtę za to, że z nią (Moskwą) przez margrabiego nie stanęła. Wobec takiego (a opisanego) stanu rzeczy, a bardziej wobec rozlicznych wpływów, z zewnątrz i wewnątrz działających, daremne były usiłowania dyrekcyi oświecenia opinii: „Że polityka nie jest romansem, a jedynie interesem i to natury egoistycznej. Że Napoleon jeżeliby i chciał naprawdę pomódz Polsce czynnie, to jako uwikłany w Meksyku, jako podejrzywany przez inne mocarstwa, uczynić tego nie może. Że bez pomocy obcych, powstanie obecne dogadza jedynie zemście Moskwy, a Polskę

zabija. Że wielka rewolucya socyalna uwłaszczenia, wyzyskiwana przez rewolucyą w jej wyłącznie celach, przerwaną zostanie przez Moskwę i znów na jej moskiewskie cele nienarodowe obróconą zostanie". Daremnie wołano: „że to jest szaleństwo, że Ojczyznę trzeba kochać „ze wszystkich sił"; że rozum, że rozwaga równie jak uczucie jest atrybutem rozumnej duszy człowieczej, i również siłę jego w niej stanowi; że służąc jedynie sercem, połowicznie krajowi się służy; a kto przedsięwzięciu całej duszy nie daje, nic nie uczyni; że nie dość jest z miłości chcieć Ojczyzny bronić; że trzeba koniecznie umieć rozumnie jej bronić (postępując z rozwagą i loicznie) aby módz bronić". Daremnie! odpowiadano wówczas na wszystko — uznanym za bardzo głęboki frazesem — frazesem, dającym miarę podrażnienia, sparaliżowania poniekąd umysłów w owej chwili; odpowiadano: „Przyznajemy dyrekcyi całą właściwość, patryotyzm i logikę w postępowaniu jej i w jej radach, ale oświecamy ją z naszej strony; iż loika w rzeczach politycznych prowadzi do absurdum". (sic). Daremne, powtarzamy, były jej usiłowania; głos jej, tak do niedawna słuchany, stał się głosem wołającym na puszczy... Snać Polska nie dość jeszcze odpokutowała, czy nie dość dojrzała — losy jej z wyższych przeznaczeń — jako kara lub nauka — zostały zdecydowane.

Na krótki czas przed owemi identycznemi notami, była chwila, gdzie kraj cały był jakby

bez głowy, a przynajmniej bez żadnego rządu. Porwane lub upuszczone z rąk lejce, któremi dotąd naród w różne strony ciągniono, (że tak powiemy) walały się po ziemi, rydwan zaś narodowy toczył się po drodze nieuniknionych, a całym szeregiem wykazanych powyżej przyczyn, w kierunku najsmutniejszych przeznaczeń.

Moskwa, niepewna jeszcze postawy mocarstw zagranicznych, nie dość była zdecydowaną, jak ma postąpić. Margrabia, zdyskredytowany wobec Moskwy skutkiem nieszczęśliwego obrotu, jaki przyjęło tak długo nierozgromione powstanie, znienawidzony od narodu, odstąpiony przez najbliższych prawie, był, ale już nie rządził; do czasu (że tak powiemy) cierpiany przez Moskwę. Komitet czerwony, bez najmniejszego planu, bez żadnych środków, podobnie jak margrabia dogorywał. Władzę, już nie nad narodem, gdyż wszelka opinia wypadkami spaczona, sparaliżowana w nim była, a władzę nad powstaniem mógł wziąć, kto chciał. Jako dowód posłuży kilko-tygodniowa dyktatura, którą pięciu samopas a na własną rękę działających szlachciców ofiarowało (nieznanemu aż dotąd w kraju z nazwiska nawet) Langiewiczowi. Ci pięciu w imieniu Langiewicza wydali do narodu manifest, którym do reszty wszelki zdrowy sąd narodowi odebrano, a pod którym to manifestem stał podpis: Langiewicz dyktator, podpis niewięcej oświecający, jakby nie było żadnego — owszem, zaciemniający wszystko i wszyst-

kich do ostatka. Zanim intryga ta wykrytą została, pytano się nawzajem, kto? co? jak? a żadnej nie umiano dać sobie odpowiedzi. Manifest ten, oprócz wielkiego arkusza papieru, na którym był wydrukowany, oprócz kilku szumnych *quasi* patryotycznych frazesów, jako główną myśl a bardziej jako spodziewany środek do rozwinięcia powstania stanowił: uwłaszczenie włościan, celem pociągnienia ich do szeregów. Uwłaszczenie to, w myśl manifestu, było prostą darowizną cudzej własności.

W tym samym czasie na granicach Kujaw pojawił się Mierosławski, którego agenci na rzecz jego i na jego imię werbowali stronników po kraju. Dodajmy do tego cały szereg uwijających się po kraju pojedynczych wielkich ludzi, wielkich polityków, a przedewszystkiem wielkich patryotów, z których każdy chciał aplikować do nieszczęśliwego rozciągnionego narodu wymyślony przez siebie uniwersalny specyfik, a będziemy mieli (choć w przybliżeniu) miarę zamętu i chaosu, jaki w tym czasie niestety! sam jeden w kraju panował.

VI. Co wobec tego wszystkiego mogła, co powinna była uczynić dyrekcya Białych? Z całego szeregu najrozmaitszych trudności, jakie, od zawiązania szlachty w organizacyę tak zwanych Białych, reprezentujący ich, czyli dyrekcya, miała do pokonania (a co dopiero historya wyświeci) położenie obecne miało być dla niej najtrudniejsze. W chwi-

lach tych szlachta wraz z narodem (z przyczyn powyżej opisanych) straciwszy wszystko, naciskana wypadkami i fortelami stronnictw i pojedyńczych osobistości, miała utracić (wraz z narodem na śmierć ciągnionym) jedyne, co im pozostało — miała utracić bezpowrotnie: cześć i honor!! miała zaprzeczyć siebie w narodzie. Wyrok jej politycznej śmierci, rozłożony przed nią, oczekiwał jedynie jej haniebnego (a zdawało się nieuniknionego) podpisu. Fatalna siła wypadków ogarniała, pochłaniała z każdym dniem, z każdą chwilą bardziej, a bardziej. Ażeby właściwie całą doniosłość sytuacyi ocenić, potrzeba zrozumieć, że szlachta, że tak zwani Biali, mimo wszystkie krzyki, jakie przeciwko nim Moskwa i Czerwoni podnosili — jako zorganizowani i działający w duchu i dla celów czysto-norodowych — jako posiadający ideę i posiadający środki, byli jedynymi w kraju, bez przyłączenia się których powstanie, choćby i urosło pod względem liczebnym, charakteru jednak narodowego, tego (że tak powiemy) namaszczenia duchowego mieć nigdy nie mogła. I rzeczywiście dopokąd dyrekcya stała (jak dotąd), nie sankcyonując swem przyłączeniem się do ruchu tegoż ruchu, tak długo kraj, niepewny co ma czynić, niepewny ku dyrekcyi się zwracał; tak długo Moskwa niepewna jak ma postąpić, borykała się z zagadką.

Dyrekcya stała, aby nie dopuścić nikogo złączyć się z Moskwą, co w owych pierwszych chwi-

lach przestrachu i oburzenia przeciw rewolucyi i wobec obawy przewidywanych następstw było możebnem, Moskwa i Czerwoni, którym chodziło o zniszczenie szlachty, wysilali się na sposoby zniewolenia dyrekcyi do akceptacyi, do urzędowego zsolidaryzowania się z ruchem. Moskwa, z każdym dniem w owych, latami nie dających się obliczyć i ocenić, trzech miesięcy, na zewnątrz nie ujawniającego się stanu dyrekcyi; Moskwa z każdym dniem tracąc nadzieję zbliżania się do niej szlachty, zagrożonej strasznemi skutkami buszującej po kraju rewolucyi socyalnej, rewolucyi co chwila mogącej stać się dla szlachty śmiertelną, odnośnie do bezpieczeństwa osób i majątku (co przynajmniej niektórym tak się zdawało); Moskwa, kończymy, tracąc nadzieję, a nie umiejąc sobie postępowania Białych wytłómaczyć, rozwścieczona na kraj cały, a w szczególności na szlachtę, pragnąc już jedynie najkrwawszej, najbezpośredniejszej zemsty na niej; Moskwa potrzebowała mieć dowód rzeczywistego, gremialnego przystąpienia szlachty, w osobach jej reprezentantów do ruchu, aby zemście swojej na osobach i na mieniu szlachty, jak to uczyniła na Litwie i zabranych prowincyach, zadość uczynić; Moskwie potrzeba było wobec Europy tego pozoru prawności, jaki przysługuje monarsze, w ukaraniu buntującego się przeciw należnej mu władzy, narodu!

Moskwa albowiem udaje, że nie wie, że nie pamięta; iż włada Polską na prawie zaprzysiężonej

narodowi polskiemu konstytucyi, i że o tej to konstytucyi złamanie naród polski szeregiem powstań, najzupełniej prawnie u łamiącej o takową się dopomina. Moskwa wbrew warunkom „wiedeńskiego kongresu", chce się uważać i uważa, jakoby dzierżąca Polskę na prawach podboju.

Otóż dyrekcya Białych sądziła: że Europa, że Napoleon III, żądający powstania Polski, a bardziej, że Anglia wraz z podpisanemi na tym kongresie a potrzebującemi dziś Polski, rzecz tę wyświecą, sytuacyę określą; a określeniem tem Moskwę na prawnem względem Polski stanowisku postawią. I dla tego nie rozwiązywała się dyrekcya. Jakkolwiek sąd ów dyrekcyi, co do wyżej wypowiedzianego zachowania się Europy (z różnych powodów) nie stanowił u niej artykułu wiary, między innemi powodami jednak i ten jeszcze powód włączała do decydujących o zatrzymaniu się jej na stanowisku (na zewnątrz) wyczekującem.

Głównym zaś powodem był wyżej zacytowany a niezbędny dla Moskwy pozór prawności. Od skutków jego uchronić szlachtę (o którą tu głównie chodziło Moskwie) dyrekcya sądziła być świętym względem siebie, szlachty i narodu obowiązkiem. Oto, w jaki sposób dyrekcya pozorną bezczynność swoją sądziła być czynem, i to wielkiej dla narodu wagi.

Czerwoni zaś przyłączenie się dyrekcyi do ruchu, tak u siebie rezonowali: „Jeżeli dyrekcya pod jakimkowiek pozorem, ruch za narodowy przyzna i

do niego się przyłączy: bądź przyjmując pozycyę od komitetu czerwonego, bądź stając na jego czele (pod nazwą n. p. rządu tymczasowego lub narodowego), w każdym razie program Czerwonych przyjąć i rozwijać będzie zmuszoną. Wówczas *eo ipso*, potępiając dotychczasowy swój program, działania swoje z niego aż dotąd płynące, potępi. Dalej — jeżeli powstanie, jakimkolwiekbądź cudownym wypadkiem, pomyślne dla narodu skutki sprowadzi, przypiszemy to naszej idei rewolucyjnej, naszemu programowi. Obwinimy przed narodem dyrekcyę: że organizacyą swoją i swem działaniem z największą szkodą narodu, patryotyczne usiłowania Czerwonych zbrodniczo, bo ze złą wolą (skoro w końcu działania komitetu akceptowała, dalej je osobiście prowadząc) rozmyślnie paraliżowała. Jeżeli zaś powstanie, co łatwo do przewidzenia, albo zaraz upadnie, albo w następstwach śmiertelne dla narodu sprowadzi skutki, wówczas okrzykniemy: że dyrekcya Białych, pochwyciwszy w swe nieudolne, w swe apatyczne ręce, powstanie tak mądre, z takiem poświęceniem się przez Czerwonych przygotowane, nieudolnością swoją, swoim brakiem patryotyzmu, zwichnęła i zmarnowała. Tym sposobem i mienie szlachty pod dyspozycyą swoją w następstwie zagarniemy, Moskwa mszcząc się, dokona reszty; pozbędziemy się jednocześnie szlachty i szlacheckich idei [1]). W końcu

[1]) Wiemy, iż z e w n ę t r z n e m u wrogowi (Moskwie) nie damy rady, ale załatwiemy się skutecznie z naszym w e w n ę t r z n y m wro-

tak czy owak wypadnie, zawsze jej czyniąc ztąd zarzuty, obedrzemy ją z uroku patryotyzmu, jej wszystkie przypiszemy klęski. Zniszczymy szlachtę, zniszczymy swemi lub Moskwy rękami głównego rewolucyi wroga; a tę haniebną, a tę nieuniknioną śmierć jej, gdyż obwołamy ją: jako zdradzającą kraj [1]), jej własnemi przygotujemy rękoma. Pogrzebawszy szlachtę a uformowawszy „stan trzeci", narodem rządzić będziemy, naród naszemu ulegnie duchowi, naszym pokłoni się Bogom!"...

Nietakże radzili sobie faryzeusze i piśmienni żydowscy, gdy ukazawszy Chrystusowi pieniądz z wyobrażeniem cesarskiem, kusili go: „powiedz, godziż się płacić czynsz cesarzowi, czy nie?".

Żydzi warszawscy byli już ofiarowali wówczas cokolwiek pieniędzy Czerwonym i już panowali nad nimi. Im to, nienawidzącym, równie jak Czerwoni,

---

giem — ze „szlachtą"! To jawnie i głośno wypowiedział jeden z wielu głośnych w ruchu akademików.

[1]) Znany styl ówczesnego komitetu czerwonego. Czerwoni (jak to i dziś czynią) trzymali się owej zasady: „chcesz nie być wieszanym, wieszaj sam", nie chcesz być sam zdrajcą nazwanym (co menerom czerwienizny, za ich rozmyślne paczenie i wyniszczanie ducha narodowego tradycyi i obyczajów, wbrew najdroższym, najżywotniejszym interesom, narodu, sprawiedliwie się należało i należy), Czerwoni, kończę, trzymając się tej zasady na wszystko i na wszystkich, którzy krajowi postępki ich wykazując, o ich dążeniach ostrzegali, w niebogłosy wołali: „zdrada! — zdrajcy!".

Dopóki mogli, trując lub wieszając podobne osobistości (z wyroków rządu narodowego), innych zaś później, denuncyując (w swych piśmidłach) przed rządem moskiewskim.

To ich patryotyczna taktyka...

szlachtę (obok pragnienia zniszczenia jej), chodziło (na tę chwilę) przedewszystkiem o wepchnięcie szlachty do ruchu, aby dane Czerwonym pieniądze szlachta im z dobrym powróciła procentem. Inaczej od kogożby wydane sumy odebrali? Ich to faryzeuszowski duch wypowiedział się w tym fortelu.

Ogół narodu, równie jak szlachta, nienawidząc rewolucyi, brzydząc się Czerwonymi, czuł wstręt do ulegania im, a w tak nieszczęśliwie wywołanem powstaniu widząc śmierć narodu, wołał na dyrekcyę aby go zbawiła. Ulękły jednak z rozmaitych przyczyn, sam nie mając odwagi, nie mając śmiałości (wobec pomówienia go o brak patryotyzmu, o tchórzostwo), opierać się chciał, aby trzech członków dyrekcyi obroniło go, bez jego udziału, owszem mimo niego. Zapominał, że to nawet Bożą możność przechodzi, bo któż nas bez nas samych, zbawić potrafi?

Do wymienionych powyżej trudności, w owej krytycznej dla narodu, stanowczej dla szlachty, a rozpacznej dla dyrekcyi chwili, nastąpiło nadto luzowanie się karbów organizacyi Białych. Robak najgrzeszniejszej w chwilach podobnych ambicyi, niechęci osobistych, obawy o życie i majątek — zaczął wylęgać się w niej i na jej ciało wypełzać. Niektórzy z członków koła wojewodzkiego wzmocnionego (dla ważności chwili) o czterech w każdem z nich przybranych (*ad hoc*) członków, weszli (na swoją rękę) w pewne ugody z Czerwonymi i zdecydowali

się: zmusić dyrekcyę do połączenia się z „Langiewiczem“ lub z „komitetem“, aby wymógłszy na niej akt poddania się komitetowi, dyrekcyę rozwiązać, a innych powolniejszych już reprezentantów szlachty wybrać do współdziałania z Komitetem czerwonym, a to niby w celu „ratowania sprawy“. Szlachta w całym organizmie, szlachta z duchem, co ją ożywia i wiąże, co ją narodową czyni, szlachta z programem swoim, miała się sama niejako zaprzeczyć w narodzie! Szlachta, już, już miała abdykować!...

VII. Chwila stanowcza, ostatnia, każdy moment opóźniony nieuniknienie sprowadza wszystkie wyżej określone następstwa. Wówczas to dyrekcya zrozumiawszy, iż organizacya „Białych“, jak każda organizacya, przedstawiająca silne, zwarte ciało, a niemogące się jak w tym razie połączyć ani z wrogą mu Moskwą, ani z nienarodową rewolucyą, dla tej organicznej zwartości swojej, przedstawia dogodną a jakby domyślną tarczę do obustronnych (a równie wrogich) rewolucyj i Moskwy pocisków. Widząc głównie niemożebność jej dalszego organicznego utrzymania się — przekonana nadto, iż uczyniła wszystko (na co okoliczności pozwalały), a zagrożona lada chwila, lada okoliczność (jak tego machinacye na kole dowiodły) możnością zniewolenia jej do pochylenia się w stronę Moskwy lub rewolucyi; nie chcąc oprócz tego dawać krajowi (przez złe zrozumienie) powodów do zgorszenia, Czerwonym zaś

miecza przeciw niej, jakoby tworzącej „rozmyślny rozdział w narodzie“, a przez co oni (Czerwoni) Moskwy (jakby mogli) „śmiertelnie dosiągnąć nie mogą“. Dyrekcya, kończę, zrozumiawszy i nie oceniając właściwie tych wszystkich i innych może (a które historya we właściwej chwili wyświeci zapewne) powodów, dyrekcya samorzutnie chroniąc naród przed skutkami organicznego, że tak powiem, ostentacyjnego połączenia się szlachty z rewolucyą, samorzutnie, powtarzam, organizacyę Białych rozwiązała — a organiczne, a podstawowe prace swoje i swoją działalność do właściwszych momentów rezerwując, zawiesiła. Gremialne zaś złączenie się szlachty i przeważnej części mieszkańców (polskiej narodowości) miast (z powodu właśnie stania swojego w chwili krytycznej z rewolucyą jako i możebne uciekanie się pod opiekę moskiewskich bagnetów) dyrekcya uniemożebniła. Jeden i drugi krok nienarodowym być ogłosiła; a jako nie mogący nigdy i w niczem narodu obowiązywać, obwołała. Czytaliśmy wówczas te objaśnienia i wskazówki (w rodzaju okólników) po kraju rozesłane.

Odtąd każdy pojedyńczy szlachcic jako i zsolidaryzowany z organizacyą Białych mieszkaniec miast, mocen był rozporządzać sobą osobiście, odpowiednio jak mu okoliczności ze względu na interes jego własny i na interes narodu wskazywały. Ale działać organicznie, działać w imieniu szlachty i narodu, nie mógł i nie działał. Tym sposobem szlachta Kró-

lestwa kongresowego i inni w kraju (w duchu narodowym żyć pragnący), ocaleni i do dalszego narodowego życia wraz z narodem (który dopóki chowa swego ducha narodowego, narodem jest) zachowanymi zostali.

Zbyt krótką była działalność zsolidaryzowania wszystkich części, historyczną Polskę składających, aby właściwe dyrekcye wszystkich poszczególnionych prowincyj mogły wpływem swoim powstrzymać miejscową szlachtę (zwłaszcza przy przeciwnym wpływie duchowieństwa) od rzucenia życia i mienia swego na fałszywą, przez Moskwę i rewolucyę (każda z innych przyczyn) podrzuconą kartę, pod czarodziejskiem hasłem, powstania! Zbyt krótką, aby, jak to czyniła dyrekcya w Królestwie kongresowem, ocalając szlachtę od proskrypcyi, jaką wykonała Moskwa na szlachcie litewskiej i zabranych prowincyj, ocalić szlachtę (choć zubożałą) dla kraju, a ztąd od ostatecznego upadku go ocalić.

VIII. Otóż kto pyta u nas: co uczyniła dla kraju dyrekcya Białych? niech spojrzy na nieszczęśliwe a pozbawione w ogromnej liczbie najlepszych swych żywiołów (szlachty i duchowieństwa) Litwę i prowincye zabrane, niech spojrzy na opustoszałe dwory szlacheckie i wyludnione całe osady „drobnej szlachty"; niech policzy osierocone z księży parafie i zamienione na schyzmatyckie cerkwie, dawne katolickie kościoły; — niech, powtarzam, spojrzy jedno-

cześnie na szlachtę w Królestwie kongresowem, szlachtę choć zbiedniałą, choć ograbioną, choć prześladowaną, ale przecież na ojczystym zagonie, po dawnemu siedzącą i po dawnemu w domach Bożych o wskrzeszenie do Pana wołającą! Niech porówna oba te stany oddzielnych prowincyj, niech uprzytomni sobie oba te rzeczywiste obrazy, niech obok tego przedstawi, coby to było żeby szlachta bądź uciekła się zbiorowo pod opiekę Moskwy, bądź zlała się z rewolucyą, od czego właśnie dyrekcya ją ocaliła; a odpowiedź właściwa jasno przedstawi się pytającemu.

I oto dlaczego — Moskwa i rewolucya (dla wypowiedzianych wyżej przyczyn) z tak zawziętą namiętnością miotają wspólnie na szlachtę różne obelgi, odsądzają ją od wszystkiego w narodzie, usiłują zniszczyć ją na sławie, na honorze, a rujnując na mieniu, chcą ją zrujnować ostatecznie. Jej żywej każą umierać, radziby żywą pogrzebać.... Zdaje się, jakby wszystkie siły szatańskie podniosły się przeciw niej, wiecznie apostołującej w duchu Bożym, w duchu narodowym, a tem swojem apostolstwem wołającej: „jesteśmy“. Jesteśmy, bo wierzymy! bo kochamy! bo spodziewając się pracujemy!... I znów dziwnie nadają się do niej słowa Mistrza naszego, Chrystusa Pana, wyrzeczone do Apostołów: „Wyłączą was z bożnic, aleć przyjdzie godzina, w której każdy, który was zabije, mniemać będzie, że czyni posługę Bogu, a to wam uczynią, iż nie poznali Ojca ani mnie!“....

## Rozdział III.

I. Streszczenie tego, co dotąd powiedziano.
II. Nasz program.

Zbierając w treść to wszystko, cośmy w obecnej pracy naszej powiedzieli, a odnosząc do głównej, do pierwotnej przyczyny, która włożyła nam pióro do ręki, przyczyny, że my, szlachta, zostaliśmy osądzeni jako „Morituri", zostaliśmy na śmierć skazani!.. i jednocześnie postawieni jako „Resurrecturi", jako do zmartwychwstania przeznaczeni — zbierając, powtarzamy, w treść to wszystko, cośmy w wyjaśnieniu wykazać mieli sposobność, jak i to, cośmy: „w głosie do Polaków" starali się szczególniej braci szlachcie przypomnieć, uprzytomnić, wykazać: Naprzód, a przedewszystkiem: wykazaliśmy nasze zdziwienie i zgrozę.... za co to nas szlachtę, bez usprawiedliwionej winy naszej, na śmierć skazano? za co nas żywych, bo wierzących, bo ufających, bo kochających a ofiarnych — do grobu przeznaczono?! — po co znowu pogrzebanych, a zawsze żywych wskrzeszać postanowiono?!...

Uprzytomniliśmy nasze walki, nasze prace, nasze cele, w żyjącem dziś pokoleniu szlachty — przypomnieliśmy walki, prace i ofiarną działalność ojców

naszych, wykazując ciągłość historyczną prac naszych z ojców pracami, a więc nieodrodność, więc żywotność, więc życiowość naszą.

Szukaliśmy myśli przewodniej, szukaliśmy tej gwiazdy świetlanej, która przyświecała narodowi naszemu przez cały ciąg tysiąc-letniego państwowego żywota, a głównie przez ciąg jego stuletniej niewoli, a za którą to gwiazdą my, zawsze nieodrodni ojców naszych synowie, dążyć powinniśmy podobnie jak oni: wierząc, kochając, spodziewając się!!

Przypomniawszy, uprzytomniwszy, wykazawszy to wszystko, co było pamiętnem, wiecznie przytomnem i jasnem dla ojców naszych, pozostaje nam dla wywiązania się z postawionego na początku tego rozdziału założenia, wypowiedzieć: co nam Polakom a przed innymi nam szlachcie, na dziś czynić przystało, co myśmy dziś czynić obowiązani?..

Odwołując się do poprzednich wywodów naszych, gdzieśmy starali się wykazać: że przyczyną przyczyn, czyli przyczyną istnienia świata, wraz z tem wszystkiem, co na świecie istnieje, co żyje, co jest, jest Bóg!.. Bóg, który świat ten i nas na nim wolą swoją stworzył, przez miłość swoją odkupił nas, a łaską swoją opatrznie utrzymuje, a do objawionego celu: do życia wiecznego, to jest do zbawienia prowadzi. Odwołując się dalej, również do poprzednich wywodów, wykazaliśmy: że Bóg nie może nas zbawić bez nas samych, czyli, że my w tem współdziałać z Bogiem powin-

niśmy, to jest: że wiara nasza religijna, narodowa i rodowa ma być wiarą czynną, wiarą ofiarną! Wykazaliśmy: że obowiązkiem naszym w tutecznem życiu jest: sprowadzanie harmonii i zgody w walce materyi z duchem, jaka się w świecie, a przedewszystkiem u nas objawia — a przez którą się życie manifestuje; wykazaliśmy, że tą siłą cudowną, łączącą, jest religia.

Wykazaliśmy z kolei, że rozmaitość, która tak dobrze jest właściwością Bożą, jak nią jest stwórczość, jak miłość, jak nieśmiertelność, w dążeniu ludzkości ku Bogu, t. j. ku swojej przyczynie, ku swojemu Ojcu; wykazaliśmy, że rozmaitość ta Boża, wyprowadzając z rodów narody, przez nie (przez narody) właściwą drogę, którą ludzkość ma ku niemu podążać, przeznaczyła, wskazała, określiła. Wykazaliśmy, że religijne pojęcia i wierzenia, przez Boga ludzkości objawione, złożone są: w Kościele, jako w tym, w którym duch Boży wiekuiście przebywa; że kościołem tym dla nas Polaków-katolików jest święty katolicki nasz Kościół i że wierni religijnym pojęciom i wierzeniom tego Kościoła, pod przewodnią opieką utajonego w Najświętszym Sakramencie naszego Pana Jezusa Chrystusa dojdziemy do przyobiecanego Królestwa Niebieskiego.

Przypomnieliśmy, że Ojczyzna ziemska (jako przedsmak Ojczyzny niebieskiej) jest jedynem polem, na jakiem człowiek w tem życiu wyrabia się, gdzie wysługuje sobie ojczyznę niebieską...

Wykazaliśmy, że duch Boży! który w nieśmiertelnych, niezmiennych bo czysto duchowych, w religijnych pojęciach człowieka, zwie się wprost: „duchem Bożym", a w ludzkości, a w czasie, nazwany jest przez ludzkość „duchem czasu albo wieku", że tenże duch Boży określa się w opatrznościowej swej mocy — w swej idealnej wytycznej, dla każdego narodu — jego duchem narodowym. A jak historya, a jak życie Kościoła wypowiada prawdziwego ducha Bożego, tak historya, tak życie każdego narodu wypowiada prawdziwego, danego mu przez Boga, jego ducha narodowego. Z tego to narodowego Bożego ducha narody ciągną życiowy morał, wyprowadzają naukę codziennego życia, zeń się ucząc *v.* obuczając, tworzą (obuczaj) obyczaj.

Wykazaliśmy, że religia, że narodowość, że obyczaj, jako nierozdzielne, a z tego samego ducha płynące, stanowią dla człowieka jego ziemską ojczyznę, w której po drogach przez ojców przekazanych (tradycyą) dąży się w pracy i poświęceniu się ku Ojczyznie niebieskiej, ku Ojcu niebieskiemu.

Co wszystko wykazawszy, w ostatecznem streszczeniu przedstawia się największa życiowa prawda dla świata i dla człowieka na nim, prawda, która jako płynąca z szeregu religijnych, narodowych i obyczajowych praw, da nam jedyną prawdę, a w niej możność objęcia i właściwego zastosowania tego wielkiego, największego koła *v.* drogi, którą świat a właściwie człowiek (badając jego życie

przeszłe, tuteczne i przyszłe), dochodzi do ostatecznej, konkretnej, moralnej prawdy: z Boga wyszedł, w Bogu żyje, do Boga powraca!...

Wobec tego wszystkiego, cóż zdawałoby się prostszem, cóż naturalniejszem nad współdziałanie nasze z Bogiem? Zdawałoby się, że nie masz, ktoby śmiał (miasto pomagać) przeszkadzać w tem Bogu! nie masz, ktoby się poważył anielskie porywy nieśmiertelnej swej duszy ubezwładniać, a ubezwładniając, zaprzepaszczać nieśmiertelnie tę nieśmiertelną w nas duszę? Ktoby się poważył?! ktoby śmiał?!

A jednak cóż widzimy na świecie? Oto zmateryalizowany wiek dzisiejszy, rękami swych wyznawców, tych czcicieli życia dla użycia, którzy udając, że Boga nie widzą, a bezsilni, aby Go dosięgnąć lub zniszczyć, na wyznawców Jego, na Jego czcicieli podnoszą bezbożne pięści, zapamiętale rzucają się na Kościół, wytwarzają bezwyznaniowość, pełni zapalczywości przeciw narodowościom, beznarodowość, internacyonał, sprośni w obyczajach, ustanawiają małżeństwo cywilne, zapamiętale a bezbożnie rzucają się przeciwko duchowi Bożemu w Kościele, przeciwko duchowi Bożemu w narodzie, przeciwko duchowi Bożemu w obyczajach, w rodzinach, w rodach.

Pojęcie Boga, cześć oddawana Bogu od pierwszego objawienia się tegoż Boga — najpierwszemu człowiekowi w raju — tradycyą, czyli podaniem przekazywaną jest z pokolenia w pokolenie, z wieku

w wiek. Otóż materyaliści a właściwie nihiliści dzisiejsi, chcąc zaprzeczyć Bogu (który jest im dziś niepotrzebnym, a w przyszłości byłby niewygodnym), usiłują podkopać tradycyę, czyli podanie o Nim, i ztąd ich ku wszelkim tradycyom nienawiść.

Ztąd owo nieprzebłagane miotanie obelg przeciw tradycyom Boga w Kościele a respective przeciw Jego namiestnikom i wyznawcom; ztąd ich rewolucyjne, wywrotowe dążności przeciwko narodom, by je ducha Bożego, ducha narodowego pozbawić, ztąd napadanie: aby zniesławić, gdyby można, wszystkie znakomitości narodowe, narodowych patryotów zbezcześcić:

„Aby zmarłych okraść można,
Na to piszą się dziś dzieje,
Bo kraść żywych, czeladź zbożna,
Dziś powieści tylko sieje!". (Winc. Pol).

Ztąd również ich rozpasanie się przeciw obyczaczajom, a głównie przeciwko ich przechowywaczom i stróżom w narodzie i w rodach — a ostatecznie przeciwko narodowej i rodowej szlachcie; przeciw szlachetnie czyniącym, szlachczyńcom, szlachczycom. Bezbożność i jeszcze raz bezbożność — oto ich robót główna tajemnica.

Chrześcijańska, zbożna szlachto Polska! kapłanko ducha narodowego, patrycyacie Polski, pytamy cię: z kim nam iść dzisiaj? z kim? z Bogiem? czy przeciwko Bogu?... Czy po staremu stać nam i bronić Kościoła, narodu, obyczaju? czy po dzisiejszemu

stanąć z rewolucyą, z wywrotem, czy z schyzmatycką, a bez rodziny, a bez domu, a bez narodu, Moskwą?! Pytam, czy z nimi aby zburzyć Kościół, naród, obyczaj?! Wiara, narodowość, obyczaj, zarówno jak historya, jak słowo (język) to Ojczyzna! Strzeżeniem, rozwijaniem ich Ojczyzny stoją... miłością a ofiarą dla nich upadłe powstają. Nic tu zmienić, z niczego ustąpić, żadnego zhandlować nie wolno — a nie wolno pod karą zatracenia Ojczyzny!

II. Skoro, jak wykazaliśmy: bez Ojczyzny ziemskiej, nie masz, nie może być Ojczyzny niebieskiej, pozostaje więc: albo bezgraniczna, ofiarna miłość tej Ojczyzny z tem wszystkiem, co Ojczyznę stanowi, to jest: rzeczywiste, pełne życie; albo, tu na ziemi i w przyszłości za grobem — próżnia, nicość, śmierć! Wiekowe prace wasze, wasze wierzenia, wasze nadzieje — wszystko uczy nas, coście wybrali, odpowiada, gdzie miłości wasze!

Mamyż wam przypominać: iż nasza wolna, nasza polska Rzeczpospolita, łącznie ze wszystkiemi stanami i z królem swym — z nieszczęśliwym Janem Kazimierzem, publicznym, zaprzysiężonym a wiekopomnym aktem, Matkę Bożą, Królowę Niebieską, Matką swoją, Królową Polską ogłosiła!!

Jakiż wiek, jakiż naród wykaże nam akt wspanialszy? wspanialej a wyraźniej zamanifestowane religijne wierzenie narodu?! Jakiż wiek, jaki naród, w chwilach zupełnego upadku, w jakim była wów-

czas nasza Rzeczpospolita, wykaże nam cudowniejszy a dotykalniejszy zarazem objaw wybawienia?! Oto hufce zniesione, rząd w rosypce, król na tułactwie, naród w rozterce i we wzajemnej waśni; cała Polska szwedzkiem zalana żołdactwem, możni w narodzie z najezdnikami pokumani, kościoły sprofanowane, duch narodowy zaprzeczony, obyczaj zapoznany, słowem Ojczyzna przez obcych zhołdowana, już, już ostatecznie ujarzmioną być miała — nikt na prawdę o możności obronienia jej myśleć nie mógł... gdy, oto z małej forteczki, opasującej klasztor „Jasnogórski", z kilkuset wierzących, a kochających serc szlachty, oddanej pod opiekę swej Niebieskiej Królowej dla ich żywej wiary, za przyczyną tej właśnie Królowej spłynęło cudowne, znane wybawienie!!

Tu z pod serca garną się na pióro natchnione a pełne żywej wiary słowa znakomitego a niedawno zmarłego szlachcica-pieśniarza:

Któż ramię Kordeckiego do potęgi budzi,
Co dwanaście tysięcy (!) zgromił w trzysta (!) ludzi.
Ty Pani z Jasnej Góry! Twoje to staranie —
Co hufce archanielskie masz na zawołanie,
Coś zdeptała potęgę piekielnego węża,
Rozkazałaś zwyciężyć — i człowiek zwycięża!!

XXII.

Nad basztami, w obłokach, czy wy go widzicie?
Unosi się ksiądz stary w śnieżystym habicie,
Rozeznać z siwej brody i z wyniosłej głowy,
Że dusza Kordeckiego broni Częstochowy. —

Zdaje się mówić do nas, podawać osłodę:
Pokój ci niechaj będzie pokolenie młode!
Prawnuki owej szlachty, której drobna siła
Wespół ze mną w obronie tych murów walczyła;
Czybyście mieli męztwo, jak za nasze lata:
Z tych murów, gdyby szwedzka zagrzmiała armata,
Czy dusza prawowierna? czy dosyć pobożna?
Czy z Wami, jak z naddziady cud dokonać można?!“
. . . . . . . . . . . . . . . . . . .
„I widzę, jak starzec w promiennej osłonie
Do obrazu Maryi z chmur wyciąga dłonie.
A źrenica w ten obraz z nabożeństwem wryta
Czy o coś Pannę błaga? czy o coś się pyta?...

I to widzę, w chmurze wznosi się gromada:
Klęczący Kazimierz swoje wota składa,
Król Sobieski ślubuje Rodzicielce Bożej,
Że nim Turka nie zbije, miecz w pochwy nie włoży.

Święty rycerski mnichu, wy dawni królowie
„I ty święty szlachcicu“ jak cię Marek zowie!
Sławiliście Maryę, czynami, modłami,
Wyście teraz Jej bliżsi — módlcie się za nami!...

Oh! wzorem ojców naszych, za przykładem natchnionych w narodzie, módlmy się i my do Niej; i my wzorem Kordeckiego „błagajmy Ją i Jej się radźmy, a nieodrodni od naddziadów naszych, miejmy jak oni duszę prawowierną“ i jak oni „pobożną“, a i dla nas, jak dla nich wonczas, stanie się „cud“!

Wszyscy nas opuścili — zapomnieli nas przyjaciele — wrogi znęcają się nad nami, my jednak wierzymy głęboko: że „wiernych a zaufanych w Bogu

miłosierdzie ogarnia". Wierzymy, „niebotycznie" jak wyraża się Z. Krasiński, „że Polska będzie"; a jednocześnie wierzymy, że ani przez ludy, ani przez trony, ani w imię narodowości, ani dla równowagi, ale będzie, jak woła tenże sam najgłębszy a najbardziej narodowy wieszcz nasz Z. Krasiński, w poemacie swoim „Resurrecturis": „Będzie Polska w imię Pana!"

Uciekajmy się więc do Niego, do Pana naszego, do Niego się garnijmy! Bierzmy głęboko do dusz naszych Boskie słowa Jego. Między innemi, powtarzajmy co dzień, co On wyrzekł: „iż żadne państwo rozdzielone w sobie, nie ostoi się"... a cóż dopiero, gdy ma powstać z upadku?! Tak, wołajmy o przyczynę do Królowej naszej — a Ona okaże pierwszy cud nad nami: nas rozdzielonych, a rozdzierających się, nas zwaśnionych połączy — zjednoczy nas!!

Z wiary naszej stanie się dla nas cud zjednoczenia, z cudu rozmnoży się wiara nasza, a z tej wiary nowy urodzi się cud — cud naszego zmartwychwstania! A nie inaczej się on stanie, jak wyrzekł wieszcz:

Jeden — jeden tylko cud —
Z polską szlachtą polski lud!!...

Lud polski durzony, kuszony przez wrogów Polski, mając dziś na swych rękach niewinną krew starszego brata szlachcica, rąk tych okrwawionych do Boga za Polską skutecznie podnieść nie może;

lud ten Polski z piętnem „Kaina" na swem czole — czołem tem, o stopnie królowej Polskiej uderzyć nie ma prawa: a jednak, bez ludu nie będzie Polski; a przecież Polska być musi, Polska będzie!... więc rozgrzeszyć!... więc rozwiązać lud!... któż lud rozgrzeszy? kto?... ksiądz!

Do Duchowieństwa polskiego należy to wielkie, to największe, a najpierwsze na dziś dla Narodu dobro, dobro zjednoczenia szlachty z ludem pod świętem wezwaniem religii! (*Religare*, łączyć! jednoczyć!) ([1])

---

[1]) Szlachto Polska, ty któraś tyle ofiar złożyła z trudu, z fortuny i ze krwi na ołtarzu Ojczyzny, i za co słuszna a należna cześć tobie; szlachto Polska, wiesz. czemu ci Bóg nie dopomaga do ujrzenia niepodległości tej ukochanej twojej? wieluż ich Pańskie obsługuje ołtarze? Dawniej co dziesiąty dom szlachecki miał w rodzie swoim syna albo brata księdzem... i błogosławił Pan Bóg narodowi polskiemu!... Dziś oddajecie dzieci wasze do handlu, do rzemiosła, kształcicie z nich doktorów prawa lub medycyny, i nie ganimy wam tego; my bolejemy jedynie, my wypominamy wam: dla czego, urabiając z dzieci waszych rzemieślników, kupców, doktorów ciała, nie przysposabiacie z nich również sług ołtarza, doktorów duszy?!

Nie, my nie święcimy krwi naszej Bogu, od niej nie mamy prawa żądać łaski i pomocy Jego! Pamiętajmy: „jak człowiek Bogu, tak Bóg człowiekowi". Rody Pańskie, do was tu początkowanie należy, wy przykład dajcie... a więcej jak wszelką inną ofiarą przysłużycie się Bogu i Ojczyźnie...

Niema dziś wznioślejszej, niema patryotyczniejszej, wielmożniejszej nie masz pozycyi! Nie słów a czynów — nie próżnych westchnień a ofiar wymaga Bóg po nas!... Matki polskie, naśladujcie w tym przykład pra-

Ksiądz polski, wzorem ks. Antoniewicza, zawoła do ludu Antoniewicza słowami, wyrzeczonemi nazajutrz po owej pamiętnej rzezi: w tem jednem słowie: „O nieszczęśliwi bracia moi", w tym wyrwanym z miłości okrzyku pogrzebie całą okrwawioną przeszłość, nową promienną przyszłość zbuduje. Praktyczne stosowanie tego wskazałyby okoliczności i ich ocenienie.

Gdyby ujrzano szlachtę na prawdę pojednaną z ludem, któżby wówczas nie uwierzył w cud — za przyczyną naszej Niebieskiej i Ziemskiej Królowej spełniony?... któżby, ujrzawszy go, śmiał wątpić i w cud dla ojczyzny naszej ostateczny, a przepowiedziany, który jedynie przez szlachtę i lud spełnić się ma i spełni:

---

babek waszych, tych prawdziwych Matron w ojczyznie; szanujcie a wypełniajcie w tem obyczaj, jaki wam tradycya ojczysta do praktykowania przekazała. Biada nam, biada Ojczyznie naszej! jeżeli i nadal na ten najprzedniejszy, w obyczaju u nas będący rodowy obowiązek, obojętnymi grzesznie pozostaniemy!! Ach, garnijmy się do Boga, spieszmy obsługiwać Jego ołtarze, — tam! tam jedynie, w imię wspólnych miłości, zlejemy się z ludem naszym, a Bóg nam za miłość pobłogosławi miłością! Szlachto, to jedyne miejsce, na którem prawdzie wielmożną we wskrzeszeniu Ojczyzny być możesz, to jedyne miejsce, z którego reszcie braci twojej, w tym szlachetnym zamiarze prawdziwie dopomożesz! Garnąć się do stanu duchownego, to najpatryotyczniejszy dziś obowiązek polskiego szlachcica! to najświętszy obowiązek katolika! To najprzedniejsze narodowe hasło nasze, na dziś, na jutro i na zawsze! To największa niepożyta siła! Pamiętajmy, iż nie agitatorami w kościele — a polskimi księżmi zostać mamy.

**Ani kupcy, ni żydowie**
**Ani mieszczan też synowie,**
**Jeden, jeden tylko cud:**
**Z Polską szlachtą, Polski lud!!**

. . . . . . . . . .

**Polska szlachta z Bogiem, z ludem,**
**Kraj z niewoli dźwignie cudem:**
**Gdy przez Kościół, przez duch Boży,**
**Ducha Polski rozwielmoży**
**Jeden — jeden tylko cud:**
**Z Polską szlachtą — ksiądz i lud!!**

. . . . . . . . . . . .

Na zakończenie wołamy do wszystkich polskich polskiej ziemi synów: Zapomnijmy sobie win wzajemnych — nie siebie, nie wrogów naszych nienawidźmy, a Ojczyznę naszą, jak przystało wiernym dzieciom, kochajmy. Nie uznawajmy być godłem naszem: „zemsta, zemsta, zemsta na wroga! z Bogiem i choćby mimo Boga!" Nie uznawajmy, bo tv, jak widzimy, nad miłością zgórowała rozpacz, razpacz, która ducha narodowego spaczyła. Wszędzie, gdziekolwiek szlachetny a godziwy cel ma nieszlachetne, ma niegodziwe środki uświęcić, to zawsze będzie po Machjawelsku.. to nigdy nie będzie po polsku! a my przedewszystkiem Polakami... być powinniśmy!

Od stu lat pozbawieni bytu narodowego, nie mogąc po dawnemu na sejmach nobilitować dobrze (szlachetnemi czynami) zasłużonych w Ojczyźnie,

w szlacheckim zakonie naszym, wszystkich pod polskiem narodzonych niebem, którzy z miłości dla matki Ojczyzny, na prawdę za własną uznawszy ją matkę, krew, mienie i prace swoje święcą, mienimy u siebie być: zakonnymi braćmi, szlachcicami. Owszem, nazwiska ich dobrze nam są znane i pamiętne i w danej chwili wyprowadzimy je z dzisiejszego martyrologium na jaśnią przed narodem. Każde serce, które miłością Ojczyzny, więc naszej religii, więc naszej narodowości, więc naszego obyczaju — miłością goreje, jest bratniem nam sercem; każda dłoń, która ma się ku obronie tej naszej umęczonej a prześladowanej, zawsze spotka wyciągnioną ku sobie życzliwą dłoń naszą.

Każdy, co ideę narodową (ducha narodowego) ukochał; każdy, kto ideę tę usiłuje pracą rąk swoich szlachetnie w ciało przyoblec, jest dla nas szlachty, bratem-szlachcicem, imieniem braterstwa pozdrawiamy go — dla niego w najobszerniejszem słowa znaczeniu w braterstwie tem różnicy nie czynimy; w zakonie naszym poczestne, a równe najlepiej zasłużonym miejsce przysposabiamy! „Tak nam Panie Boże dopomóż!“.

Do Ciebie zaś, szlachto polska! wołamy z żywą wiarą, że głos bratni odczujesz i ocenisz. Nie odłączajmy Ojczyzny ziemskiej od niebieskiej, przekazanej przez ojców naszych wiary — przekazanego przez nich ducha narodowego, obyczaju i ojczystej mowy. Strzeżmy, brońmy a ofiary nie skąpmy, strzeżmy,

brońmy i nie oddajmy ojcowizn naszych, bo wyzuwając się z nich, obcym, nienarodowym, niepolskim, oddając je rękom; obcym, nienarodowym, więc wrogom, oddaliśmy Ojczyznę swoją! Za garść srebrników, sprzedaliśmy nie swoje — a jedynie do strzeżenia przekazane nam.

Ziemia ojczysta! Ojcowizna! to ani pieprz, ani tasiemki... jak pieprzem, jak tasiemkami nie handluje się ziemią. Ty, któryś ojcowiznę twą zmarnował lub obcemu sprzedał, krew ojców i kości ojców sprzedałeś lub zmarnowałeś... krew ojców i kości ojców wołać na ciebie będą, wszystka sława, wszystkie bole, wszystkie nadzieje twojej ojczyzny, oskarżać cię będą. Nie masz dla zachowania jej za wielkiej ofiary: czy nazwiemy ją najkrwawszą pracą?... czy najwyszukańszą oszczędnością... czy wzajemną, braterską pomocą. Szlachcicu! pamiętaj, że za to wszystko, coś broniącemu swej ojcowizny bratu udzielił jako pomoc, czy ta będzie uczciwą a rozumną radą, czy mieniem, Ojczyzna uczci cię w danej chwili tak, jakbyś to Jej samej uczynił.

„Cokolwiek w imię moje uczynicie najnędzniejszemu z braci waszej, przyjmę i nagrodzę, jakbyście mnie samemu uczynili“, woła Pan! Nigdzie owe słowa Pańskie nie stosują się właściwiej.

Pamiętajmy, że broniąc ojcowizny: bronimy Ojczyzny! Nie dajmy się obałamucić tym, którzy pod rozmaitemi hasłami nawoływać nas będą, do jakiejkolwiek roboty, którąby jak w 63 roku miała

na celu przerwać te podstawowe prace nasze; do roboty, przeciwnej naszej wierze, naszej narodowości, naszemu obyczajowi, pamiętajmy, że to będą wołania przeciwko Ojczyznie; strzeżmy się „fałszywych proroków“ — którzyby wołali: „oto tu, albo tam Polska“....

A tak, z Kościołem nam stać, ducha narodowego, obyczaju i mowy ojczystej strzedz, z rewolucyą jako z natury swej przeciwną tym wszystkim przekazanym a ojczystym cnotom, nigdy i mimo wszystko nie łączyć się. Pamiętajmy, że my jesteśmy Zakonem. Z Moskalami w żadne konszachty nam się nie wdawać, bo to zawsze i wiecznie: Targowica.

Zbytnim nadziejom w pomoc obcą się nie oddawać; w razie zaś, gdyby pomoc ta domniemana nadeszła, korzystać; gdyby zaś jak dotąd zawiodła, nie rozpaczać: gdyż jak długo powyżej wyrażone narodowe cnoty i ojcowizny nasze w rękach swych dla narodu zachowamy, tak długo z całą istotną prawdą wołać możemy i będziemy:

„Jeszcze Polska nie zginęła“!

A dla tak wielkiego hasła słodko będzie znosić wszelkie prześladowania przez wrogów naszych — więc wrogów Ojczyzny naszej; pamiętni słów Pańskich, na początku pracy naszej zacytowanych:

„Wyłączą was z bóżnic. Aleć przyjdzie godzina, w której każdy, który nas zabije, mniemać będzie, że czyni posługę Bogu. A to nam uczynią, iż nie poznali Ojca ani Syna!“

Pamiętni na te słowa, nie zrazimy się ofiarami, nie ulękniemy prześladowań, zkądkolwiek i przez kogokolwiek na nas wymierzonych, śladem dobrych ojców naszych wytkniętym, a niestarcie na duszach dobrych synów wyrytym, pod klątwą odszczepieństwa. W to, co oni wierzyli, nam wierzyć, to co oni miłowali, nam miłować, za co oni się poświęcali, i nam poświęcać się należy; to nasza w prawym spadku odziedziczona spuścizna, to nasz najprzedniejszy, iście najświętszy obowiązek, to niecofniony: pracy w pocie czoła rozkaz.

W takiej pracy, wierni, ufni, a zamiłowani, wspierajmy się, wzajem z ludem naszym polskim, wespół z Duchowieństwem naszem polskiem około odzyskania naszej drogiej Ojczyzny ziemskiej, a przez nią Ojczyzny ojczyzn, niebieskiej.

Wielki Mistrz słowa i wypróbowany wieszcz nasz to, taki żywy oddźwięk w duszach polskich budzące wygłosił proroctwo: „Będzie Polska w Imię Pana“, i niemylnie będzie Polska! ale tylko: w Imię Pana! W tem leży cała prawda, i tej prawdy ziszczenie prawdziwe „Resurrectio Polskie“, tak dla szlachty, tak dla Narodu całego, jak dla całej, wszystkim nam drogiej Ojczyzny.

Nikt nas wtedy „Morituram:“ nazwać, nikt we wrzekomych „Resurrecturach“, iż: „nie ma szlachty Mości Dobrodzieju“, ogłaszać się nie poważy i nie ośmieli.

Kończąc niniejszą pracę naszą, pozdrawiamy was bracia, syny jednej wspólnej nam ukochanej Macierzy, tem uroczystem hasłem: „Będzie Polska, w Imię Pana!“ — Pozdrawiamy tem proroczem słowem:

„Jeden tylko — jeden cud:
Z polską szlachtą — polski lud!“

*Napisałem dnia 13 Września 1878 r.*

*Szlachcic na Zagrodzie.*

# Pomyłki zaszłe w druku.

| Str. | wiersz | zamiast: | powinno być: |
|---|---|---|---|
| 23 | 18 | obmyty | *obyty.* |
| 36 | 2 | Ja przeciwnie jestem | *Ja przeciwnie nie jestem.* |
| 47 | 18 | nie znajduję wiary | *nie znajduję winy.* |
| 67 | 16 | z kluczem | *z kelnerem.* |
| 89 | 27 | dopokąd | *dopotąd.* |
| 130 | 2 | normalnem | *anormalnem.* |
| 137 | 4 | ztąd | *zkąd.* |
| 146 | 23 | domniemanie | *domniemalnie.* |
| 161 | 13 | składało | *wkładało.* |
| 172 | 21 | Czerwonych do wywołania | *Czerwonym wywołania.* |
| 182 | 16 | nieuczciwych | *nieuczciwym.* |
| 185 | 24 | po proponować opuszczony wyraz: *szlachcic.* | |
| 188 | 21 | po dowodzić „ „ *wzmocnienia.* | |
| 190 | 25 | gwałtów na powinno być: *gwałtowna* | |
| 195 | 21 | po życie opuszczony wyraz: *jego.* | |

[redacted]

[redacted]